cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #220 02/2025

Piotr Lisiewicz
ZWYCIĘZCA! TO NAJPIĘKNIEJSZE DLA POLAKA SŁOWO

Antoni Rybczyński
GRENLANDIA, PIĘKNA PANNA NA WYDANIU

Krzysztof Wołodźko
ROSJA, CZYLI IMPERIUM KONTRATAKUJE

Tomasz Łysiak
KAROL BEYER – OJCIEC POLSKIEJ FOTOGRAFII

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

Walka o ostatni przyczółek

Czy **Tusk znowu złamie prawo**, by zdobyć Pałac Prezydencki

OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI. FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA, ADOBE STOCK (5)

ISSN 1895-4960

eprasa.pl 8b1fcfea26

TEMAT NUMERU ▼ 4–13

Tusk może sięgnąć po przemoc, aby zdobyć ostatni przyczółek... / 4

IDEE ▼ 14–29

Walka o uznanie jako motor rewolucji / 14

HISTORIA ▼ 30–59

Zwycięzca! To najpiękniejsze dla Polaka słowo / 30

KULTURA ▼ 60–70

Co Chińczyk wymyśli / 60

ŚWIAT ▼ 76–99

Rumuński scenariusz w Korei Południowej / 76

Spis treści

TEMAT NUMERU

Z prof. Andrzejem Nowakiem rozmawia Jakub Maciejewski
Tusk może sięgnąć po przemoc, aby zdobyć ostatni przyczółek – Pałac Prezydencki 4

Wojciech Mucha
Taktyka „żelaznej miotły". Czy Tusk zamachnie się na wybory prezydenckie? 10

IDEE

Jacek Rutkowski
Walka o uznanie jako motor rewolucji 14

Małgorzata Matuszak
Spór o zdrową edukację zdrowotną 21

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Zwycięzca! To najpiękniejsze dla Polaka słowo 30

Dariusz Jarosiński
Czarna sukienka 36

Tomasz Łysiak
Karol Beyer – ojciec polskiej fotografii 42

biskup Władysław Bandurski
W walce o dusze nasze i prawa nasze 45

Ewa Polak-Pałkiewicz
Roy Campbell, Ostatni Rycerz 48

Agnieszka Kowalczyk
Ślązacy na preriach Teksasu 54

KULTURA

Łukasz Czarnecki
Co Chińczyk wymyśli 60

Krzysztof Karnkowski
Gi-hun wraca do gry 68

ŚWIAT

Hanna Shen
Rumuński scenariusz w Korei Południowej 76

Antoni Rybczyński
Grenlandia, piękna panna na wydaniu 80

Stefan Czerniecki
Miasto Duchów 86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92

oprac. Antoni Rybczyński
Co dla Rosji oznacza upadek Asada? 94

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Tylko Polacy mogą obronić demokrację
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... porażka
KATECHIZM INTELIGENTA 23

Rozmowa Krzysztofa Wołodźki
Demograficzne wyzwania rosną. Migracja nie rozwiąże problemu
PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE 24

Marek Kalinowski
Od Stinga do renesansu
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 71

Krzysztof Wołodźko
Rosja, czyli imperium kontratakuje
DZIENNIK LEKTUR 72

Marcin Wolski
Trump – wariat czy wizjoner?
PAPKULTURA 85

Tomasz Sakiewicz
Historia się zaczęła
OSTATNIE SŁOWO 99

OD GRUDNIA 2024
„NOWE PAŃSTWO"
DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!
Zamów na prenumerata.swsmedia.pl i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

epraasa.pl 8b1c1e1a26

Katarzyna Gójska

Tylko Polacy mogą obronić demokrację

To naprawdę musi wybrzmiewać zupełnie wprost: od kilku miesięcy środowisko polityczne premiera Tuska przygotowuje pod jego kierownictwem działania mające na celu zawieszenie w naszym kraju demokracji.

Ten plan już jest realizowany. Nie mam na myśli brutalnego łamania prawa, uzależniania sądów od władzy wykonawczej i punktowych aktów terroru. Aktywność w sprawie wyborów prezydenckich jasno pokazuje, iż one mają albo się nie odbyć, albo ma do nich dojść pod ścisłą kontrolą rządzących. Wstrzymanie finansowania dla największej partii opozycyjnej jest jaskrawym przejawem pogwałcenia zasady równości obowiązującej wszystkie siły polityczne wystawiające kandydatów. Nie ma równości, jest nielegalne kwestionowanie decyzji sądu. Jednak front antydemokratycznych przedsięwzięć jest znacznie szerszy. Obserwujemy przygotowanie przepisów pod wprowadzenie cenzury urzędniczej, wytwarzanie dokumentów mających wskazywać wszystkie ośrodki krytyczne wobec koalicji 13 grudnia jako reprezentujące interesy Rosji lub co najmniej pozostające pod jej wpływem. Jakkolwiek by to kuriozalnie brzmiało: dawni negocjatorzy z FSB typują dziś zasoby swoich towarzyszy od tajnych popijaw w Kadynach. Nielegalnie przejęte media publiczne proponują przesunięcie wyborów, co przedstawiają jako akt budujący zgodę narodową. Wtórują im związani z obozem władzy profesorowie tłumaczący obywatelom, iż nie ma dziś prawnej możliwości przeprowadzenia wyborów, bo w ich wyniku wyłonionych zostanie przynajmniej dwóch prezydentów. To się nie dzieje przypadkiem. Obserwujemy szeroko zakrojoną akcję przygotowującą grunt pod zmianę ustroju Polski. Zmianę opartą na przemocy. Plan Bachmanna naprawdę jest realizowany, choć większość Polaków bezrefleksyjnie tkwi w przekonaniu, że to tylko teatr lub eksplozja emocji, a nie prawdziwe zamiary. I paradoksalnie to właśnie uśpienie społeczeństwa, naiwne i powszechne przeświadczenie, iż działania à la Białoruś nie są w Polsce możliwe, to dziś najsilniejszy wiatr w antydemokratyczne żagle okrętu ekipy Tuska. Antydemokratyczny spisek przeciwko narodowi został zawiązany i zaczyna działać, a my gremialnie nie możemy w niego uwierzyć. Gorąco polecam Czytelnikom poruszającą rozmową z profesorem Andrzejem Nowakiem, który na naszych łamach stawia porażającą diagnozę: w Polsce przygotowywane jest działanie znacznie poważniejsze od tego, które widzieliśmy w Rumunii. Tak, przewodniczący Platformy przeprowadzi wybory tylko wówczas, gdy będzie miał pewnoś korzystnego dla siebie rozstrzygnięcia. Nie podejmie żadnego ryzyka porażki – prędzej zablokuje głosowanie lub je unieważni albo nawet stworzy sytuację totalnego chaosu i załamania państwa, niż odda Pałac Prezydencki. To fatalne wieści, jednak plany ekipy władającej naszym krajem to jedno, a umiejętności ich realizacji oraz możliwości wcielenia w życie to drugie. Sytuacja geopolityczna nie sprzyja antydemokratycznym rejzom w Polsce. Chodzi rzecz jasna o zmianę władzy w USA, choć należy ze zdrowym dystansem oceniać gotowość stanięcia nowej administracji w obronie prawa w naszym kraju. Akcja zamachu na wybory w pewnym momencie dojdzie do świadomości wielu Polaków i będzie dla nich szokiem. Trudno dziś przewidzieć skalę reakcji, ale jeśli będzie ona adekwatna do sytuacji, to patologiczne zamiary ekipy rządzącej nie zakończą się sukcesem. ■

Obserwujemy szeroko zakrojoną akcję przygotowującą grunt pod zmianę ustroju Polski. Zmianę opartą na przemocy.

eprasa.pl 8b1fcfea26

– Nie mam wątpliwości, że grozi nam scenariusz dużo gorszy niż rumuński, bo zachowanie Donalda Tuska jako lidera grupy rządzącej jest nieporównywalne do czegokolwiek znanego mi we współczesnej Europie, na zachód od Aleksandra Łukaszenki i Władimira Putina – mówi prof. Andrzej Nowak. O najbardziej radykalnych planach obecnej władzy, a także o nadchodzących zmianach geopolitycznych wokół Polski z historykiem i publicystą rozmawia Jakub Maciejewski.

Tusk może sięgnąć po przemoc, aby zdobyć ostatni przyczółek – Pałac Prezydencki

eprasa.pl 8b1fcfea26

FOT. PEGAZ/GAZETA POLSKA

Panie Profesorze, proszę nie dziwić się mojemu alarmistycznemu tonowi, ale gdy już tyle instytucji zostało przejętych siłą przez obecny rząd, wobec łamania prawa i konstytucji, a teraz poważnych politycznych przygotowań przypominających rumuński scenariusz unieważniający wybory prezydenckie, chciałbym zapytać: czy my już pędzimy w jakąś ostateczną przepaść?

Przyjmijmy dwie perspektywy. Pierwsza to publicystyczna, w której chodzi o pewne wzmożenie emocjonalne. Również podzielam, bo to jest naprawdę oburzające, i mógłbym tu dodać cały szereg epitetów, opisujących, jak rząd Donalda Tuska depcze wszelkie bariery prawne, które zostały postawione w cywilizowanym świecie na drodze do dyktatury jednostki. To jest jeden model reakcji, w którym nasze okrzyki zdumienia i oburzenia niestety nic nie dadzą. Choć nie mam wątpliwości, że grozi nam scenariusz dużo gorszy niż rumuński, bo zachowanie Donalda Tuska jako lidera grupy rządzącej jest nieporównywalne do czegokolwiek znanego mi we współczesnej Europie, na zachód od Aleksandra Łukaszenki i Władimira Putina.

Stopień poparcia dla łamania prawa przez część tzw. elit opiniotwórczych w Polsce, w tym zwłaszcza środowiska prawnicze, kompromituje się do cna, bez zahamowań depcząc zasady logiki, zasady zdrowego rozsądku, nie wspominając o zasadach prawa. Co prawda duża część prawników, którzy wcześniej popierali dawną opozycję, a dzisiaj obóz rządzący, czuje zażenowanie wobec łamania wszelkich zasad prawa, powoli odchodzi od tego poparcia i nie chce się wypowiadać. Jednak ci najwytrwalsi, jak prof. Zoll czy prof. Łętowska, są gotowi najwyraźniej powiedzieć wszystko. To czyni sytuację w Polsce bardziej wyjątkową niż w Rumunii, zwłaszcza wobec poparcia jeszcze jednej grupy odniesienia – zagranicy.

Tym razem ulica nie jest po stronie ekipy lewicowo-liberalnej, ale nie musi być, bo rząd ma „domiar sprawiedliwości", z twarzą Romana Giertycha, oraz policję, której funkcjonariusze nadzorowali czynności wobec urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości przetrzymywanych w areszcie tymczasowym przez siedem miesięcy z powodu rzekomej afery księdza Olszewskiego, doglądając ich higieny osobistej – co nie zdarzało się w polskim wymiarze więziennictwa od czasów stalinowskich. Za Gomułki takie standardy nie obowiązywały.

Grozi nam więc coś więcej niż scenariusz rumuński, zwłaszcza że wśród sił sprzyjających takiemu radykalnemu łamaniu wszelkich zasad jest bardzo po-

eprasa.pl 8b1fcfea26

ważna część europejskich elit rządzących. Znaczenie strategiczne Polski, leżącej pomiędzy Niemcami a Rosją, jest kluczowe i dużo większe niż w przypadku Rumunii. Europa, zmierzając ku zakończeniu konfliktu na Ukrainie, niewątpliwie dokona wyborów strategicznych, o których należy rozmawiać na chłodno, i rozważyć, co może się w związku z tym w Polsce wydarzyć.

Zamiast jedynie oburzać się – co jest naturalne – trzeba zastanowić się, jak wygląda realna sytuacja, jaki może być prawdopodobny rozwój wydarzeń i co my, obywatele, możemy zrobić, by do tego nie dopuścić.

▶ Pamiętam ironiczną przestrogę śp. profesora Jana Prokopa, skierowaną do obozu patriotycznego. „W. biega nocą po osiedlu bez czapki, krzyczy: Polska nad przepaścią, Sejm grodzieński się zbiera, Targowica klęka przed Carem i pielgrzymuje do Berlina… Ktoś z balkonu: Panie W., zlituj się, dzieci śpią, jutro do szkoły…". Teraz chyba ta opowiastka jest jeszcze bardziej aktualna.

Świętej pamięci Jan Prokop, nasz znakomity patron i przyjaciel związany z krakowskimi „Arcanami", miał rację, przestrzegając przed uleganiem nastrojom, które – choć je podzielamy – niekoniecznie udzielają się milionom naszych współobywateli i wyborców. Niemniej sądzę, że gdyby Jan Prokop żył i był z nami, doceniłby jakościową zmianę sytuacji, jaka zachodzi w latach 2024–2025 w porównaniu z realiami, które komentował na przykład w roku 2009.

Przyznając rację pana trzeźwej uwadze, warto zwrócić uwagę na fakt, że sytuacja ekonomiczna setek tysięcy, a może nawet milionów Polaków zmienia się wyraźnie na niekorzyść w porównaniu z okresem rządów PiS. Broń Boże nie twierdzę, że Polska była wówczas krajem mlekiem i miodem płynącym, jednak to właśnie w odczuciach tzw. przeciętnych wyborców następuje teraz zmiana, prowadząca do głębokiego rozczarowania obecną władzą, która w momencie prezydenckich wyborów rządzić będzie już ponad półtora roku.

Niewiele wskazuje na to, by w ciągu najbliższych trzech miesięcy sytuacja uległa gwałtownej poprawie – raczej można spodziewać się pogorszenia. I choć media wspierające obecny rząd oraz Donalda Tuska są wyjątkowo agresywne, nie sądzę, by udało im się całkowicie zakłamać rzeczywistość. Społeczeństwo – tzw. ulica – już nie będzie stać murem za tym rządem. Zagranica być może nadal będzie go wspierać, lecz wewnątrz kraju sytuacja wygląda inaczej. Rozczarowani wyborcy nie wezmą już tłumnie udziału w manifestacjach potępiających PiS i jego rzekome „straszliwe zbrodnie". Prawdopodobnie również w miejscach takich jak Jagodno frekwencja wyborcza nie będzie tak wysoka, jak podczas ostatnich wyborów parlamentarnych.

Władza, nie mogąc już polegać na socjotechnice, będzie zmuszona sięgnąć po przemoc, aby przeforsować zdobycie ostatniego przyczółka – Pałacu Prezydenckiego. Jeśli zabraknie „bezpiecznika" w postaci niezależnego prezydenta, brak większości konstytucyjnej przestanie być przeszkodą. Obecna władza pokazuje, że potrafi unieważniać trójpodział władzy nawet uchwałami, które nie są tak naprawdę decyzjami Sejmu, lecz tweetami samego Donalda Tuska.

W sytuacji gdy prezydent nie będzie powstrzymywał zapędów tej władzy, można wyobrazić sobie scenariusz, w którym Prawo i Sprawiedliwość zostaje zdelegalizowane jeszcze tej jesieni. Wówczas w parlamencie zabraknie posłów PiS, a Donald Tusk automatycznie zyska większość konstytucyjną. Dlaczego miałoby być inaczej? Realizacja tego, o czym mówiła prof. Ewa Łętowska – że Donald Tusk powinien dokonać „skoku na prawo" na miarę Armanda Duplantisa – stanie się bardzo prawdopodobna.

Nie sądzę, bym w tym miejscu inspirował sztab Donalda Tuska – takie scenariusze z pewnością są już dawno szczegółowo rozważane w kręgach jego doradców. Moim zdaniem stoimy przed możliwością otwarcia sytuacji, która przekracza wszelkie dotychczasowe granice dotyczące naszego bezpieczeństwa jako wolnych ludzi w Polsce.

Jednocześnie nastroje społeczne zmieniają się w taki sposób, że trudno będzie przekonać miliony Polaków – poza wąską grupą wyborców, do której Donald Tusk stale się zwraca, podgrzewając ich emocje. Proponuję jednak odejść od tych emocji, bo mówimy o elektoracie, który kieruje się głównie nienawiścią do PiS. Jest spory, być może 2–3 mln osób, ale to zdecydowanie za mało, by wygrać wybory prezydenckie w Polsce, a tym bardziej rządzić krajem w sposób demokratyczny.

W obliczu kurczenia się tej bazy poparcia i pogarszających się nastrojów społecznych rodzi się pytanie, jak możemy obronić naszą wolność za pomocą sił obywatelskich.

▶ Politycy Prawa i Sprawiedliwości unikają tego pytania, właśnie by nie podgrzewać emocji. No ale wariant takiego polskiego Majdanu – w obliczu unieważnienia przez rządzących wyniku wyborów prezydenckich, gdyby wygrywał Karol Nawrocki – jest możliwy?

eprasa.pl 8b1fcfea26

Wyobraźmy sobie scenariusz, o którym wprost mówił marszałek Hołownia, a który popierają przedstawiciele rządu, w tym minister Bodnar, uznając go za najbardziej właściwy. W tym scenariuszu wybory nie są prawnie uznawane, ponieważ partia rządząca ogłasza, że nie można ich legalnie zatwierdzić z uwagi na brak legalnej izby Sądu Najwyższego zdolnej do przeprowadzenia tego procesu. W konsekwencji jeśli ich kandydat nie wygra, stwierdza się, że nie da się ogłosić legalnie, kto wygrał, a władzę przejmuje marszałek Sejmu, pan Hołownia.

Konstytucjonaliści jasno podkreślają, że przejęcie urzędu prezydenta przez marszałka Sejmu może nastąpić jedynie w przypadku, gdy urzędujący prezydent stracił możliwość sprawowania swojej funkcji, a nie w sytuacji, w której nie doszło do legalnego wyboru głowy państwa. Tym samym w tej hipotetycznej sytuacji Andrzej Duda byłby zmuszony bronić Pałacu Prezydenckiego, ponieważ Adam Bodnar jako przedstawiciel władzy wykonawczej chce ogłosić, że nie istnieje legalna władza sądownicza, czyli Sąd Najwyższy, zdolny do uznania wyniku wyborczego. Jednocześnie marszałek Hołownia chciałby przejąć Pałac Prezydencki nie na podstawie wyników wyborów, lecz w wyniku bezprawnego uznania, że jako marszałek Sejmu po upływie kadencji urzędującego prezydenta ma do tego „prawo" – mimo że sam kandyduje na ten urząd. Trudno o bardziej rażące naruszenie prawa.

Gdyby zatem marszałek Hołownia – jako funkcjonariusz koalicji rządowej Tuska – próbował zająć Pałac Prezydencki siłą, kluczowe byłoby, czy determinacja prezydenta Andrzeja Dudy oraz mobilizacja obywateli pozwolą obronić urząd głowy państwa.

Właśnie dlatego cały aparat medialny III RP usiłuje zaszczuć obecnego prezydenta, podobnie jak przed laty próbowano zaszczuć śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Jednak ten aparat medialny musi okazać się bezradny wobec naszej mobilizacji oraz autorytetu, którym faktycznie cieszy się prezydent Rzeczypospolitej – dwukrotnie wybrany przez większość głosujących Polaków, a także mający uznanie na arenie międzynarodowej, w tym u już zaprzysiężonego prezydenta USA.

Musimy wygrać te wybory przewagą co najmniej miliona głosów, a następnie obronić ich wynik.

▶ Trochę może przygnębiać fakt, że polski obóz patriotyczny z taką ulgą przyjmuje zwycięstwo Trumpa, że bez tego obecna władza w Polsce byłaby dużo silniejsza i że bez tego powiewu zmian z zewnątrz moglibyśmy sobie nie dać rady. Rozumiem, że nawet w hymnie narodowym w słowach: „Dał nam przykład Bonaparte, jak zwyciężać mamy", jest odwołanie do zewnętrznego mocarstwa, no ale...

Zastawia Pan tutaj pułapkę suwerenizmu, która stała się jednym z ulubionych trików obozu rządzącego, szczególnie w relacjach z częścią wyborców Konfederacji. Ten trik opiera się na przekazie: „My bronimy niepodległości Polski, nie pozwolimy, by jakiś Trump, Ameryka czy ich sługusy mieszały się w naszą dumną polską demokrację". Chciałbym zwrócić uwagę na trzy aspekty tej narracji.

Po pierwsze – odwołanie polskich obywateli do przykładu zwycięskiej demokracji w Stanach Zjednoczonych, wydarzeń z listopada 2024 roku, nie jest żadną ingerencją wyborczą. To po prostu zastrzyk nadziei dla tych, którzy wierzą, że system demokratyczny jeszcze działa. Fakt, że dzięki kartce wyborczej można coś zmienić, buduje wiarę w sens głosowania, co jest pozytywne i nie ma w tym nic nagannego. Taka inspiracja daje szansę na odbudowę zaangażowania społecznego, zamiast pogrążać wyborców w beznadziejności i apatii.

Po drugie – obóz rządzący, który tak chętnie odwołuje się do hasła „suwerenizmu", sam zawdzięcza wiele zewnętrznemu poparciu. I nie chodzi tu tylko o wsparcie amerykańskie – choć rola ambasadora Marka Brzezińskiego była wyjątkowo bezczelna. Brzeziński, dyplomata USA, wspierał opozycję, która często wypowiadała się w sposób antyamerykański. Miałem okazję zapytać asystenta Donalda Trumpa, jak ocenia postawę ambasadora Brzezińskiego, i usłyszałem, że jego działania są zgodne z linią administracji tamtych czasów, która sama w sobie była antyamerykańska. Jednak największe wsparcie dla obecnego rządu pochodziło z Berlina i Brukseli, a także z innych europejskich stolic. Patronami tego wsparcia byli politycy tacy jak Niemka Katarina Barley, która mówiła o „zagłodzeniu Polski", co przywołuje skojarzenia z tragicznymi epizodami naszej historii, jak niemiecka okupacja i bohaterstwo takich postaci jak św. Maksymilian Kolbe. Jakże więc ci ludzie, zależni od łaski kontynentalnych mocarstw, mogą dziś stroić się w szaty obrońców polskiej suwerenności?

Po trzecie – w kontekście wygasania wojny rosyjsko-ukraińskiej oraz nadchodzących zmian w polityce międzynarodowej w Europie, za największego wroga uznaje się nie Władimira Putina czy Xi Jinpinga, lecz Donalda Trumpa i Elona Muska. Ta postawa została jawnie zadeklarowana, choćby poprzez operetkowe decyzje, jak ta z początku tego roku, kiedy Bundeswehra wypowiedziała swoistą „wojnę" Elonowi Muskowi, wydając rozporządzenia zakazujące

eprasa.pl 8b1fcfea26

korzystania z jego platform. W tym kontekście elity europejskie postrzegają interwencję amerykańską – uosabianą przez Trumpa i Muska – jako większe zagrożenie dla wolności w Europie niż działania Rosji czy Chin. To właśnie te elity tym bardziej będą dążyły do tego, aby tylko one zachowały wpływ zewnętrzny na wybory w Polsce.

W tej sytuacji media społecznościowe, które stają się coraz ważniejszym narzędziem debaty publicznej, a jednocześnie nie są pod kontrolą establishmentu III RP, wzbudzają furię tego środowiska. Efektem tego jest coraz większe dokręcanie medialnej śruby, co paradoksalnie zwiększa nadzieję na mobilizację społeczną w obronie wolności w Polsce. Niedawno w „Gazecie Wyborczej" pojawił się artykuł z prowokacyjną sugestią: Amerykanie podsuwają wybór: wolność albo prawda. To stawia „GW", nieco paradoksalnie, po stronie „prawdy" (paradoksalnie, bo wszak z tego środowiska dochodzą wciąż uzasadnienia tezy, że prawda jest w istocie totalitarna, a wolność wyboru – na przykład płci, wbrew prawdzie natury, jest „prawem").

Cały ten dyskurs, podobnie jak działania europejskich elit, jest elementem przygotowań do geopolitycznego przewrotu – zgody słabnących mocarstw kontynentalnych (Niemcy plus Francja) na reset w relacjach z Chinami i Rosją. Koniec wojny na Ukrainie może być początkiem tego resetu, a w opowieściach o „powrocie do normalności" znów usłyszymy o błogosławieństwie taniego gazu z Rosji i niemieckiego eksportu na rynek Putina i towarzysza Xi. W tej obsesji części elit europejskich, które nadal wspominają dawne ambicje cesarza Wilhelma i cesarza Napoleona, Ameryka jawi się jako przeszkoda, która już dwukrotnie pokrzyżowała plany zawładnięcia Europą przez Rzeszę i dwa razy, ku wstydowi „dumnej Marianny", ratowała Francję od żałosnej kompromitacji.

Ta narracja, powiązana z antyamerykańskimi resentymentami, każe nam być czujnym i mobilizować społeczeństwo w obronie wolności i suwerenności Polski.

Ameryka pod przywództwem Trumpa być może nie postawi na Niemcy i ich nowy rząd, choć nie jest to pewne, a w związku z tym administracja USA może być zainteresowana utrudnieniem resetu, który już został dostrzeżony w Waszyngtonie. Jednocześnie Stany Zjednoczone mogą dążyć do utrzymania swojej obecności w regionie Trójmorza, co zapowiada choćby udział prezydenta USA w szczycie tej inicjatywy. Taka sytuacja mogłaby wzmocnić pozycję Polski, zwiększając jej szansę na wyrażenie własnego stanowiska pomiędzy dwoma potęgami, które nieustannie próbują wpływać na nasz los.

W takiej perspektywie Polska nie jest w pełni wolna, ale jeśli oba ośrodki nacisku – niemiecko-unijny i amerykański – będą się wzajemnie równoważyć, rodzi się nadzieja na większą autonomię. Jeśli Amerykanie zdecydują się ograniczać wpływy niemieckie czy unijne, na przykład w kontekście walki wyborczej w Polsce, to może zwiększyć szanse na rzeczywiście uczciwy wybór Polaków. Zapewne jednak presja amerykańska nie będzie aż tak silna, ponieważ Polska nie jest priorytetem dla Waszyngtonu. Mimo to każdy gest USA w tym kierunku może stanowić swoistą „odsiecz" zmniejszającą wpływ tradycyjnych „panów Europy", marzących o zemście na Ameryce, na nasze – polskie – sprawy.

MUSIMY WYGRAĆ TE WYBORY PRZEWAGĄ CO NAJMNIEJ MILIONA GŁOSÓW, A NASTĘPNIE OBRONIĆ ICH WYNIK.

▶ Dużo oczekuje Pan od prezydenta Andrzeja Dudy. Spora część prawicy dostrzega w jego prezydenturze momenty słabości i miękkości. Czy teraz głowa państwa nie zawiedzie?

Wobec przedstawionych tu scenariuszy, które – miejmy nadzieję – pozostaną jedynie hipotetyczne i nie dojdzie do realizacji najczarniejszych wizji, jestem przekonany, że cechy obecnego prezydenta Rzeczypospolitej sprawią, iż nie zawiedzie on w kluczowym momencie. To człowiek naprawdę prawy i sprawiedliwy – nie w odniesieniu do nazwy partii, lecz w sensie mojej oceny jego charakteru, opartej zarówno na obserwacjach, jak i na osobistych doświadczeniach. ■

eprasa.pl 8b1fcfea26

Małgorzata Matuszak

Czym jest... porażka

Porażka to określenie opisujące stan czy też sytuację, w której nam się coś nie udało – nasze nadzieje nie znalazły odbicia w rzeczywistości, a zamierzenia się nie powiodły i nie osiągnęliśmy tego, co osiągnąć chcieliśmy. Jest to stan przeciwstawny do pomyślności, czyli sytuacji, w której wszystko w naszym życiu toczy się tak, jak chcemy, aby się toczyło, a nasze myśli i plany znajdują odzwierciedlenie w rzeczywistym stanie rzeczy. Jako pejoratywne określenie w mowie potocznej porażka oznacza również po prostu coś nieudanego, pokracznego, absurdalnego czy niedorzecznego.

Porażka nas poraża, paraliżuje naszą wolę i przypomina, że mamy rozmaite ograniczenia, a nasze intencje nie znajdują wystarczającego osadzenia w rzeczywistości. Uświadamia nam boleśnie różnicę między nami a światem i uprzytamnia fakt, że świat nie podlega naszej woli, gdyż jest różny od nas. Porażka jest zatem stanem, w którym dociera do nas fakt, że coś jest dla nas niemożliwe, że istnieje granica dla naszych planów, marzeń i zamiarów. Poraża nas wtedy nasze poczucie bezsilności i bezwolności oraz fakt, że konieczne jest pogodzenie się z granicami naszej woli. Porażka daje nam do zrozumienia, że nie jesteśmy całkowicie wolni i wszechmocni. Że jesteśmy „tylko" ludźmi i jako ludzie żyjący w świecie jesteśmy skazani na to, że niekiedy doświadczamy różnych porażek, gdyż życie nasze nie zawsze układa się po naszej myśli i nie zawsze możemy nim kierować według własnej woli.

Czy z porażek możemy się czegoś nauczyć? Możemy przede wszystkim uzyskać świadomość różnicy, już wyżej wspomnianej, między nami a światem oraz tego, że nie możemy mieć pełnego wpływu nie tylko na kształt swojego życia, lecz nawet na samych siebie. Porażka wynika bowiem z tego, że to, co zamierzaliśmy, było dla nas niemożliwe do zrealizowania. W tej chwili lub w ogóle. I może to wynikać z braku naszego realnego rozpoznania tego, co jest, a co nie jest dla nas możliwe, ale również z tego, że wydawało nam się, że świat stwarza więcej możliwości, niż to się okazało po tym, gdy ponieśliśmy porażkę.

Porażka jest gorzką lekcją. Pozostawia nas bezsilnymi, często załamanymi, gdy okazuje się, że to, na czym nam bardzo zależało, jest niemożliwe do osiągnięcia. Dlatego tak często rujnuje nasze poczucie wartości i obraca w pył nasze marzenia. Jednak porażka to również nieustanna lekcja pokory i samoświadomości. Konfrontuje nas wszak bezpośrednio z realnym wymiarem świata i nas samych, a bez tej świadomości przepadlibyśmy w mrzonkach i złudzeniach, nie wiedząc, jaki faktycznie jest świat i kim sami jesteśmy naprawdę i jakie są nasze realne, a nie wymyślone możliwości. Bez porażek czulibyśmy się może jak Bóg, któremu dana jest wszechmoc, ale nie nauczyliśmy się chodzić po ziemi i być po prostu tylko ludźmi. To właśnie porażki konfrontują nas z nami samymi, z prawdą o nas. Mówią nam, że nie możemy wszystkiego, co byśmy chcieli, i że granicą naszej woli jest zawsze rzeczywistość.

Przyczyny porażki leżą zarówno w nas, jak i poza nami. Możemy ją bowiem ponieść z własnego powodu, czy to przez własne zaniedbania, czy to przez przeliczenie się z własnymi siłami bądź wybór nierealnych celów życiowych, ale też, z drugiej strony, porażka może nas spotkać dlatego, że świat nie daje nam szansy na to, co chcielibyśmy osiągnąć, i to, co jest teraz i w tych okolicznościach niemożliwe i co skończyło się naszą porażką, mogłoby zakończyć się sukcesem w innym momencie naszego życia czy w innych okolicznościach. Albo też pisana jest nam inna droga, na której odniesiemy sukces, a nie odkrylibyśmy jej, gdyby nie ta porażka.

Niewątpliwie jednak porażki nawet jeśli wywołują w nas poczucie paraliżu, są dla nas, jako ludzi, niezwykle pouczające. Uczą nas bowiem naszego człowieczeństwa i uświadamiają ograniczenia, pokazując tym samym nasze prawdziwe, ludzkie oblicze – istot skazanych na własną ograniczoność i igraszki losu, który miele niekiedy na proch nasze marzenia i cele. Porażki nam tę kondycję uświadamiają, mówiąc jednocześnie, że powinniśmy przyjmować je z pokorą i nie zrażać się nimi, doświadczamy ich bowiem również po to, abyśmy uczyli się po nich podnosić i nie ustawać na drodze do wyznaczonych celów.

I tak jak Thomas A. Edison, kiedy po setkach nieudanych prób wynalazł wreszcie żarówkę, mówił swoim rozmówcom, że – prócz żarówki – wynalazł również setki sposobów, na jakie jej wynaleźć nie można, tak i nas każda porażka może nauczyć tego, że może tylko droga do celu była błędna, on sam zaś był właściwy, i kiedyś może znajdziemy doń właściwą drogę, jeśli się nie poddamy. Po nawet setkach nieudanych prób możemy bowiem kiedyś dotrzeć do celu i wynaleźć swoją „żarówkę", która, gdyby nie nasz upór, byłaby niemożliwa do wynalezienia. Porażki mogą być również okazją do tego, aby nauczyć się nie poddawać im i próbować żyć dalej, pomimo nich i niejako wbrew nim. Bez nich sukces często jest niemożliwy, chociaż w chwili, kiedy doświadczamy porażki, trudno nam to zrozumieć.. ■

eprasa.pl 8b1fcfea26

Wojciech Mucha

Taktyka „żelaznej miotły". Czy Tusk zamachnie się na wybory prezydenckie?

eprasa.pl sb1fcfea26

Z podobną sytuacją Polska nie miała do czynienia po 1989 roku. Po przejęciu władzy przez tzw. koalicję 13 grudnia kwestionowane są konstytucyjne organy państwa, prawo jest przez rządzących łamane w sposób ostentacyjny, a przeciwnicy polityczni poddawani szykanom i próbom anihilacji nie tylko politycznej, lecz wręcz fizycznego wyniszczenia. Całość tych działań ma na celu trwałą zmianę stosunków społeczno-politycznych w Polsce, a kluczowym elementem tego działania jest zniszczenie największej partii opozycyjnej.

O tym, że przedstawiciele rządzącej dziś koalicji uważają lata 2015–2023 za czas rzekomego „autorytaryzmu", nie trzeba nikogo przekonywać. Sami powtarzają to od wielu lat. Na długo przed momentem podwójnego zwycięstwa prawicy w wyborach parlamentarnych i prezydenckich tzw. obóz III RP nie ustawał w przekonywaniu Polaków o tym, że ewentualne zwycięstwo partii Jarosława Kaczyńskiego będzie oznaczać „wejście na ścieżkę autorytaryzmu" i „odwrót od Europy". Już wówczas nakręcano spiralę paniki moralnej, która osiągnęła apogeum przed wyborami parlamentarnymi w 2023 roku.

Nakręcanie paniki

Można w zasadzie zaryzykować tezę, że nie było w trakcie obydwu kadencji Zjednoczonej Prawicy dłuższego okresu, w którym ówczesna opozycja próbowałaby zejść z wysokiego diapazonu retoryki, w której „zamordyzm" i „dyktatura" były w odniesieniu do ówczesnych rządów określeniami delikatnymi. Nie stało się to nawet w momencie wybuchu globalnej pandemii koronawirusa, gdy na przykład usiłowano stworzyć wrażenie, że rząd celowo ukrywa pierwsze przypadki zachorowań, czy w trakcie wybuchu pełnoskalowej rosyjskiej agresji na Ukrainę, gdy 24 lutego 2022 roku dzisiejszy premier Donald Tusk w liście otwartym pt. „W godzinie próby" pisał o tym, że najważniejszymi kwestiami, które należy w tym momencie rozwiązać, są… przywrócenie w Polsce praworządności i wygaszenie sporów z UE. Utrzymywał tym samym wrażenie ówczesnej Polski jako kraju nieodpowiedzialnego, pogrążonego w chaosie i absurdalnych, toczonych przez nieodpowiedzialnych ludzi quasi-rewolucyjnych przemianach.

To dlatego nikogo nie powinno dziwić, że ten stan wzmożenia i utrzymywania części Polaków w przekonaniu, że nie żyją oni w demokratycznym, „normalnym" kraju, trwał aż do października, a w zasadzie do grudnia 2023 roku. W tym czasie obok podobnych tego typu diagnoz pojawiały się formułowane najpierw nieśmiało, a następnie coraz bardziej otwarcie postulaty i projekty „przywrócenia państwa prawa", rozliczeń i docelowo – anihilacji przeciwników politycznych.

Od pewnego momentu wyrażane to było niemal wprost, by przypomnieć słowa Tuska o „zrobieniu porządku żelazną miotłą", „wprowadzaniu silnych ludzi" do Narodowego Banku Polskiego czy siedziby Trybunału Konstytucyjnego, czy wypowiedziane już po wyborach zdanie: „Ich już nie ma". Wraz ze zbliżaniem się 13 grudnia 2023 roku, a więc momentu zaprzysiężenia koalicyjnego rządu, gradacja takich zapowiedzi postępowała. Zresztą – zostało to usankcjonowane nawet w umowie koalicyjnej, zawartej pomiędzy KO, Polską 2050, PSL-em i Lewicą. Jej drugi punkt brzmiał: „[…] przywrócimy porządek prawny, zachwiany przez działania poprzedników. Sądy będą wolne od nacisków politycznych, prokuratura będzie niezależna i apolityczna. Zapewnimy legalność funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości i sądownictwa konstytucyjnego. Dołożymy wszelkich starań, aby przywrócić konstytucyjny i apolityczny kształt Krajowej Rady Sądownictwa i Sądu Najwyższego. […] Przywrócimy bezstronność i autorytet innych organów państwa zmienionych w ostatnich latach w partyjne przybudówki".

Jest to fragment o dużym poziomie ogólności i jednocześnie zapowiedź zmian. Te już wcześniej zarówno w kazuistycznych propozycjach, jak i publicystyce przedstawiano wprost jako „sprawiedliwość okresu przejściowego", czyli metody działania znane z państw upadłych czy charakterystyczne dla działania po upadku reżimów (na przykład dotyczące procesów norymberskich, upadku dyktatur wojskowych czy apartheidu w RPA).

Niemcy mają receptę

Jak się jednak okazało, ta absurdalna (i obraźliwa dla ofiar rzeczywistych reżimów) retoryka padła na podatny grunt, wytwarzając u niemałej części Polaków przeświadczenie, że oto żyją w kraju upadłej demokracji. Była także ochoczo wspierana przez kibicujące „dorżnięciu" polskiej prawicy lewicowo-liberalne siły w Unii Europejskiej, by wspomnieć wypowiedź Klausa Bachmanna, niemieckiego publicysty i znajomego samego Tuska, który tuż po wyborach sugerował na łamach „Berliner Zeitung":

ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI, FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA, ADOBE STOCK (5)

eprasa.pl 8b1fcfea26

„Nowy rząd mógłby też po prostu przegłosować wszystkie najważniejsze reformy w drodze rozporządzeń wykonawczych, co naruszałoby wówczas obowiązujące przepisy i konstytucję, ale ma tę zaletę, że prezydent nie mógłby ich zablokować. Gdyby Trybunał Konstytucyjny nadal chciał je uchylić (i wyjątkowo znalazłby wystarczającą liczbę sędziów, aby wydać wyrok), rząd po prostu odmówiłby publikacji odpowiedniego wyroku. To są wszystkie metody, którymi rządził się PiS przez ostatnie osiem lat. W skrócie: jeśli nowy rząd naprawdę chce rządzić, musi skierować całą siłę państwa policyjnego, które PiS zbudował, przeciwko PiS i prezydentowi".

Oczywiście trudno tego typu działań doszukiwać się w czasach rządów Prawa i Sprawiedliwości, a sam Bachmann zabezpiecza się, pisząc jednocześnie, że „gdyby tak się stało", to Unia Europejska mogłaby mieć problem z uznaniem takiego działania za praworządne. Trudno jednak nie zauważyć, że ta recepta stała się dla rządu Tuska i jego samego mapą drogową – cóż, nie po to przecież Ursula von der Leyen wyrażała nadzieję, że „zobaczy Tuska w roli premiera", by potem obrażać się na to, że może i bezprawnie oraz w sposób niemający precedensu w historii Unii Europejskiej wykonuje on powierzone zadanie. Najważniejsze, że je realizuje.

Zadaniem tym było zniszczenie najsilniejszej prawicowej partii na Starym Kontynencie, przetestowanie możliwości działania w reżimie tzw. demokracji walczącej i wysłanie do innych niepokornych wobec lewicowo-liberalnego, dążącego do federalizacji Unii establishmentu środowisk w Europie prostego sygnału: wasz opór jest daremny. Tusk zaczął załatwiać tę sprawę od razu.

Weszli nie tylko do TVP

W tekście pisanym dla „Gazety Polskiej Codziennie" użyłem już tego porównania, ale wydaje mi się ono na tyle trafne, że pozwolę sobie je powtórzyć. Gdy 20 grudnia 2023 roku, dzień po przyjęciu przez Sejm niemającej mocy prawnej uchwały „w sprawie przywrócenia ładu prawnego oraz bezstronności i rzetelności mediów publicznych oraz Polskiej Agencji Prasowej", do siedzib TVP, PAP i Polskiego Radia wkroczyli uzurpatorzy mieniący się przedstawicielami nowych rad nadzorczych; gdy wszystko odbyło się w otoczeniu przypominających ochroniarzy wspomnianych silnych ludzi i przy niemal całkowitej bierności policji – można było mieć pewność, że władza zachowuje się jak przeprowadzający zamach stanu wataźkowie, którzy za pierwszy cel obierają sobie wieżę telewizyjną i rozgłośnie radiowe, by zdominować przekaz i sparaliżować przepływ informacji.

Były to oczywiście działania bezprawne, naruszające nie tylko kompetencje Rady Mediów Narodowych, lecz także – z momentem postawienia spółek w stan fikcyjnej likwidacji – zapisy o radiofonii i telewizji. Sygnał stacji TVP Info wyłączono, ludzi wyrzucono z pracy, a olbrzymią część archiwów prawdopodobnie bezpowrotnie zniszczono. Jak się okazało, wszystko działo się przy aprobacie i współuczestnictwie części bliskich obecnej władzy elit prawniczych i dziennikarskich, które na bieżąco wspierały działania, wymieniając informacje na szyfrowanych komunikatorach (sprawa grupy „Wejście").

Warto jednak zauważyć, że jedną z niewielu osób, które wówczas zabrały w tej sprawie stanowisko, był ówczesny senator z Ohio, a dziś wiceprezydent USA, J.D. Vance, który w liście do sekretarza stanu USA Antony'ego Blinkena pisał, że: „Zwolnienia personelu w Telewizji Polskiej, Polskim Radiu i Polskiej Agencji Prasowej, zapoczątkowane wkrótce po objęciu władzy przez premiera Donalda Tuska i jego politycznych sojuszników, stawia pytania na temat przywiązania tego nowego rządu do wolności mediów i rządów prawa. [...] Wzywam pana, by zachęcił nowy rząd Polski do przemyślenia jakichkolwiek działań, które podważą swobody drogie zarówno polskim, jak i amerykańskim obywatelom" – pisał dzisiejszy zastępca Donalda Trumpa.

Wówczas jednak nie pomogło. Po tym „wejściu z buta" do mediów publicznych, przetestowaniu międzynarodowych reakcji i ewentualnego oporu wewnętrznego sprawy nabrały tempa. Z pogwałceniem przepisów podejmowano próby odwoływania prezesów i wiceprezesów sądów, podważano procedury wyboru sędziów do Krajowej Rady Sądownictwa, wkroczono, podobnie jak do mediów publicznych, do siedziby Prokuratury Krajowej. Tam z pogwałceniem przepisów Prawo o prokuraturze w miejsce Prokuratora Krajowego Dariusza Barskiego powołano kolejnego uzurpatora – niejakiego Dariusza Korneluka. Stało się to bez wymaganej przez prawo opinii Prezydenta RP.

Opór podziałał

Inną sprawą mającą już całkowicie znamiona chęci „fizycznej eliminacji" przeciwników politycznych jest dokonana na przełomie 2023 i 2024 roku próba uwięzienia posłów Macieja Wąsika i Mariusza Kamińskiego, których w kuriozalnym procesie sądowym sąd prawomocnie skazał na karę dwóch lat więzienia, pomimo wcześniejszego ułaskawienia ich jeszcze w 2015 roku przez prezydenta Andrzeja Dudę. Następnie obu parlamentarzystom bezprawnie wygaszono mandaty i ostatecznie wtrącono do więzienia, co na ulice Warszawy wyprowadziło pomimo stycznio-

eprasa.pl 8b1fcfea26

wej pogody nawet 300 tys. osób. Ostatecznie posłowie odzyskali wolność po kolejnym ułaskawieniu.

Była to bez wątpienia pierwsza po 1989 roku sytuacja, kiedy po sprawie mającej wszelkie znamiona politycznej zemsty wtrącono do więzienia czynnych polityków. I odbyło się to niemal bez najmniejszego sprzeciwu ze strony Unii Europejskiej. Dało to również wolną rękę do kolejnych tego typu działań, jak te wobec księdza Michała Olszewskiego i dwóch urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości, które podczas zatrzymania i późniejszego osadzenia traktowano w urągający godności, zakrawający na tortury, niehumanitarny sposób. Ksiądz był pozbawiany dostępu do obrońcy, a wcześniej odmawiano mu jedzenia i dostępu do toalety. I tu również mieliśmy do czynienia z działaniem pokazowym – nie przesądzając o winie całej trójki, przestępstwo, które im się zarzuca, nie kwalifikowało do osadzenia w areszcie śledczym.

Ostatecznie i te osoby zostały szczęśliwie zwolnione z aresztu, jednak finał operacji „żelazną miotłą" jest taki, że obecnie na Węgrzech przebywa były wiceminister sprawiedliwości, Marcin Romanowski, który po ucieczce przed ścigającymi go ludźmi Adama Bodnara znalazł tam azyl polityczny.

Koalicja rządząca zwalcza jednak swoich przeciwników *in gremio*. Za takie działania należy uznać na przykład łamanie wolności słowa i prawa dostępu do informacji, które objawiają się na przykład w ignorowaniu i szykanowaniu dziennikarzy niezależnych od władz mediów, w tym szczególnie Telewizji Republika, której reporterzy nie są wpuszczani na konferencje prasowe i pozbawiani możliwości zadawania pytań najważniejszym osobom, w tym premierowi RP. Mnożą się wypowiadane przez polityków partii władzy groźby odebrania stacji koncesji, czego można zresztą się spodziewać, w sytuacji, gdyby kandydat partii rządzącej wygrał wybory prezydenckie i doszło do wyczekiwanej nie tylko przez przedstawicieli koalicji, lecz także ich międzynarodowych patronów sytuacji „domknięcia systemu".

Za***** PiS

W tym ostatnim celu dokonuje się zresztą działań najpoważniejszych, z próbą odebrania Prawu i Sprawiedliwości funduszy na działalność po absurdalnych zarzutach nieprawidłowości w finansowaniu kampanii. Dziś, pomimo że Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego uznała skargę PiS za zasadną, a Państwowa Komisja Wyborcza ma obowiązek przyjęcia rocznego sprawozdania finansowego partii, a minister finansów wypłatę środków, nic takiego się nie dzieje. O tym, że rządzący wbrew prawu nie uznają Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, Trybunału Konstytucyjnego i innych legalnych organów państwa, nie trzeba wspominać.

Wszystko to sprawia, że na kilka miesięcy przed wyborami prezydenckimi, które zadecydują o „być albo nie być" dla polskiej praworządności, sytuacja w Polsce rysuje się niepokojąco. Co istotne, nie jest powiedziane, jaki wpływ na nią mogą mieć rewolucyjne zmiany w Stanach Zjednoczonych, w których doszło w ostatnich dniach do zaprzysiężenia 47. prezydenta USA, Donalda Trumpa. Ten nie ukrywa, że ma zamiar być orędownikiem wolności nie tylko w Stanach, lecz także wszędzie tam, gdzie światowa lewica i liberałowie uznali się za władców dusz i umysłów obywateli.

Ostatnie wojownicze pohukiwania zarówno polskich, jak i europejskich polityków (by wspomnieć Ursulę von der Leyen zapowiadającą konfrontację ze Stanami i zbliżenie się do Chin) każą stawiać tezę, że pomimo zmian za oceanem doktryna na najbliższy czas będzie „ani kroku wstecz". Zapowiedzi nieuznania wyniku wyborów czy rządzenia poprzez atrapę prezydenta w postaci osadzonego w fotelu głowy państwa marszałka Sejmu, który miałby dokonać zmian ustrojowych, brzmią w tym kontekście szczególnie niebezpiecznie.

Ostateczne starcie

Dla Polski, a szczególnie dla pozostającego w opozycji i liczącego na zwycięstwo kandydata obywatelskiego środowiska obozu niepodległościowego, jest to czas krytyczny. Od rozwoju sytuacji i wyniku tego nieuchronnego starcia będzie zależeć nie tylko polityczna przyszłość polskiej prawicy, lecz także prawdopodobnie cywilizacyjne trwanie Rzeczypospolitej jako kraju suwerennego i niepodległego.

Nad Polską wisi zagrożenie cywilizacyjne – groźba całkowitego wypchnięcia z Europy USA jako strażnika bezpieczeństwa i izolacjonizm Unii względem Stanów Zjednoczonych, z jednoczesnym resetem z Rosją i zbliżeniem z Chinami. Do tego postępująca federalizacja Unii, protekcjonizm gospodarczy, szaleństwo ideologiczne i sprowadzanie jej „nowych" członków do roli obszarów trzeciej kategorii – po roku rządów obecnej koalicji widać doskonale, że chodzi właśnie o to.

Nie można na to pozwolić. Przed nami najważniejsze wybory po 1989 roku. I tym razem nie jest to wyświechtane, publicystyczne hasło. ■

W trakcie pisania tekstu korzystałem m.in. z raportu Instytutu Ordo Iuris: „Rok dewastacji państwa prawa. Najważniejsze naruszenia praworządności i zasad demokracji przez rząd Donalda Tuska".

eprasa.pl 8b1fcfea26

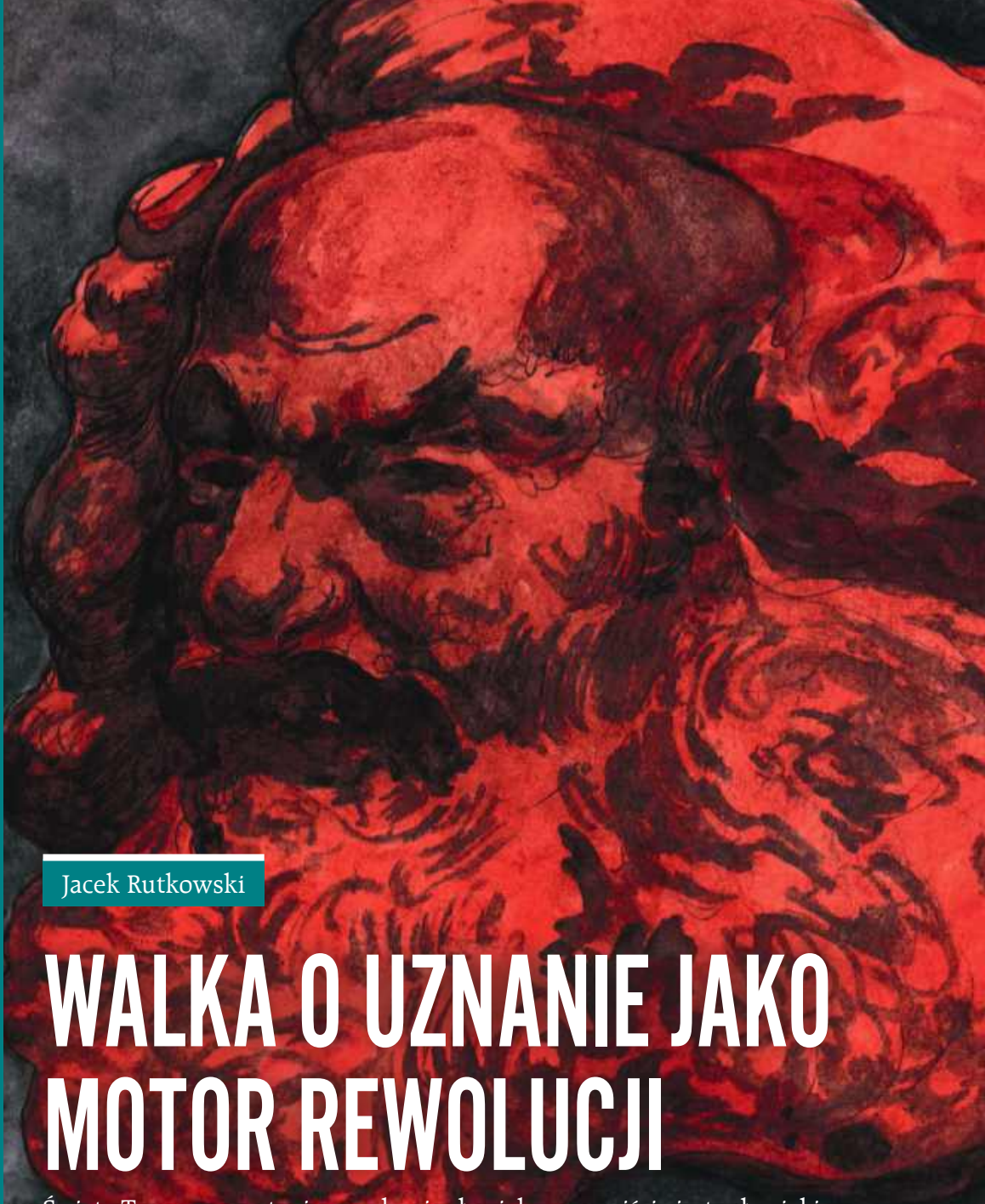

Jacek Rutkowski

WALKA O UZNANIE JAKO MOTOR REWOLUCJI

Święty Tomasz na pytanie, czy drugi człowiek rzeczywiście jest człowiekiem, odpowiedziałby: no ba! Niech ta pełna prostoty i mądrości odpowiedź będzie przewodnikiem na krętych ścieżkach filozofii niemieckiej i związanych z nią ruchów rewolucyjnych.

enrasa.pl 8b1fcfea26

ILUSTRACJA RAFAŁ ZAWISTOWSKI

W ubiegłym roku w listopadowym numerze „Nowego Państwa" opisałem historię Gula, niewolnika Winicjusza z „Quo vadis", który został zabity przez swego pana, a następnie stopniowo uzyskiwał od niego pośmiertne uznanie w swym człowieczeństwie. Rozpowszechnione dzięki chrześcijaństwu przyznanie każdemu człowiekowi niezbywalnej godności przyczyniło się do postrzegania drugiego człowieka jako człowieka. W tym artykule pochylę się nad problemem wzajemnego uznania w filozofii Georga Wilhelma Friedricha Hegla oraz współczesnymi reperkusjami jego koncepcji.

Wzajemne uznanie w filozofii klasycznej

O ile dla Hegla problem uznania drugiego człowieka jako człowieka stanowi jeden z kluczowych w całym systemie, o tyle w filozofii klasycznej ta kwestia praktycznie nie występuje. Wzajemne uznanie to dla filozofii klasycznej zagadnienie raczej moralne niż filozoficzne. Jeśli rzymski patrycjusz gardził swoimi niewolnikami i nie dostrzegał w nich ludzi, to przez swoistą nieuwagę połączoną z brakiem zmysłu moralnego, jaki miało ofiarować światu dopiero chrześcijaństwo. Chrystus, który zbawił wszystkich ludzi, uczynił ich braćmi i siostrami; człowiek stał się kimś, zyskał ogromną godność. Jeśli dzisiaj litujemy się nad nieszczęsnym losem niewolników, to dlatego, że dostrzegamy w nich tę godność, której Rzymianie nie widzieli.

Konkretny człowiek postawiony przed swoim bliźnim może zostać uznany za bliźniego, ale też po prostu za neutralny element otaczającej rzeczywistości. Greckie słowo „bliźni" (πλησίος) oznacza dosłownie sąsiada lub po prostu kogoś, kto jest blisko. Tego, kto jest obok, można uznać za bliskiego przestrzennie, ale wymaga dopiero pewnego wysiłku uznanie w nim kogoś bliskiego co do natury, zauważenie, że również ma swoje pragnienia, ambicje, cele. Wysiłek ten jest natury moralnej, nie filozoficznej. Potrzebuje użycia cnót, nie intelektu. To, że znajdujący się obok człowiek jest istotnie człowiekiem, narzuca się intelektowi jako prawda oczywista, tak jak prosta równość matematyczna. Zarówno jednak człowieka, jak i równanie trzeba najpierw po prostu dostrzec. Gdy tylko człowiek zostanie dostrzeżony, natychmiast uzyskuje uznanie swego człowieczeństwa.

Święty Tomasz zżymał się na niepoprawną głupotę kogoś, kto „patrząc na człowieka, nie rozumiałby, że posiada on duszę", czyli jest kimś rozumnym i czującym. Istnienie duszy jako rozumnej zasady ożywiającej w człowieku było dla Tomasza na tyle oczywiste, że w „Summie teologii" nie ma nawet artykułu pod tytułem: „Czy człowiek ma duszę", mimo że jest artykuł na temat istnienia Boga. Dla świętego Tomasza problem wzajemnego uznania praktycznie nie istnieje – w ogóle nie ma potrzeby stawiać pytania o realność i człowieczeństwo drugiego człowieka. Są to fakty dające się bezpośrednio poznać. Nawiasem mówiąc, wspomniane słowa o głupocie tych, którzy nie rozumieją, że człowiek posiada duszę, służą zobrazowaniu głupoty tych, którzy nie dostrzegają w świecie oczywistych znaków istnienia Boga. Ktoś tak głupi, że nie rozpoznaje oczywistych znaków istnienia Boga, jest równie głupi co ktoś, kto nie dostrzega, że człowiek ma duszę. To dla nas szokujące słowa, a to za sprawą pewnego myśliciela, który uczynił z istnienia Boga jedynie hipotezę, nie zaś dający się wykryć i udowodnić rozumem fakt. Ten myśliciel to Immanuel Kant, który miał do dorzucenia swoje trzy grosze również w kwestii wzajemnego uznania.

Kantowski przełom

Nowożytnie rozumiany problem wzajemnego uznania ma swoje *dies natalis* w dniu, w którym dokonał się kantowski przełom kopernikański. Urodzony w Królewcu Immanuel Kant zawdzięczał nowe wyniki w filozofii temu, że postawił nowe pytanie: „na jakiej podstawie to, co w nas zowie się przedstawieniem, odnosi się do przedmiotu?". Innymi słowy: skąd bierze się poczucie konieczności towarzyszące poznaniu? Na jakiej podstawie można stwierdzić, że nasze przedstawienie jakiejś rzeczy odnosi się do tej rzeczy? Nieco upraszczając myśl pruskiego filozofa, można by odpowiedzieć: na żadnej. Nie ma takiej podstawy. Nasze przedstawienie rzeczy nie odnosi się do rzeczy, jest tylko grą fenomenów i tkwiących w naszej głowie form naoczności i kategorii intelektu (albo, jak chcą bardziej subtelni interpretatorzy, w jakiejś „ogólnej głowie", albo jeszcze lepiej – „głowie transcendentalnej").

Jaki związek mają te oderwane, filozoficzne rozważania z problemem wzajemnego uznania, z pytaniem, czy uznać w znajdującym się obok człowieku bliźniego? Właśnie u Kanta zaczynają się schody, i to od razu strome. O ile dla starożytnego Rzymianina (w czasach tzw. przez kantystów „mentalności przedkrytycznej" albo „dogmatycznej") było oczywiste, że człowiek obok jest człowiekiem, a zasadnicze pytanie brzmiało, czy zawracać sobie tym głowę, o tyle dla pruskiego filozofa problem jest znacznie głębszy. Chodzi o to, że nie należy nic mówić o żadnym obiekcie znajdującym się obok, można mówić jedynie o zjawiskach, które są bezpośrednio dane. Nie

eprasa.pl 8b1fcfea26

ma bowiem żadnego przejścia od postrzeganych zjawisk do rzeczy samych w sobie. Parafrazując przytoczone wyżej kluczowe pytanie filozoficzne Kanta, to, co w nas zowie się przedstawieniem, nie odnosi się do przedmiotu. Nie można na podstawie przedstawień wnioskować o przedmiotach. Nie można na podstawie tego, że pewien obiekt jawi nam się jako człowiek, wnioskować, że to człowiek. Ba, nie można nawet wnioskować, że istnieje! Cóż ma czynić człowiek w tak straszliwym boju, wątły, niebaczny, rozdwojony w sobie? – jakby spytał Mikołaj Sęp-Szarzyński. Chciałoby się uznać w drugim bliźniego, ale nijak nie można, bo „to, co w nas zowie się przedstawieniem, nie odnosi się do przedmiotu".

I w tym właśnie miejscu rodzi się nowożytny problem wzajemnego uznania: jak mogę uznać kogoś za człowieka, skoro nie pozwala mi na to filozofia Immanuela Kanta? Już Kant dostrzegał ten problem i stwierdził, że o ile na gruncie rozumu teoretycznego należy filozofować i nie przechodzić bezprawnie od zjawisk do rzeczy, o tyle na gruncie rozumu praktycznego podobny zabieg jest jak najbardziej dozwolony. O ile zatem rozum teoretyczny stawia szlaban człowiekowi, który chciałby uznać kogoś innego za człowieka (bo tego zabrania filozofia Kanta), o tyle w sukurs przychodzi mu wtedy rozum praktyczny, dzięki któremu okazuje się, że tak naprawdę cały świat funkcjonuje tak jak to sobie wyobrażają normalni ludzie, niezaprzątający sobie głowy kantyzmem. Ten swoisty filozoficzny wytrych, usprawiedliwiający potoczny realizm, wygląda niczym *deus ex machina* i jako taki mocno niepokoił już współczesnych Kanta, dając impuls do dalszego rozwoju (albo raczej: „rozwoju") niemieckiego idealizmu. Jednym z najważniejszych jego przedstawicieli był Hegel (który sam o sobie twierdził, że jest najważniejszym przedstawicielem nie tylko niemieckiego idealizmu, ale w ogóle filozofii), którego rozważania na temat wzajemnego uznania mają ogromny wpływ na współczesność.

▶ Trudności z Heglem

O ile główne koncepcje filozofii Kanta daje się z pewnym uproszczeniem streścić w jednym akapicie, o tyle w przypadku Hegla podobny cel wydaje się zupełnie niemożliwy do osiągnięcia. Jakkolwiek bowiem Hegel słusznie kojarzy się z krótkimi formułami w rodzaju „teza, antyteza, synteza" albo „Absolut rozwija się w historii", o tyle potrzeba całych tomów, aby wyjaśnić, o co tutaj właściwie może chodzić. Sam Hegel uważał, że tak naprawdę zrozumiał go tylko jeden człowiek, po czym „dialektycznie" dodał: „nawet on mnie nie rozumiał". Pewien współczesny znawca Hegla stwierdził, że według jednej z kluczowych tez heglowskiej filozofii „tożsamość jest tym samym, co różnica". Jak przenikliwie zauważył ów badacz, stanowi to tezę zaiste wywrotową i radykalną – trudno bowiem o coś bardziej różnego od różnicy niż tożsamość, zatem teza o tożsamości różnicy i tożsamości to chyba najbardziej wywrotowa teza, jaką można w ogóle postawić! Jeśli miarą wielkości filozofa uczynimy nie postęp, jakiego dokonał na drodze do prawdy (jak to było w obskuranckich czasach średniowiecza), lecz radykalność i oryginalność stawianych tez (jak ma to miejsce w naszych oświeconych czasach), Hegel słusznie będzie uchodzić za wielkiego. Jak stwierdził E. Voegelin, Hegel to myśliciel niezwykle głęboki, który jednak miał denerwujący zwyczaj rzucania quasi-magicznymi, oderwanymi i chwytliwymi formułami. Dlatego konieczne jest pewne krótkie omówienie samej myśli heglowskiej, żeby można było przejść do lepszego zrozumienia zręcznych heglowskich formuł związanych z omawianym zagadnieniem wzajemnego uznania.

▶ Fenomenologia ducha, czyli streszczenie „całości"

Hegel powiadał, że „prawda to całość" („das Wahre ist das Ganze"), toteż w „Fenomenologii ducha" starał się opisać właśnie „całość". Lepiej nie dodawać tu dookreśleń w rodzaju „całość rzeczywistości". Mogłoby to nas postawić na niewłaściwej pozycji realistycznej, zgodnie z którą istnieje obiektywnie jakaś rzeczywistość: świat złożony z bytów jednostkowych, a taki pogląd to według Hegla tylko jeden z etapów rozwoju świadomości. Bezpieczniej powiedzieć, że chodzi tu o całość procesu historycznego. Jest to jednak proces historyczny swoiście rozumiany. Na przykład według Arystotelesa historia składa się jedynie z (być może pouczających i ciekawych) przypadków. Arystoteles uważał, że nawet poezja jest bardziej filozoficzna od historii, bo zajmuje się tym, co ogólne, natomiast historia przedstawia tylko przypadkowe wypadki, jakie miały miejsce w przeszłości. Natomiast według Hegla w historii realizuje się droga świadomości ku wiedzy absolutnej. Ku wiedzy absolutnej, czyli całkowitej, zupełnej. Poza taką wiedzą nic nie ma, ogarnia ona wszystko. Również to, co nazywamy rzeczywistością, zawiera się w owej wiedzy – rzeczywistość jest rozumna jako część wiedzy absolutnej. W historii nie ma przypadków, wszystko, co się dzieje, jest rozumne: „to, co rzeczywiste, jest rozumne".

Fenomenologia to nauka o kolejnych postaciach świadomości przejawiających się w ludzkim dążeniu do wiedzy absolutnej i ostatecznej prawdy. Jest to

eprasa.pl 8b1fcfea26

również swoisty opis dochodzenia człowieka do boskości. Heglizm można bowiem nazwać „antropoteizmem". Człowiek jest Bogiem, jednocześnie stając się nim w wyniku całości dialektycznego procesu dziejowego. Absolut stanowi immanentną zasadę rozwoju rzeczywistości, a ten rozwój dokonuje się poprzez człowieka. Nawiasem mówiąc, powyższe koncepcje wyjaśniają być może po części, dlaczego heglizm w wydaniu marksistowskim tak dobrze przyjął się w Rosji. Otóż o ile w teologii Zachodu zbawienie rozumiano głównie jako usprawiedliwienie *(iustificatio)*, o tyle na Wschodzie zbawienie oznaczało przede wszystkim przebóstwienie *(deificatio,* θέωσις). Stąd dokonujący immanentnego przebóstwienia człowieka heglizm mógł trafić na Wschodzie na podatny grunt.

Czym jest wiedza absolutna?

Walka o uznanie to według Hegla jeden z etapów ludzkiego dążenia do wiedzy absolutnej i ostatecznej prawdy. Aby wyjaśnić, czym jest ta wiedza absolutna i dlaczego walka o uznanie ma z nią związek, najlepiej będzie wskazać najogólniejsze etapy dążenia do wiedzy absolutnej. Układają się one według heglowskiej triady: teza – antyteza – synteza. Pierwszą fazę nazywa Hegel „fazą świadomości". Zrealizowała się ona w procesie historycznym w filozofii przed Kantem („przedkrytycznej"). W tej fazie ma miejsce dychotomiczny podział na podmiot poznający i przedmiot poznawany. Poznawanie polega na biernym otrzymywaniu treści z postrzeganych bytów zmysłowych. Tutaj zatrzymała się filozofia klasyczna i my również moglibyśmy się tutaj zatrzymać, gdybyśmy chcieli się zajmować poznawaniem rzeczywistości albo choćby tylko zachowaniem zdrowia psychicznego. Przyświeca nam jednak inny cel, mianowicie objaśnienie filozofii Hegla, więc musimy przejść do następnego etapu dochodzenia do wiedzy absolutnej.

Otóż w następnym etapie, zwanym etapem „samowiedzy", podmiot dostrzega, że prawda znajduje się w nim samym, nie zaś w rzeczach. Dostrzega, że przedmiot nie istnieje niezależnie od niego, lecz że wymaga postrzegającej świadomości. Przedmiot może być jedynie przedmiotem dla podmiotu, nie istnieje sam w sobie. Całe doświadczenie jest naszym przedstawieniem. Przedmiot nie ma żadnej rzeczywistości w sobie, niezależnej od podmiotu. To etap, który mniej więcej odpowiada krytykowanej przez Hegla filozofii Fichtego. Kant uważał, że poznanie jest głównie dziełem podmiotu i jego kategorii, pozostawił jednak w swej filozofii miejsce dla niepoznawalnej „rzeczy samej w sobie", jakby ostatni przyczółek realizmu. Poznawanie jest twórcze, a nie receptywne, jednak ostatecznie ma jakąś podstawę w rzeczy samej w sobie. Fichte nie godził już się na podobny kompromis i stwierdził, że zasadą całej rzeczywistości jest abstrakcyjne „Ja". Otóż owo Fichteańskie „Ja" jest samo w sobie całą rzeczywistością – poza tym „Ja" nic nie ma. Hegel krytykuje tę koncepcję, ale nie dlatego, że jest całkowicie fałszywa, tylko dlatego, że jest teraz fałszywa. Według Hegla „Ja" stanie się całą rzeczywistością dopiero na końcu dialektycznego procesu historycznego.

Ostatni etap rozwoju świadomości, etap rozumu, dokonuje się przez przezwyciężenie opozycji między podmiotem a przedmiotem. Podmiot poznaje wówczas, że jest całą rzeczywistością. Skończony podmiot rozumny uświadamia sobie, że jest momentem w życiu nieskończonego ducha i wznosi się do poziomu wiedzy absolutnej. Zostaje wtedy przywrócona Jedność.

Walka o uznanie a samowiedza

Walka o uznanie to element procesu dokonującego się w obrębie etapu samowiedzy. Na etapie samowiedzy człowiek kieruje się ku samemu sobie, jest świadomy siebie, świadomy swej ludzkiej rzeczywistości i godności. Według Hegla człowiek może być „przywołany do siebie", może być świadomy siebie jedynie przez pożądanie (Begierde), na przykład przez pożądanie jedzenia. To „ja" pożąda, nikt inny, pożądanie narzuca myśl o własnej osobie, o poczuciu braku – właśnie dla mnie – tego, czego pożądam. Przejście na etap samowiedzy wymaga tego, aby pożądanie kierowało się na przedmiot nie-naturalny, poza bezpośrednio daną rzeczywistość zmysłową. W przeciwnym wypadku pozostaje się na poziomie czysto zwierzęcym. Otóż jedyną rzeczą, która wykracza poza bezpośrednio daną rzeczywistość, jest samo pożądanie. Tak zatem człowiek okazuje się prawdziwie ludzki, gdy swe pożądanie kieruje na inne pożądanie, gdy pożąda pożądania. Pożądać pożądania oznacza zaś pragnąć, by wartość, którą reprezentuję, była wartością pożądaną przez kogoś innego. Oznacza to chcieć być pożądanym, chcieć, aby inny uznał moją wartość za wartość samoistną. Jak pisał Alexandre Kojève: „Wszelkie pożądanie, które ma charakter ludzki, jest w ostatecznym rezultacie funkcją pożądania »uznania«". Człowiek „nieuznany" już przypisuje sobie samoistną, absolutną rzeczywistość i wartość. Uważa się on za człowieka, ma subiektywną pewność, że nim jest. Jednak jego pewność nie jest jeszcze wiedzą. Aby przekonanie takiego człowieka było prawdą, powinno ono mieć znaczenie także dla innych.

eprasa.pl 8b1fcfea26

Człowiek musi to wyobrażenie, które tworzy o sobie samym, narzucić innym niż on. Musi sprawić, że zostanie uznany przez innych. Żeby to sprawić, potrzebna jest walka o uznanie.

Dialektyka pana i niewolnika

Walka o uznanie przyjmuje postać często przywoływanego stosunku pana i niewolnika. Pan symbolizuje człowieka, który stanął do walki o uznanie, natomiast niewolnik – tego, kto się od tej walki uchylił. Pan, narażając w walce o uznanie swoje życie, potwierdza, że jest bytem duchowym, zdolnym do wolności. W tej walce pan nie zabija swego przyszłego niewolnika, bo przecież wtedy nie uzyskałby pożądanego uznania. Toteż zniewala pokonanego człowieka. W tym pojedynku nie ma jednak zwycięzcy. Niewolnik nie zyskał uznania, bo nawet nie stanął do walki o uznanie. Jak pisał Jacek Migasiński: „Postawa niewolnika to postawa samowiedzy, która nie wzniosła się do poczucia własnej wolności i uznaje swą zależność od innej samowiedzy". Również jednak pan nie zyskał poszukiwanego przez siebie uznania. Został wprawdzie uznany przez niewolnika, ale poszukiwał przecież uznania ze strony kogoś wolnego. Jak stwierdził A. Kojève: „Pan walczył i narażał swoje życie, mając na celu uznanie, ale osiągnął jedynie uznanie pozbawione dla niego wartości". Prawdziwą satysfakcję mogłoby mu przynieść tylko uznanie ze strony kogoś, kogo sam mógłby uznać. Niewolnik jest dla niego tylko rzeczą. Po walce pan nie uzyskał tego, czego chciał: uznania ze strony innego człowieka.

Pan, jakkolwiek nieusatysfakcjonowany, pozostanie już na zawsze panem. Raz stoczywszy walkę o uznanie nie będzie już jej toczył dalej, i pozostanie na swym wygodnym, aczkolwiek nie do końca zadowalającym miejscu. Próżniacze panowanie jest impasem. Dalszą walkę o uznanie toczy już tylko niewolnik, który może dialektycznie znieść swoją służebność. Człowiekiem absolutnie wolnym będzie dopiero niewolnik, który zniósł swą niewolę. Tym, co tworzy historię, jest walka niewolnika o uznanie. Źródłem wszelkiego postępu są niewolnicy znoszący swą niewolę.

Walka kołem napędowym historii

Według Hegla przewaga niewolnika nad panem i jego możliwość uzyskania satysfakcji wynika z pracy. Poprzez pracę niewolnik przekształca świat przyrody w świat historyczny, przekształca naturę w wytwory. W ten sposób wyzwala się faktycznie od przyrody. Niewolnik zdobywa dla siebie samoistność. Dzięki pracy staje się świadomy swojej wolności. Jak wskazał J. Migasiński: „Wątek wydobywania się ze zniewolenia przez materialną pracę zyskał szczególne uznanie w oczach Karola Marksa". Marks wybrał ten wątek w snutej przez Hegla opowieści na temat procesu historycznego, jednakże współcześnie stracił on już znaczenie. Proletariusze wszystkich krajów już się nigdzie nie łączą z tej prostej przyczyny, że nie ma już tylu fabryk. Quasi-niewolnicza praca fizyczna, będąca zmorą XIX wieku, występuje już tylko na peryferiach świata. Toteż w lewicowych środowiskach, nieustannie zafascynowanych myślą heglowską, kwestia pracy i klasyczny, ortodoksyjny marksizm, ma już mniejsze znaczenie. Marks zredukował koncepcję Hegla do przekształcania materii w procesie ekonomicznym, podczas gdy Hegel nawoływał do przekształcania świata według zasad rozumnej podmiotowości.

Według Hegla i Marksa istotą nowoczesności jest urzeczywistnienie wolnej podmiotowości. Zwieńczenie procesu historycznego polega na urzeczywistnieniu się społeczeństwa obywatelskiego, w którym zostanie zniesiona opozycja między panem i niewolnikiem. Wtedy ostatecznie stosunki społeczne zostaną oparte na zasadzie wzajemnego uznania swojej podmiotowości. Według F. Fukuyamy wzajemne uznanie zostało już osiągnięte w liberalnej demokracji, gdzie każdemu przysługuje przyrodzona godność. O każdym człowieku uznaje się, że jest on człowiekiem i posiada niezbywalne prawa człowieka, o których słychać na każdym rogu. Liberalna demokracja jest gwarantem uznania i godności. Wobec tego według Fukuyamy nastąpił

WALKA O UZNANIE PRZYJMUJE POSTAĆ CZĘSTO PRZYWOŁYWANEGO STOSUNKU PANA I NIEWOLNIKA. PAN SYMBOLIZUJE CZŁOWIEKA, KTÓRY STANĄŁ DO WALKI O UZNANIE, NATOMIAST NIEWOLNIK – TEGO, KTO SIĘ OD TEJ WALKI UCHYLIŁ.

eprasa.pl 8b1fcfea26

koniec historii. Dalsza historia będzie bardzo nudna – człowiek już uzyskał uznanie i spocznie na laurach. Nie ma już kto jej napędzać.

Nowy podmiot historyczny

Wbrew Fukuyamie heglizm wciąż jednak działa i napędza do boju wyklęty lud ziemi. Co prawda, coraz mniej ludzi narzeka na to, że dręczy ich głód, jednak coraz więcej ludzi narzeka na to, że mają nie tę płeć, jaką chcieliby mieć (mimo że nikt nie ma żadnej), albo że chcą się żenić i za mąż wychodzić z różnymi osobami, albo właśnie przeciwnie, chcieliby się nie żenić i nie wychodzić za mąż, tylko zawierać związki partnerskie. Oto współczesne niewole, które wymagają „dialektycznego zniesienia" w procesie dążenia świadomości do wiedzy absolutnej. Istotę heglizmu jako podstawy dalszych ruchów rewolucyjnych doskonale ujął A. Kojève, stwierdzając, że moralność heglowska mogłaby mieć następujące przykazanie: „Nie bądź tym, czym jesteś, bądź przeciwieństwem tego, czym jesteś". W ten sposób nigdy nie zabraknie powodu do narzekania, nigdy nie zabraknie koła zamachowego historii. Postęp jest niepowstrzymany, co więcej, według heglizmu jest osią, istotą dziejów. Nie można bezkarnie zaniechać postępu! Ceną byłaby niemożność dojścia do wiedzy absolutnej.

Gdy stało się jasne, że proletariuszom żyje się w istocie coraz lepiej, a nie coraz gorzej, i marksistowski materializm dialektyczny został brutalnie sfalsyfikowany przez historię, zaczęto szukać nowego tzw. podmiotu historycznego, to jest masy, zbiorowości, która stałaby się kołem napędowym historii, owych heglowskich niewolników, którzy szukaliby zniesienia swej niewoli. Takich niewolników nie brakuje, a dodawane co tydzień nowe literki do pewnego (pierwotnie) czteroliterowego akronimu świadczą o tym, że owszem, jest ich coraz więcej. Wolność jako zasada świata nowoczesnego stała się ideałem nieustannej rewolucji. Filozofia Hegla jest uzasadnieniem i uprawomocnieniem dla wszelkiego rodzaju emancypacji kogokolwiek, kto rozpoznaje swoją sytuację jako sytuację niewolnika. Jak stwierdził Milan Kundera: „La gauche, c'est une marche", lewica to marsz – marsz emancypacyjny. To swoiste i jakże prawdziwe, że Kundera nie dookreślił, dokąd w zasadzie prowadzi ten marsz. Chestertona niezmiernie drażniło, że postępowcy wszelkiej maści ciągle mówią o postępie, ale nigdy nie są w stanie powiedzieć, do czego miałby ów postęp prowadzić. Nawołują do chodzenia drogą, ale ani się nie zająkną, dokąd ta droga właściwie biegnie. Lewica zmienia się nie do poznania i jeśli chce się pozostać lewicowym, trzeba co kilka tygodni zmieniać poglądy. Znany jest przypadek J.K. Rowling, chciałbym jednak przytoczyć przypadek nieco starszy. Otóż L. Feuerbach, koryfeusz XIX-wiecznego ateizmu, uważał aborcję za nikczemne zabójstwo. Wtedy do artykułów lewicowej wiary nie należało tzw. prawo wyboru, toteż Feuerbach miał jeszcze swobodę w tym zakresie. Teraz zostałby uznany za „faszystę". Jeszcze ciekawszy jest przykład generała Jaruzelskiego, który został w wywiadzie z profesorem Adamem Wielomskim spytany, czy jest człowiekiem lewicy. Generał odpowiedział, że tak, a następnie został spytany, czy popiera dążenia ruchu LGBT. Skrzywił się wówczas z niesmakiem i stwierdził, że rozumie, że można mieć podobne skłonności, „ale żeby tak publicznie się tym chwalić?…".

Hegel jest wiecznie żywy jako filozof rewolucji. O ile Marks zbyt mocno tkwi korzeniami w XIX wieku i w rewolucji przemysłowej, o tyle sformułowane przez Hegla ogólne postulaty zachowały swą moc i mogą być odbierane jako filozofia buntu. O ile Marks nawoływał do buntu w przebrzmiałym już dawno konflikcie kapitalistów z proletariuszami, o tyle filozofię Hegla można rozumieć jako nawoływanie do buntu jako takiego.

Niemieckie wielomówstwo przeciw prostocie bytu

Powyżej zostały przywołane trzy koncepcje związane z problemem wzajemnego uznania. Aby streścić te koncepcje, można sformułować skrótowe odpowiedzi Kanta, Hegla i św. Tomasza na pytanie, czy drugi człowiek istotnie jest człowiekiem – bytem rozumnym i samoświadomym. Tak zatem Kant powiedziałby, że na gruncie rozumu teoretycznego podobna konstatacja jest niemożliwa ze względu na ograniczenie poznania ludzkiego do sfery fenomenów, dających się postrzegać jedynie za sprawą apriorycznych kategorii intelektu i form naoczności. Natomiast na gruncie rozumu praktycznego ów postulat czystego rozumu jest możliwy do przyjęcia. Hegel stwierdziłby, że odpowiedź jest uwarunkowana walką o uznanie, będącą momentem w dialektycznym rozwoju ducha absolutnego, dzięki któremu rozumny podmiot uświadamia sobie, że jest momentem w życiu nieskończonego ducha i wznosi się do poziomu nieskończonej myślącej siebie myśli. Natomiast św. Tomasz staje w świetle braterstwa ludzkiego w przeświadczeniu, że ludzie nie są ani przypuszczeniami przyjętymi dla celów praktycznych, ani postulatami czystego rozumu, ani momentami w dialektycznym rozwoju ducha absolutnego. Święty Tomasz na pytanie, czy drugi człowiek rzeczywiście jest człowiekiem, odpowiedziałby: no ba! I niech ta pełna prostoty i mądrości odpowiedź będzie przewodnikiem na krętych ścieżkach filozofii niemieckiej i związanych z nią ruchów rewolucyjnych. ■

eprasa.pl 8b1fcfea26

FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA

Małgorzata Matuszak

SPÓR O ZDROWĄ EDUKACJĘ ZDROWOTNĄ

Czy dziewięcioletnie dzieci muszą rozumieć i definiować pojęcie seksualności? Czy teoretyczna wiedza na temat życia seksualnego nie rozbudzi w młodych ludziach nadmiernie popędów i nie odbije się negatywnie na ich relacjach z rówieśnikami? Czy sposób, w jaki podana jest ta wiedza na lekcji, nie sprawi, że tak intymna i osobista sfera ludzkiego życia ulegnie na zawsze w umysłach młodych ludzi instrumentalizacji? To zaledwie kilka z całej listy pytań pojawiających się w kontekście decyzji o wprowadzeniu do szkół nowego przedmiotu, figurującego pod „bezpiecznie" brzmiącą nazwą „edukacja zdrowotna".

eprasa.pl 8b1fcfea26

W przyszłym roku szkolnym 2025/2026 w polskich szkołach ma być wprowadzony nowy przedmiot – edukacja zdrowotna, który zastąpić ma obecne wychowanie do życia w rodzinie. Od początku projekt ten wzbudzał wiele kontrowersji, był tematem wielu dyskusji i powodem protestów ze strony osób, które potrafiły krytycznie spojrzeć na treści zawarte w podstawie programowej tego przedmiotu. Bo choć założenia edukacji zdrowotnej można by uznać za słuszne – wszyscy wszak uważamy zdrowie za niezwykle cenną wartość i pragniemy, by dzieci i młodzież stały się zdrowymi, dorosłymi ludźmi, wiemy również, że zdrowie wymaga troski we wszystkich aspektach życia: fizycznym, psychicznym, seksualnym, społecznym i środowiskowym – to jednak na pewne elementy tej edukacji trudno się zgodzić.

Czym faktycznie ma być edukacja zdrowotna?

Edukacja zdrowotna ma być wprowadzona już od klasy IV, a więc od 9. roku życia, i trwać aż do dorosłości młodego człowieka, przez resztę lat kształcenia w szkole, do klasy IV liceum. Jak tłumaczy MEN, nowy przedmiot ma się zajmować zdrowiem człowieka w bardzo szerokim sensie, mieć zatem charakter interdyscyplinarny, łączący w sobie wiedzę z różnych dziedzin, takich jak nauki o zdrowiu, medycyna, nauki społeczne, humanistyczne, przyrodnicze i ścisłe. Znalazły się w nim treści związane z profilaktyką w obszarach ważnych dla młodych ludzi w dzisiejszych czasach – praktyka psychologiczna i profilaktyka uzależnień, samoświadomość i umiejętność zdiagnozowania się w kryzysie psychicznym, profilaktyka otyłości i wiele innych, ważnych tematów.

W programie nauczania tego przedmiotu znajdują się również treści związane ze „zdrowiem seksualnym" i związanej z nim edukacji seksualnej. Najwięcej kontrowersji budzi pojmowanie przez twórców programu tego przedmiotu, czym w ogóle zdrowie seksualne jest, a także sposób edukowania w zakresie seksualności dzieci już w wieku 9–12 lat. W podstawie programowej dla klas IV–VI znajdujemy takie zagadnienia, jak choćby: „Jak akceptować przemiany okresu dojrzewania oraz jak radzić sobie z jego wyzwaniami i kształtować pozytywny obraz własnego ciała?", a wśród wymagań szczegółowych m.in. identyfikację przez dziecko „zmian dotyczących dojrzewania należących do normy medycznej". Przykładem ma tu być „zachowanie autoseksualne". Taki sposób przedstawienia tematu dojrzewania kładzie równość między normą dojrzewania a masturbacją i czyni ją jedną z kluczowych zmian na drodze do dorosłości. Tak pojmowane dojrzewanie dzieci w wieku 9–12 lat musi budzić słuszny sprzeciw i uderza w światopogląd wielu uczniów oraz ich rodziców. W dziale dotyczącym zdrowia seksualnego dla klas IV–VI umieszczono również w podstawie programowej jako zagadnienie główne pytanie: „Jak kształtować pozytywną postawę wobec seksualności człowieka wraz z respektowaniem autonomii cielesnej swojej i innych osób?". Dzieci w wieku 9–12 lat miałyby, jak zapisano w wymaganiach szczegółowych, umieć określać pojęcie zdrowia seksualnego człowieka, jego pozytywny wymiar oraz wymieniać i identyfikować stereotypy płciowe i rozumieć ich negatywny wpływ na człowieka.

Im wyższa klasa w toku kształcenia, tym bardziej podstawa programowa zdaje się być nacechowana ideologicznie, odbiegając tym samym od deklarowanej neutralności światopoglądowej. W podstawie dla klasy VII–VIII uczeń powinien już umieć zdefiniować, czym jest „pojęcie orientacji psychoseksualnej i kierunki jej rozwoju (heteroseksualna, homoseksualna, biseksualna, aseksualna)" czy rozumieć takie pojęcia jak: tożsamość płciowa, cispłciowość, transpłciowość oraz określać, jakie są metody antykoncepcji. Uczniowie liceów i techników mają już umieć omawiać metody antykoncepcji, a w ramach zagadnień fakultatywnych: „zagadnienie przyjemności seksualnej", określać, co wpływa na libido, wymieniać formy aktywności seksualnej, znać zaburzenia i dysfunkcje seksualne, a także omawiać „kwestie prawne i społeczne związane z przynależnością do grupy osób LGBTQ+".

Nowy przedmiot zamiast dawnego to wybór polityczny?

Trudno oprzeć się wrażeniu, że nowy przedmiot – „edukacja zdrowotna" – nie jest podyktowany jedynie potrzebami edukacyjnymi, ale jest wyborem pewnej drogi politycznej, na którą nie ma zgody wielu polskich środowisk i sporej rzeszy rodziców. Nie jest to bowiem przedmiot neutralny ze światopoglądowego punktu widzenia, co uwidacznia nie tylko podstawa programowa tego przedmiotu, lecz także sam przebieg jego wprowadzenia. Edukacja zdrowotna ma zastąpić inny przedmiot, który okazał się niewygodny dla wielu czołowych, stojących u władzy i lewicowo nastawionych polityków, a mianowicie wychowanie do życia w rodzinie, którego celem miało być przygotowanie do pełnienia ról małżeńskich, rodzicielskich, nauczania o procesach związanych z dojrzewaniem młodych ludzi, ich wkraczaniem w dorosłość i umiejętnością do pełnienia ważnych zadań życiowych oraz kwestią odpowiedzialnej prokreacji. Nowy przedmiot dla odmiany, jeśli chodzi o dojrzewanie młodych ludzi, pomija pełnienie ważnych ról życiowych wkraczającego w dorosłość człowieka, a skupia się przede wszystkim na kwestiach związanych z samą inicjacją seksualną oraz na proble-

eprasa.pl 8b1fcfea26

mach związanych z życiem seksualnym, sposobach antykoncepcji oraz umiejętności zachowania autonomii ciała własnego i drugiej osoby, a także radościami płynącymi z ciała.

Według aktualnego przedmiotu, wychowania do życia w rodzinie, do czego zresztą odnosi się sama jego nazwa, uznaje się, że – co zgodne jest z polskim prawem – podstawową jednostką społeczną chronioną w szczególny sposób jest rodzina. To ona stanowi fundament społeczeństwa. W podstawie programowej nowego przedmiotu słowo „małżeństwo" nie pada ani razu w kontekście seksualności (pojawia się raz przy okazji omawiania wątków prawnych), podobnie jak „mąż" czy „żona". Słowa te zostają zastąpione przez inne sformułowania – związek partnerski, związki partnerskie, partnerzy, norma partnerska. Słowa „rodzina" używa się najczęściej w kontekście rozwodu, „miłość" pojawia się cztery razy, a słów „ojciec" czy „matka" w ogóle nie. Niegdzie nie jest podkreślone, że małżeństwo i rodzina to są wartości, o czym jest mowa na WDŻ. Widocznie podkreślanie tego, że rodzina to źródło miłości, radości i życia, to wiedza mało aktualna i nieprzystająca do współczesnych czasów.

Depriorytetyzacja roli rodziny w państwie i społeczeństwie, obecna w „edukacji zdrowotnej", jest sprzeczna z art. 18 oraz art. 71 Konstytucji RP, która jednoznacznie stwierdza, że to rodzina właśnie jest fundamentem dobrze funkcjonującego i służącego obywatelom państwa. W czasach osłabienia rodziny, także w jej funkcji wychowawczej, dużej liczby rozwodów i rozpadów związków rodzicielskich, depresji demograficznej, eliminacja treści zawartych w podstawie programowej WDŻ jest tym bardziej sprzeczna z dobrem uczniów, polskiego społeczeństwa i polskiej racji stanu. Zwraca na to uwagę Zarząd Polskiej Federacji Ruchów Obrony Życia w liście otwartym do wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza w sprawie przedmiotu wychowanie do życia w rodzinie.

▶ Czy edukacja zdrowotna jest zdrowa dla uczniów?

Jednym z twórców podstawy programowej nowego przedmiotu jest seksuolog prof. Zbigniew Izdebski. Zastrzegał on, że edukacja seksualna, będąca istotnym elementem edukacji zdrowotnej i określona w projekcie jako nauka o „zdrowiu seksualnym", ma być neutralna pod względem światopoglądowym oraz ma nie naruszać wolności uczniów i rodziców do zachowania własnych przekonań. Neutralna światopoglądowo jednak nie jest.

Odnosząc się krytycznie do omawianej podstawy programowej nowo wprowadzanego przedmiotu szkolnego, można podać w wątpliwość wiele ważnych jego punktów. Przede wszystkim budzi sprzeciw niedostosowanie do wieku uczniów omawianej tematyki związanej z życiem seksualnym. Czy naprawdę dziewięcioletnie dzieci muszą rozumieć i definiować pojęcie seksualności? Czy dziecko nie ma prawa zachować tu poziomu dziecka i nie wkraczać pośpiesznie w świat ludzi dorosłych, którzy czerpią wiedzę o życiu seksualnym przede wszystkim z własnej praktyki? Czy teoretyczna wiedza na temat życia seksualnego nie rozbudzi w młodych ludziach nadmiernie popędów i nie odbije się negatywnie na ich relacjach z rówieśnikami? Czy wreszcie sposób, w jaki podana jest wiedza na lekcji, nie sprawi, że tak intymna i osobista sfera ludzkiego życia ulegnie na zawsze w umysłach młodych ludzi instrumentalizacji oraz medykalizacji i przestanie być tym, czym faktycznie jest, przynajmniej nadal w naszym świecie, czyli ekspresją wyższych uczuć i wyrazem więzi między dwojgiem ludzi? I czy ten wyraz ludzkiej więzi, jakim jest seks, naukowo na lekcji omówiony, nie zostanie zredukowany do zwykłego popędu, który jest niezależny od drugiego człowieka i łączącej nas z nim relacji?

Tu dochodzimy znowu do deklarowanej neutralności światopoglądowej. W myśl nauk Kościoła katolickiego nie należy do zdrowych żadna inna forma aktywności seksualnej poza seksualnością dwojga małżonków. Taka postawa ma silne zakorzenienie w wiedzy i nauce Kościoła katolickiego i wielu innych Kościołów. Jeśli uczeń ma traktować jako normę inne formy aktywności seksualnej i orientacje seksualne, to trudno tu o zachowanie neutralności światopoglądowej, która była deklarowana przez twórców nowego przedmiotu szkolnego, który będzie przecież obowiązkowy w szkole. Ta postawa kłóci się z konstytucją i można ją ująć jako naruszenie wolności światopoglądowej.

Rodzice, którzy pragną wychować swoje dzieci w duchu katolicyzmu, również sprzeciwiali się wprowadzeniu edukacji zdrowotnej do szkół jako przedmiotu obowiązkowego, nie zgadzali się bowiem z wieloma zagadnieniami zawartymi w podstawie programowej przedmiotu. A przecież zarówno polska konstytucja, jak i Europejska Konwencja Praw Człowieka gwarantują rodzicom prawo do zapewnienia wychowania i nauczania zgodnego z ich przekonaniami moralnymi i religijnymi.

Edukacja seksualna winna być równocześnie wychowaniem do miłości, czyli wychowaniem integralnym, obejmującym całego człowieka, jego sferę intelektualną, emocjonalną, społeczną, seksualną i duchową. Problem edukacji seksualnej jest aspektem ważnym, ale musi być włączony w całokształt dojrzewania człowieka jako osoby. Tylko wtedy będzie dla młodych ludzi edukacją zdrową. ■

eprasa.pl 8b1fcfea26

Krzysztof Wołodźko

Demograficzne wyzwania rosną. Migracja nie rozwiąże problemu

Musimy zatrzymać spadek liczby ludności. Projekcja badawcza mówi o 15 mln Polaków i Polek w 2100 roku. Historia się wówczas nie kończy. Z symulacji, którą wykonałem, wynika, że jeśli nic się nie zmieni, to w 2200 roku w Polsce byłoby tylko 4 mln mieszkańców – z Mateuszem Łakomym rozmawia Krzysztof Wołodźko.

▶ Gdyby polski wzrost w powojennych dekadach – zarówno w PRL, jak i w III RP – mierzyć dzietnością, jakie czasy wypadłyby najlepiej?

Im dalej w przeszłość, tym lepiej. Dzietność w Polsce w XX i XXI wieku właściwie tylko malała. Zaraz po II wojnie światowej była stosunkowo najwyższa, na początku lat 50. sięgała 3,7 dziecka na kobietę. To nieporównywalne do czasów obecnych. Do lat 60. XX wieku dzietność spadała, ale długo utrzymywała się na poziomie około 2,2. Od czasów transformacji spadła do poziomu mniej więcej 1,3. Dane z 2023 roku to 1,16 dziecka na kobietę.

▶ Jak tłumaczą to demografowie?

Wiodąca teoria przejścia demograficznego mówi, że w ramach modernizacji i związanych z nią zmian, takich jak urbanizacja, aktywizacja zawodowa kobiet i szerzej – praca poza gospodarstwem domowym, dzietność spada i będzie spadać we wszystkich społeczeństwach i społecznościach. To proces rozciągnięty w czasie. W krajach europejskich trwał stosunkowo długo, około 100–150 lat. W Azji obserwujemy jego mocne przyspieszenie. Afryka jest gdzieś pośrodku, ale także jej to dotyka.

▶ Warto wspomnieć o ostatniej fali wyżu demograficznego w Polsce.

To czasy drugiej połowy lat 70. i pierwszej połowy lat 80. Nazywamy to echem wyżu powojennego. Pokoleniu powojennego wyżu demograficznego zaczęły się wówczas rodzić dzieci. Nie była to ogromna dzietność, wynosiła średnio 2,2 dziecka na kobietę, ale przez sam fakt zwiększonej liczby potencjalnych rodziców mieliśmy zwiększoną liczbę urodzeń.

▶ To działa również w drugą stronę? Wcześniejsze niże demograficzne skutkują po kilku dekadach kolejnymi niżami?

To falowanie zostanie z nami na długo: Polska wciąż płaci za nieciągłość demograficzną spowodowaną przez II wojnę światową. Dziś w wiek reprodukcyjny mocno weszły osoby urodzone w latach 90. Ludzie urodzeni w pierwszym dziesięcioleciu XXI wieku też wchodzą stopniowo w stałe związki, myślą o dzieciach. Z rocznika na rocznik jest ich jednak coraz mniej.

▶ W jednym ze swoich tekstów dla Klubu Jagiellońskiego pisze Pan, że za trzy pokolenia będzie nas niecałe 15 mln. I ostrzega, że tak niskiej dzietności nie da się skompensować migracjami. Skąd ta przestroga?

Po pierwsze, musimy zatrzymać spadek liczby ludności. Projekcja badawcza mówi o 15 mln Polaków i Polek w 2100 roku. Historia się wówczas nie kończy. Z symulacji, którą wykonałem, wynika, że jeśli nic się nie zmieni, to w 2200 roku w Polsce byłoby tylko 4 mln mieszkańców. Przypomina się scenariusz z „Seksmisji" z pytaniem, które przestaje być zabawne: „Jak to, mężczyźni wyginęli?".

Po drugie, biorąc pod uwagę, jak niska jest dzietność, to zbyt duże są liczby migrantów, które byłyby potrzebne, żeby skompensować liczbę dzieci, które się nie urodziły, nie dorastały, nie zostały pracownikami i pracodawcami, uczonymi, lekarkami, sprzedawcami, konsumentami.

▶ Jak bardzo „zbyt duże" to liczby?

Zakład Ubezpieczeń Społecznych oszacował, że potrzebowalibyśmy średnio rocznie 280 tys. migrantów w każdym kolejnym dziesięcioleciu tylko po to, żeby zatrzymać proces starzenia się ludności w Polsce. A przecież już wiemy, że niemożliwe jest pozyskanie tak znacznej liczby osób, które osiedliłyby się w Polsce na stałe.

▶ Poza tym trudno sobie wyobrazić asymilację tak znacznej grupy napływowej ludności.

Migracja zarobkowa w tej skali to było rozwiązanie dobre dla XIX-wiecznych Stanów Zjednoczonych. USA miały nie tylko duże przestrzenie do zasiedlania, były też krajem stworzonym przez migrantów z Europy, co zdecydowanie ułatwiało asymilację dużej liczby przybyszów.

Dziś nie mamy takiej sytuacji. Nie ma też możliwości, żeby migranci z Ukrainy czy Białorusi wypełnili lukę, bo te państwa także mają swoje kłopoty z demografią.

▶ Jak wygląda sytuacja demograficzna w Polsce w porównaniu z realiami Europy Zachodniej i Rosji?

Dzietność w Polsce należy do najniższych w Europie. W 2023 roku gorzej wypadały tylko Hiszpania i Malta. W Polsce długo zwracaliśmy uwagę na wyższą dzietność w państwach nordyckich. W społecznej świadomości utkwiło, że północna Europa to kraje demograficznego sukcesu. Od 15 lat w tych krajach notowane są istotne spadki. Demograficzne załamanie przyszło też w Czechach, które długo przedstawiano nam jako wzór do naśladowania. Jeszcze w 2021 roku nasi południowi sąsiedzi mogli pochwalić się najwyższą dzietnością w Europie – 1,8 dziecka na kobietę.

Federacja Rosyjska w 2023 roku miała nieco lepszą dzietność niż Polska. Różni się ona tam w zależności od grup etnicznych. Etniczni Rosjanie mają jedną z najniższych dzietności we własnym państwie. Stosunkowo najwyższą mają narody muzułmańskie, ze szczególnym wskazaniem na Kaukaz, gdzie najżywsze są wspólnotowość i religijność. Stąd w ostatnich dekadach sukcesywnie spada liczba Rosjan wśród mieszkańców Rosji.

FOT. Z ARCH. ROZMÓWCY

eprasa.pl 8b1fcfea26

▶ Zaryzykuję hipotezę: europejskie narody żyjące pod sowiecką presją stały się po '90 roku zakładnikami sił politycznych i rynkowych, które nie były zainteresowane nie tylko ich znaczącym wzrostem gospodarczym, lecz także demograficzną siłą. To mocno przerysowana opinia? Czy tkwi w niej ziarno prawdy?

Nie mam podstaw, żeby stwierdzić, że tak było. Patrzę na to inaczej. Kraje, które wychodziły z sowieckiej strefy wpływów, miały większe problemy niż myślenie o demografii. Państwa takie jak Polska były wówczas o wiele uboższe, niż są obecnie, miały mniej możliwości, by aktywnie o to zadbać.

W czas transformacji weszliśmy z dzietnością równą zastępowalności pokoleń. Załamanie przyszło nieco później – na to mogły nałożyć się i czynniki związane z przemianami społeczno-gospodarczymi, i demograficzne determinanty. Nie widzę w tym jednak ani złej woli, ani przeoczenia, sytuacja mogła wydawać się w miarę bezpieczna.

▶ Niską dzietność w Polsce próbuje się dziś tłumaczyć wieloma czynnikami. Jedni mówią o problemach mieszkaniowych, drudzy o niestabilności życia zawodowego, niekorzystnej relacji pracy i płacy, jeszcze inni o niewystarczającej lub nieprzemyślanej polityce społecznej, skutkach ubocznych pandemii, obyczajowym i ideowym antynatalizmie. Wieloprzyczynowość wyjaśnia więcej, ale czy Pana zdaniem da się ułożyć hierarchię antydemograficznych czynników, czy to raczej obyczajowe, społeczne i gospodarcze kłącze?

W mojej ocenie mamy do czynienia z hierarchią konkretnych czynników. W książce „Demografia jest przyszłością. Czy Polska ma szanse odwrócić negatywne trendy" przedstawiłem 10 najbardziej znaczących. Pierwszy i najważniejszy to nierówności edukacyjne między kobietami i mężczyznami. Drugi to wysoka niestabilność zatrudnienia, zwłaszcza wśród młodych dorosłych. Trzeci to brak wystarczających środków do życia w przypadku pierwszych trzech lat po urodzeniu dziecka.

▶ Co poza pierwszą trójką?

Problemy z dostępnością mieszkań dla młodych dorosłych; słabe relacje w parze i w rodzinie; niedostępność pracy na część etatu; cesarskie cięcia bez wskazań medycznych i endometrioza; relatywnie niewielkie dochody na osobę w rodzinach chcących mieć co najmniej troje dzieci; wyzwania kulturowe, czyli – w skrócie – uzależnienie od Internetu, smartfona, mediów społecznościowych; sekularyzacja.

▶ Czynników jest sporo, pytanie, jak z polityczną i społeczną świadomością demograficznych wyzwań.

W 2022 roku Polska opublikowała strategię demograficzną, która proponuje kompleksowe podejście do zagadnienia. Wedle mojej wiedzy ta strategia wciąż obowiązuje. Problem mógłby być mocniej dyskutowany, działania bardziej prężne, ale nie można powiedzieć, że go bagatelizujemy.

▶ Czy permanentny kryzys ochrony zdrowia jest czynnikiem, który źle lub bardzo źle wpływa na niską dzietność w Polsce?

Moim zdaniem większość czynników, które składają się na kryzys demograficzny, nie wiąże się ze stanem ochrony zdrowia. Kolejki seniorów do lekarza to przecież inna sprawa.

▶ A zamykanie porodówek? I gorsza dostępność do placówek medycznych na prowincji?

To jest kłopot – ciąża może przez to stać się bardziej uciążliwa. Nie jest to jednak najistotniejszy czynnik dla par, które chcą zdecydować się na dziecko. Poza tym w porównaniu z innymi krajami Europy w Polsce sieć porodówek jest wciąż stosunkowo gęsta.

Widzę szerszy problem. Usługi publiczne poza większymi miastami są gorzej dostępne. Jeśli depopulacja będzie postępować, ich dostępność może się jeszcze pogorszyć. Nie tylko będzie mniej potencjalnych pracowników i pracownic choćby w ochronie zdrowia, lecz także samorządy będą miały mniej pieniędzy z danin publicznych.

▶ Wiele mówi się dziś o kryzysie rodziny, kryzysie ojcostwa. Dla Pana nie są to jednak tak oczywiste sprawy.

Jeśli spojrzeć długofalowo, to od lat 90. – wbrew potocznym mniemaniom – zobaczymy sporo zmian pozytywnych. Relacja rodziców z dziećmi nie osłabła, poprawia się znaczenie i rola ojców. Wzrasta też jakość związków, zaangażowanie mężczyzn w sprawy domowe: opiekę nad dziećmi, uczestnictwo w codziennych obowiązkach, sprzątaniu, gotowaniu.

▶ Poświęcił Pan temu osobny tekst: „Wszyscy znamy matkę Polkę. Kim jest ojciec Polak?".

Modelowo najwięcej dzieci mają osoby, u których występuje równocześnie kilka cech. To są sprawy, które mocno się ze sobą wiążą: mają wyższe wykształcenie i wyższe dochody, są w małżeństwie, mają wyższą religijność, są bardziej zaangażowane w życie rodzinne, mają wysokie kompetencje emocjonalne.

Brak kilku wskazanych czynników równocześnie powoduje, że mężczyzna nie tylko ma mniej dzieci, ale mniejsze jest też prawdopodobieństwo, że będzie w stałym związku. Dysponowanie tymi kompetencjami emocjonalnymi i finansowymi, stabilność zawodowa zwiększa atrakcyjność mężczyzn i sprawia, że mają większe szanse na stworzenie wielo-

eprasa.pl 8b1fcfea26

dzietnej rodziny – to uniwersalny wniosek z badań demograficznych.

▶ Jesteśmy jednak przyzwyczajeni do krzywdzącego obrazu rodziny wielodzietnej jako mniej zamożnej, mniej majętnej. W najbardziej obrzydliwych stereotypach – wręcz patologicznej. To, o czym Pan mówi, stoi zdecydowanie w kontrze do takich wyobrażeń.

Wielodzietna, mało zamożna, wręcz patologiczna rodzina to już tylko uprzedzenie. Wielkomiejski stereotyp, bo poza dużymi ośrodkami duże rodziny są na ogół postrzegane pozytywnie.

Brak nam bieżących danych, ale prawdopodobnie w Polsce mamy do czynienia ze zjawiskiem, które jest prawidłowością w znacznie zamożniejszych krajach europejskich, takich jak Szwecja czy Francja – im więcej ktoś zarabia, im ma wyższe wykształcenie, tym więcej ma dzieci. A najmniej dzieci mają osoby najgorzej wykształcone i najmniej zarabiające.

Większa liczba dzieci to również większe wydatki, stąd nawet osoby lepiej zarabiające z kilkorgiem potomstwa nie mogą liczyć na znacznie wyższy standard życia.

▶ Luksusy są dla zamożniejszych bezdzietnych singli?

W dobrze zarabiających rodzinach wielodzietnych widać priorytet – chęć posiadania dzieci przeważa nad pragnieniem gromadzenia majątku czy zasobnym, komfortowym życiem.

▶ To interesująca sytuacja, w której zdolność elit do reprodukcji jest większa niż klasy ludowej. Wniosków z tego można wyciągnąć sporo. Choćby dotyczących tego, kto będzie pracował na bogatych.

W obecnej sytuacji społeczno-gospodarczej te same cechy osobowe kobiety i mężczyzny, które decydują o ich wyższym statusie społecznym i majątkowym, powodują, że dwoje ludzi może stworzyć szczęśliwą rodzinę. Emocjonalna stabilność, zdolność do ciągłego wysiłku zawodowego, rozwiązywania problemów życiowych owocują i w życiu osobistym, i zawodowym.

▶ To, o czym Pan mówi, zderza się jednak z wieloma wyzwaniami, które dotykają szczególnie mniej zamożnych Polek i Polaków.

Gdy przyjrzymy się deklaracjom Polek i Polaków dotyczących tego, ile chcieliby mieć dzieci, nie dostrzegamy większych różnic między osobami słabiej i lepiej zarabiającymi. Pewne różnice są powiązane z wykształceniem, ale nie są znaczące. W praktyce jednak to ludzie o lepszym wykształceniu i dochodach mają więcej dzieci. Najpewniej możemy już powiedzieć, że osoby o niższym statusie społecznym są wykluczone z możliwości wychowywania większej liczby potomstwa. I umożliwienie im poprawy dzietności to bieżące wyzwania dla polityki demograficznej w Polsce. 500 plus, a następnie 800 plus umożliwiło przełamanie pewnych barier w tym względzie.

▶ Z tego, co Pan mówi, wynikałoby, że dziecko jest dziś w małżeństwie czy związku nieledwie przywilejem.

A jednak dzieci na ogół rodzą się dziś w związkach z przyczyn emocjonalnych. Są owocem miłości rodziców, nie mają żadnych funkcji ekonomicznych, jak było wcześniej. Wychowanie dzieci kosztuje, ale nie ma już zwrotu finansowego z ich posiadania. Z całą pewnością większa liczba dzieci to miara statusu społeczno-ekonomicznego. Jeszcze tak tego społecznie nie postrzegamy, ale chyba już do tego doszło.

▶ To przypomina obraz wielodzietnej rodziny, szalenie popularny w zamożniejszych konserwatywno-katolickich kręgach.

Wysoka religijność w chrześcijaństwie, zwłaszcza w katolicyzmie, i konserwatywnym protestantyzmie, sprzyja większej liczbie dzieci. Wysoka religijność w ogóle sprzyja większej dzietności – to jedna z najlepiej udokumentowanych prawidłowości w demografii. W religijnych związkach wyżej postrzega się wartość wychowywania dzieci, dla osób głębiej wierzących dziecko jest więcej znaczącym dobrem.

W religijnych relacjach bardziej dba się o trwałość rodziny i związku. Małżeństwa są mocniejsze, wcześniej są zawierane. Religijność jest często dziedziczona w rodzinie, więc dziadkowie, którzy wyznają podobny system wartości, są bardziej skłonni do pomocy w opiece nad wnukami. W środowiskach religijnych istnieje instytucjonalne zaplecze, mniej lub bardziej formalne, sprzyjające decyzjom o rodzicielstwie.

Mówimy o statystyce, nie oznacza to więc, że osoby religijne nie rozwodzą się lub że nie mają problemów z posiadaniem czy wychowywaniem dzieci.

▶ Kto decyduje o tym, ile w małżeństwie czy związku jest dzieci?

Decyzja jest wspólna, choć bardziej może to być warunkowane wolą kobiety. Ale na postawę kobiety w największym stopniu wpływa zachowanie w związku mężczyzny.

▶ Ten wątek naszej rozmowy możemy podsumować krótko: dziś w Polsce tylko religijny samiec alfa może czuć się bezpieczny, jeśli chodzi o dzieci...

[śmiech] Im większe zasoby mężczyzny, tym większe szanse na atrakcyjną partnerkę i posiadanie większej liczby dzieci.

eprasa.pl 8b1fcfea26

Powtórzę ważną rzecz: wbrew globalnym tendencjom socjologicznym, które od dekad sprowadzają dyskusję o demografii do polityki społecznej, mieszkalnictwa czy kwestii *in vitro*, istotnych czynników jest znacznie więcej, i dopiero one tworzą pełen obraz zjawiska, składającego się na kryzys dzietności.

▶ W ciągu kilku ostatnich dekad Polska padła ofiarą dwóch znacznych fali migracji. Jedna to druga połowa lat 80., kiedy migracja polityczna wypłukała szczególnie prowincjonalną Polskę z lokalnych elit; druga to pierwsze lata po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Obie fale migracji służyły jak wentyl bezpieczeństwa dla PRL-owskiego reżimu i kolejnych rządów III RP. Pytanie, jaki miały wpływ na naszą sytuację demograficzną?

Zabrakło części potencjalnych rodziców. W swojej książce przypominam badanie polskich badaczek z 2018 roku wskazujące, że gdyby w naszym kraju od 1980 roku nie było emigracji, to nawet przy spadającej dzietności mielibyśmy już w 2015 roku ponad 41 mln, a nie 38 mln mieszkańców.

▶ Czy Pana zdaniem dyskusja o demografii w Polsce jest dziś naprawdę znacząca w debacie publicznej? Miałem wrażenie, że w ostatnich latach kwestie demograficzne służyły jako argument pomocniczy czy to w kłótniach o 500/800 plus, czy to w gorącym sporze o aborcję. To nie najlepszy prognostyk.

Uczestniczę z bardzo bliska w tej dyskusji, więc proszę nie liczyć na dystans [śmiech]. Można by o demografii mówić więcej i rzetelniej, ale myślę, że największym problemem jest nieuświadomione przeświadczenie, że nic się nie da zrobić.

▶ Fatalizm?

Pogląd, że włożyliśmy miliardy złotych w 800 plus, a nic się nie zmienia; że budujemy żłobki, a jest tylko gorzej; że oferujemy mnóstwo ulg podatkowych i nic się nie poprawia.

W dużej mierze naśladujemy Europę Zachodnią. Tam głównymi instrumentami na poprawę dzietności są żłobki, urlopy macierzyńskie i ojcowskie, zasiłki, ulgi. Obserwujemy ograniczoną sprawczość, i to rodzi pesymizm, przekonanie, że nic nie działa. Sądzę jednak – pisałem o tym w książce – że Europę i Polskę dopiero czeka naprawdę kompleksowa debata o demografii, uwzględniająca szersze spektrum czynników.

▶ Jak na razie chyba nie mamy w Polsce przedyskutowane, czy ulgi, żłobki i 500/800 plus pomogły, pomagają, jeszcze pomogą?

Nie ma wątpliwości, że 800 plus sprzyja decydowaniu się na co najmniej troje dzieci. Wiemy, że najbardziej wpłynęło – od kiedy istniało jeszcze jako 500 plus – na urodzenia trzecie i dalsze. Do dzisiaj widać ten efekt. W 2015 roku urodzenia trzecie i dalsze to było 15 proc. wszystkich urodzeń. W ciągu kolejnych trzech lat udział narodzin takich dzieci wzrósł do 22 proc.

Ten odsetek cały czas się utrzymuje – wsparcie państwa realnie zmniejszyło bariery finansowe dla wielu osób pragnących kolejnego dziecka. Oczywiście, odsetek urodzeń trzecich i kolejnych zawsze będzie mniejszościowy. Ale być może 800 plus pozwoliło części mniej zamożnych na narodziny kolejnych dzieci.

▶ Mamy też w Polsce ulgi na dzieci, wspólne rozliczanie się małżonków, karty rodzin wielodzietnych, zerowy PIT.

Ulgi powodują, że więcej pieniędzy zostaje nam w kieszeni. A decyzja prokreacyjna zależy także od tego, ile złotych wpada nam co miesiąc na konto, a nie od tego, ile teoretycznie zarabiamy. Transfery finansowe i ulgi finansowe realnie wpływają na to samo – ile środków będziemy mieli realnie do dyspozycji jako młodsi i starsi potencjalni rodzice.

▶ Karty rodzin wielodzietnych mają też pewnie mocno godnościowe znaczenie.

Słyszałem takie opinie od rodziców rodzin wielodzietnych. Może być sporo racji w tym, że pojawienie się karty ogólnopolskiej i kart regionalnych było znaczącym czynnikiem poprawiającym społeczną percepcję tych rodzin.

▶ A żłobki jako czynnik sprzyjający dzietności?

To trudny temat, mamy mocno rozbieżne badania na ten temat. Gdybyśmy mieli dawać jakieś uogólnienia, to w mojej ocenie żłobki co do zasady nie działają na poprawę dzietności. Mogą działać w pewnej szczególnej sytuacji, czyli na przykład dla osób z wyższym wykształceniem w dużych miastach, ale ten efekt wciąż nie jest wielki.

▶ Aktywność zawodowa każe im pytać o żłobek w okolicy?

Istotniejsze jest co innego – nie mają innej niż żłobek opcji opieki nad dzieckiem.

▶ I są „słoikami"?

Wyjechali daleko z rodzinnych domów, mają niepewną sytuację zawodową, jeszcze nie zarabiają za dużo, nie utrzymają się z pensji jednej osoby. I nie mają szans, by bez żłobka poradzić sobie w Warszawie, Poznaniu czy Krakowie. Jednak

eprasa.pl 8b1fcfea26

w mniejszych ośrodkach obecność lub nieobecność żłobka nie wpływa tak na decyzję o rodzicielstwie.

▶ Dyskusja o demografii jest kolejną polską debatą podporządkowaną myśleniu ekonomicznemu. Z jednej strony trudno nie brać pod uwagę korelacji między tymi zjawiskami. Z drugiej – nasze debaty z reguły toczą się pod presją ultraliberalnych środowisk biznesowych, medialnych, politycznych, które nic nie miały przeciw „uśmieciowieniu" pracy, a mieszkalnictwo powiązały z deweloperką; środowisk, które traktowały pracownice i pracowników jak tanią siłę roboczą, nie troszcząc się o sprawy, o których dziś dyskutujemy w coraz bardziej minorowym tonie.

Dużo zależy od tego, z jakimi firmami mamy do czynienia. W wielkim przedsiębiorstwie łatwiej jest zastąpić nawet kilka pracownic na urlopie macierzyńskim. W małym biznesie o wiele trudniej.

▶ Czyje interesy są ważniejsze?

Zawsze moje – tak można półżartem powiedzieć.

▶ Państwo powinno być rozjemcą?

Podmiotem, który dba o dobro wspólne, stara się z jednej strony wyważyć racje mniejszego i większego biznesu, z drugiej – zadbać o możliwość zdecydowania się na większą liczbę dzieci przez Polki i Polaków. Myślę, że biznes coraz lepiej widzi problem. Szczególnie ten, który wytwarza produkty dla małych dzieci i dostrzega, że słaba dzietność to coraz niżej wiszący sufit dla firm.

Obserwuję wielu biznesmenów w mediach społecznościowych i debacie publicznej i mam wrażenie, że problem demograficzny jest dostrzegany przez nich coraz częściej. Nie tylko Elon Musk głośno o tym mówi.

▶ Obawiam się, że w polskich realiach kończy się to na próbach łączenia wody z ogniem.

Na pewno ważne jest, by w miarę szybko oferować pracownikom i pracownicom umowy na czas nieokreślony. Ważne jest także oferowanie pracy na część etatu. To oczywiście jest trudniejsze, ale wiemy, że część osób, które mogłyby pracować, dzisiaj nie pracuje, bo pełen etat to z różnych przyczyn dla nich za dużo.

▶ Jak uratować Polskę B i C przed wyludnieniem?

Potrzebujemy policentryzacji, czyli równomiernego rozwoju metropolii, dużych, średnich i małych ośrodków. Polska mniejszych miejscowości potrzebuje tego, co właściwie jest już wiadome: efektywnych usług publicznych, dobrej pracy dla osób także z większymi ambicjami. Niemało ludzi szuka dobrych powodów, żeby zostać w rodzinnych stronach, ale zbyt często wciąż ich nie znajduje. Polskie społeczeństwo szybko się modernizuje, szuka w racjonalnej odległości od domu tego, co jest potrzebne do dobrego, nowoczesnego życia.

▶ Niestety, wiemy skądinąd, że na przykład wielu lekarzy nie chce mieszkać w mniejszych ośrodkach. Dotyczy to pewnie wszystkich zawodów, w których pieniądze wiążą się z większym prestiżem i życiowymi możliwościami.

Zrównoważony przestrzennie rozwój to jest rzecz do zrobienia. Polska ma wielki potencjał w tym względzie. Spośród krajów europejskich mamy jedną z najbardziej zrównoważonych sieci osadniczych. Duże i średnie miasta są stosunkowo równomiernie rozłożone. Potencjał Warszawy jest znaczny, ale nie tak wielki jak Paryża, Sztokholmu czy Londynu. Kraków, Poznań, Wrocław równoważą siłę naszej stolicy.

▶ W nieco gorszej sytuacji jest północny wschód i wschód kraju. Olsztyn czy Rzeszów to jednak mniejsze miasta.

Jest jeszcze Lublin czy Białystok. Są mniejsze ośrodki, jak Siedlce, Chełm czy Suwałki. Jest Przemyśl. Zrównoważony rozwój, bazujący m.in. na dobrej komunikacji, może zapewnić każdemu z tych miast odpowiednie szanse. Tym bardziej, że mniejsze ośrodki to inne korzyści – spokojniejsze życie, lepsze dojazdy, zakorzenienie w rodzinnych stronach.

▶ Politycy mogą coś zrobić, żeby Polki i Polacy mieli więcej dzieci?

Przede wszystkim potrzeba międzypartyjnego konsensusu w sprawach, o których mówiliśmy. Tym bardziej, że Polacy i Polki chcą mieć więcej dzieci niż potrzeba do zastępowalności pokoleń. ■

Mateusz Łakomy – ekspert ds. demografii specjalizujący się w obszarze czynników wpływających na dzietność, instrumentów polityki państwa sprzyjających posiadaniu dzieci, sekularnych trendów demograficznych oraz demografii politycznej. Menedżer i konsultant z zakresu zarządzania oraz strategii z doświadczeniem w pracy dla biznesu, administracji oraz instytucji pozarządowych. Członek European Association of Population Studies. Były prezes zarządu fundacji Narodowe Centrum Rozwoju Demograficznego oraz przewodniczący Komisji Spraw Narodowościowych i Demograficznych, a także członek zarządu Polskiego Towarzystwa Geopolitycznego. Absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

eprasa.pl 8b1fcfea26

Zwycięzca! To najpiękniejsze dla Polaka słowo

Piotr Lisiewicz

Jej tekst robi oszałamiające wrażenie, tym bardziej, że jest dziś zapomniany. Tymczasem Jan Paweł II wypowiadał go codziennie. W jego prywatnej modlitwie nie było litanii do świętych, tylko Litania Narodu Polskiego. Jej tekst napisał biskup, który poświęcił Krzyż na Giewoncie, kapelan Legionów Piłsudskiego, dodający ducha polskim żołnierzom na wojnie z bolszewikami, kawaler Virtuti Militari, nazywany Piotrem Skargą odrodzonej Polski. Kto dziś przeczyta kazania biskupa Władysława Bandurskiego, pełne nawiązań do literatury romantycznej, odkryje, z czyjej myśli i wrażliwości czerpał garściami polski Papież.

FOT. WIKIPEDIA

Litania Narodu Polskiego będzie dziś uznana za kontrowersyjną. Nie inaczej było wtedy, gdy napisał ją biskup Władysław Bandurski. Był 1915 rok, trwała I wojna światowa, a duchowny chciał, by odmawiali ją polscy legioniści. Gdy jej tekst pojawił się w Krakowie, cenzura cesarska skonfiskowała go, a samego biskupa wywieziono do Wiednia, gdzie został nieformalnie internowany. Obrazoburczy tekst litanii był później uzupełniany przez samego Jana Pawła II. Czym treść tak przerażała i przeraża wrogów Polski?

▶ Męczennik z Auschwitz i męczennik bezbożnego komunizmu

Opowieść o polskich dziejach, przypominana opisem czynów polskich świętych i błogosławionych, robi piorunujące wrażenie. Pokazuje potęgę determinacji Polaków, by mieć własne państwo, ale także rozmiar chrześcijańskiego męczeństwa, wiek po wieku, od tysiąca lat. I chwyta za serce. Ot, taki fragment: „Święty Rafale Kalinowski, odnowicielu Karmelu, patronie Sybiraków, módl się za nami. Święty Bracie Albercie, opiekunie biedoty krakowskiej, módl się za nami. Święty Maksymilianie Kolbe, apostole Niepokalanej, męczenniku z Auschwitz, módl się za nami. Święta Tereso Benedykto od Krzyża (Edyto Stein), pochodząca z piastowskiej ziemi wrocławianko, męczennico nazizmu i współpatronko Europy, módl się za nami… Błogosławiony Jerzy Popiełuszko, opiekunie prześladowanych robotników, apostole Solidarności, męczenniku bezbożnego komunizmu, módl się za nami".

Ale zgodnie z pomysłem biskupa Władysława Bandurskiego, to także rozrachunek z polskimi błędami z całego tysiąclecia. Pokazanie grzechów, na których żerowali zaborcy. I bardzo czytelny przekaz, czego powinniśmy unikać: „Winy królów naszych, przebacz, o Panie. Winy magnatów naszych, przebacz, o Panie. Winy szlachty naszej, przebacz, o Panie. Winy rządzących krajem, przebacz, o Panie. Winy kierujących ludem, przebacz, o Panie. Winy pasterzy naszych, przebacz, o Panie".

▶ Dzieci katowane za polski pacierz i robotnicy z kopalni „Wujek"

Prośba o przebaczenie ma bardzo mocne uzasadnienie: „Głos krwi męczenników naszych, usłysz, o Panie. Głos krwi żołnierzy naszych, usłysz, o Panie. Brzęk pękających kajdan naszych, usłysz, o Panie. Płacz matek i żon, usłysz, o Panie. Płacz wdów i sierot, usłysz, o Panie. Płacz dzieci katowanych za polski pacierz, usłysz, o Panie. Łzy przesiedleńców i wygna-

eprasa.pl 1fcfea26

nych z Ojczyzny, usłysz, o Panie. Łzy rolników pozbawionych swej ziemi, usłysz, o Panie. Wołanie krzywdzonego roboczego ludu, usłysz, o Panie".

Jan Paweł II i kolejni powiernicy polskiego Kościoła dodawali kolejne wezwania. Ostatniej odnowy litanii dokonał w 2023 roku karmelita Szczepan Praśkiewicz OCD, w polskim Kościele Relator Dykasterii Spraw Kanonizacyjnych. Padają w niej także takie wezwania: „Jęki oficerów uśmierconych w Katyniu, Charkowie i Miednoje, usłysz, o Panie. Jęki Żołnierzy Wyklętych i męczenników ubeckich Polski powojennej, usłysz, o Panie. Jęki konających robotników Poznania, Wybrzeża, Radomia i kopalni »Wujek«, usłysz, o Panie. Jęki wszystkich ofiar systemu komunistycznego, usłysz, o Panie". „W obecnych czasach, kiedy tyle sił potrzeba naszemu Narodowi, aby zachować wolność i suwerenność, prosimy Cię, Boże, napełnij nas mocą Twojego Ducha" – czytamy na zakończenie. Czy ta bardzo mocna litania pojawi się w pewną niedzielę we wszystkich polskich kościołach?

Dzieci bite niemieckim kijem: „Serce polskie bić nie przestaje"

Niezależnie od aktualizacji, których dokonał Jan Paweł II i później zajmujący się tym duchowni, cała litania przesiąknięta jest myślą biskupa Władysława Bandurskiego (1863–1932). Porównanie Bandurskiego z żyjącym grubo ponad 300 lat wcześniej księdzem Piotrem Skargą absolutnie nie jest na wyrost. Czytając jego kazania, widzimy to jak na dłoni.

W 1906 roku, w 76. rocznicę powstania listopadowego, w kościele oo. dominikanów w Krakowie ks. Bandurski mówił o dzieciach wrzesińskich i poruszał sumienia tych, którzy nie mają odwagi, by walczyć o niepodległość Polski: „Dziś w Polsce, jeśli kto jeszcze walczy o prawa i o dusze, to dzieci z Poznańskiego, które mowy polskiej nie chcą zaniechać i religii się nie chcą uczyć w języku niemieckim – obcym… Niedawno chłopaczynie Miłosławiu zagroził profesor plagami, jeśli nie odpowie po niemiecku… grożąc też powiada: – Daję ci pięć minut czasu do namysłu.

I cóż to chłopię polskie, to małe, bezbronne, ubogie dziecko odrzekło? – Nie potrzebuję się wcale namyślać, wezmę kije, a po niemiecku nie odpowiem, bo kije bolą 10 minut, a sumienie będzie bolało całe życie.

Inny chłopiec, bity bezlitośnie, aż ręka krwią zabiegła, odrzekł: – Wy bijecie w rękę, ale przez to serce polskie bić nie przestaje!

Bracia! Rad bym wołać i wołać głosami tysiąca ludzi… Gdybyście wy tak walczyć umieli, jak walczą te dzieci, wtedy by naród był pewien zwycięstwa i przyszłość Ojczyzny nie zostałaby w mrokach ciemnoty".

„Ozłocone szychem kariery i posady dobrze płatnej"

Biskup Bandurski studiował ks. Skargę. Wydał nawet utwór dramatyczny z cytatami z kazań swojego wielkiego poprzednika „Złote usta, złote serce. Obrazek sceniczny z życia Piotra Skargi". Wiele mów Bandurskiego, podobnie jak 300 lat wcześniej, apelowało do polskich sumień i zagrzewało do walki o niepodległość. W Katedrze na Wawelu w rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki w 1903 roku biskup wyjaśniał: „Czego nas uczy testament Kościuszki? Któż nie wie, kto nie rozumie i nie odczuwa? Kościuszko przekazał pracę w narodzie, wezwał do obrony praw obywatelskich, zapukał do serca ludu i rozżarzył w niem uśpioną miłość ojczystej ziemi". Dlaczego naród potrzebuje bohaterów? „Bohaterstwo ze śmiercią nigdy się nie schodzi i dlatego bohater nie ginie, żyje wiecznie i dlatego naród, który ma bohaterów, nie przepada, nie tonie, nie gaśnie, a choćby zbladł na chwilę, zajaśnieć na nowo potrafi".

I Bandurski apelował do współczesnych, ostro ich napominając: „Gdzież są takie bohatery? Czyż to bohatery... upowite w puch samolubstwa i wygodnictwa, ozłocone szychem kariery i posady dobrze płatnej? Czyż to bohatery, co mącą wodę i truciznę rzucają, krzykacze, co kłam niosą i kłam sieją?".

Podkreślał, że sama modlitwa to za mało: „Lecz modlitwa sama nie zbawi, nie podniesie, nie uratuje. Modlitwa sama — to tylko skrzydła do lotu, ale nie lot bohaterski z nocy do rozświtu. Idźcie i nie szukajcie tych, którym wiele do bohaterstwa brakuje! Ale sami się liczcie z sobą, sami siebie odważajcie, mierzcie, szacujcie i oceniajcie. Polska musi być cała bohaterska, bo tylko taka z grobu niewoli powstanie...".

Dzieci praczek i stróżów upomną się o Polskę

Władysław Bandurski urodził się w roku powstanie styczniowego, 25 maja 1863, w Sokalu, dziś leżącym na Ukrainie. Był synem mistrza szewskiego Wincentego i Zofii z domu Haraszkiewicz. W domu jego rodziców spotykali się polscy działacze niepodległościowi. W czasie powstania dom stał się ważnym miejscem dla walczących. Jego matka była kurierką Rządu Narodowego, w powstaniu brał udział jego starszy brat. Gdy zryw upadł, w domu ukrywali się uczestnicy insurekcji.

Powstanie styczniowe będzie wracać w książkach i kazaniach księdza, a potem biskupa Bandurskiego. Był wychowany w domu, w którym Pan Bóg był na pierwszym miejscu. Był ministrantem, jako dziecko odprawiał nabożeństwo majowe przed ołtarzykiem ustawionym w domu. Modlił się przed obrazem Mat-

eprasa.pl 8b1fcfea26

ki Bożej Sokalskiej w bernardyńskim kościele Matki Bożej Pocieszenia w Sokalu. Pielgrzymował też do pobliskiego Tartakowa, gdzie czczony był obraz Matki Bożej Tartakowskiej.

Już jako ksiądz mówił w kazaniu dla nauczycielek o wychowaniu dzieci: „To są nasze skarby i klejnoty, to życie narodu, to jutro przyszłości! Wszystko jedno, czy to są dzieci ubogich praczek, stróżów, zarobników, czy dzieci z wiejskich chat, czy dzieci z urzędniczych domów. Każde dziecko jest harfą, którą wychowanie, nauka, przykład, miłość rozumna opiekunów ma nastrajać na ton szlachetnej harmonii. Każde dziecko jest marmurem, z którego się ma wyrzeźbić posąg przyszłego obywatela Polski". I inspirował wyobraźnię nauczycielek słowami: „Każda z was hetmanką nowej armii obrońców narodu".

„A wtedy już z wami robią, co im się podoba"

W Sokalu Władek ukończył pięcioklasową szkołę ludową prowadzoną przez siostry felicjanki. Potem we Lwowie uczył się w C.K. Gimnazjum im. Franciszka Józefa, gdzie w 1883 roku zdał maturę. W tym samym roku wstąpił do Seminarium Duchownego we Lwowie. Równocześnie podjął studia teologiczne na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Lwowskiego.

W 1887 roku przyjął święcenia kapłańskie z rąk abp. Seweryna Morawskiego. Mszę prymicyjną odprawił 25 lipca 1887 roku w kościele sióstr franciszkanek we Lwowie. Następnie wyjechał do Rzymu, gdzie studiował w Kolegium Polskim na Uniwersytecie Gregoriańskim. W 1889 roku obronił tam stopień doktora filozofii.

Po powrocie do Polski pracował jako wikary i katecheta. W tym czasie angażował się w działania patriotyczne, był organizatorem obchodów, nabożeństw i wspomnień bohaterów polskich, w tym także tych związanych z powstaniem styczniowym. Wśród pierwszych książek ks. Bandurskiego jest nowelka dla dzieci „Zwycięstwo kochającej matki", wydana w 1901 roku. Kończy się ona przesłaniem matki, które dziś brzmi nawet bardziej aktualnie: „Mój Jaśku! Jak komu oczy zawiążą, to go poprowadzą, gdzie chcą. Oni od tego zaczynają. Zawiążą oczy. Powiedzą wam: Wiara, i Kościół, i ksiądz, to wszystko niepotrzebne. A wtedy już z wami robią, co im się podoba".

To on poświęcił Krzyż na Giewoncie

Talenty młodego księdza szybko zostały dostrzeżone przez zwierzchników. W 1894 roku został mianowany przez powołanego do Krakowa ks. kardynała Janę Puzynę na jego kapelana i sekretarza. W 1896 roku objął funkcję kanclerza konsystorza generalnego Książęco-Biskupiego w Krakowie. Od 1901 roku pełnił funkcje kanclerza, referenta i radcy konsystorza.

19 sierpnia 1901 roku to on poświęcił Krzyż na Giewoncie. We wniesieniu na szczyt jego elementów wzięło 500 osób i 18 wozów. Najpierw wwieziono jego elementy na Halę Kondratową. Wnieść trzeba było także około 400 kilogramów cementu i 200 konewek płóciennych wody. Ksiądz Bandurski szedł na czele 300-osobowej procesji, która wyruszyła na Giewont o godzinie 7 rano. Na krzyżu umieszczony został napis: „Jesu Christo Deo, restitutæ per ipsum salutis MCM (łac. Jezusowi Chrystusowi, Bogu, w 1900 rocznicę przywrócenia przez Niego zbawienia)". Gdy ks. Bandurski poświęcił krzyż, uczestnicy uroczystości zaczęli powiewać wielką chustą, na co na dole czekał obserwator oglądający krzyż przez lunetę. I wtedy w Zakopanem rozdzwoniły się wszystkie dzwony. Ta opowieść wróciła w kazaniu Jana Pawła II w Zakopanem w 1997 roku: „Wasi przodkowie na Giewoncie wznieśli krzyż. Ten krzyż patrzy na całą Polskę, od Tatr aż do Bałtyku, ten krzyż mówi całej Polsce: Sursum corda! – »W górę serca!«. Trzeba, ażeby cała Polska, od Bałtyku aż po Tatry, patrząc w stronę krzyża na Giewoncie, słyszała i powtarzała: Sursum corda! – »W górę serca!«".

Szatańscy niszczyciele z Niemiec

W 1902 roku ks. Bandurski został mianowany przez papieża Leona XIII papieskim prałatem domowym. W 1903 roku wygłosił słynne kazanie podczas pielgrzymki Górnoślązaków w Kościele Mariackim w Krakowie: Mówił: „Dlaczego do Krakowa spieszycie z utęsknieniem? Dlaczego witacie szczyty tych wieżyc z radością? Dlaczego, choć jesteście może tu raz pierwszy, czujecie się, jak u siebie i wszystko wam się zdaje znane i kochane? Oto siła wspomnień dziejowych do was przemawia. Oto mówią do was kościoły, Zamek, ruiny, dzwony, pamiątki, grobowce, wszystko to, co się oparło niszczącym wrogom, co trwa i nie da się zniszczyć".

Ta siła miała pomóc Ślązakom w walce z germanizacją: „Stąd w was rośnie, mnoży się i potężnieje moc ducha, która ocala Śląsk od zgermanizowania, która was bezbronnych czyni niezłamanymi wobec zaciekłych wrogów, która was, oderwanych przez tyle wieków od macierzystego pnia, utrzymuje Polakami i nimi was dalej trzymać będzie".

Dalej ks. Bandurski mówił o Niemcach: „Odeprzemy wszystkie wysiłki szatańskich niszczycieli, pokonamy wszystkie zamiary, pohańbiające nasze dzisiejsze istnienie, nie uronimy jednego słowa z naszej mowy, nie zapomnimy jednej pieśni polskiej, nie damy

eprasa.pl 8b1fcfea26

jednej piędzi ziemi… Oni – mocni pięścią – my wiarą. Oni – mocni przekupstwem – my nadzieją".

Bez zasług wleczemy kajdany

Sławę dały mu też kazania w rocznicę narodzin i śmierci Kościuszki. Jego przemowy głosiły nie tylko pochwały ofiary i poświęcenia. Ksiądz Bandurski głosił pochwałę zwycięstwa. W 300. rocznicę urodzin o. Augustyna Kordeckiego w kościele oo. paulinów na Skałce mówił o obrońcy Jasnej Góry: „Ileż to lat!… Ile lat!… Ileż to jeszcze burz huczało gromami nad biedną naszą Polską!? Wielu jeszcze wielkich i jak słońce jasnych duchów w narodzie widzieliśmy… A przecież… tego mnicha na murach Częstochowy nikt nie zapomniał… jego białej postaci nie zatarł pochód lat wielu. Jego chwały i sławy nie zgasił blask i takich nawet wielkich, jakimi byli Sobieski, Kościuszko i inni".

I dalej: „Zwycięzca! To najpiękniejsze dla Polaka słowo, zawsze przy imieniu Kordeckiego stać będzie… Zwycięzca!… Szepcą o nim każde usta. Zwycięzcą zapisała go na swoich kartach historya… A zwyciężył złe w dobrem i nie dał się zwyciężyć złemu… wedle słów Apostoła".

Był to znowu pretekst, by powiedzieć współczesnym, że ich obowiązkiem jest Polskę wygrać: „A my? Bez zwycięstw, bez sławy, bez szczęścia, bez wolności, bez zasług wleczemy kajdany, idziemy zgnębieni, przybici, zdeptani i upokorzeni… Gdzież nam spojrzeć nawet na postać tego Kapłana-bohatera?".

Drugi Skarga

Złotousty Kapłan, Drugi Skarga, Skarga Odrodzonej Rzeczypospolitej – takie przydomki nadali mu współcześni. W 1905 roku ks. Bandurski był autorem odezwy do mieszkańców Galicji wzywającej do niesienia pomocy Polakom w Królestwie Kongresowym – rannym i potrzebującym w wyniku poboru żołnierzy do udziału w wojnie rosyjsko-japońskiej.

10 października 1906 roku został mianowany biskupem tytularnym cydoneńskim in partibus infidelium (łac. w prowincjach zamieszkanych przez niewiernych). 30 grudnia 1906 roku w archikatedrze lwowskiej został konsekrowany przez abp. Józefa Bilczewskiego na biskupa-sufragana archidiecezji lwowskiej. Został też rektorem Seminarium Duchownego we Lwowie. Współpracował z Uniwersytetem Lwowskim. Propagował kult królowej Jadwigi, propagował hasło „Zbudźmy Jadwigę", pragnąc wszczęcia jej procesu beatyfikacyjnego. W przyszłości to Jan Paweł II w Krakowie dokonał jej kanonizacji…

Od około 1909 roku Bandurski pełnił funkcję wiceprezesa Instytutu Ubogich Chrześcijan we Lwowie. Tematyka pomocy biednym często pojawiała się w jego kazaniach. Wzruszająco mówił o sierotach: „Gdy pisklę, jeszcze nie ubrane należycie w piórka, wypadnie z gniazda, zapewne już nigdy wysoko latać nie będzie, zapewne już z gronem swoich rówieśników wesołej nie zanuci pieśni".

W 1908 roku ukazała się jego książeczka „Czem Wyspiański dla Polski", w której apelował do elit o współpracę z polskim ludem: „Do ludu zbliżamy się częściej dla zabawki, niż dla służby narodowej. Że Wyspiański lud kocha, o tem świadczą. Ale to miłowanie ludu nie jest ślepą miłością, rzucającą jakoby bielmo na oczy i krępującą myśl. On wad ludu nie wykazuje, bo wie, iż każdy o wadach włościan mówić potrafi, tylko on przedstawia, iż my nie umiemy z ludem żyć, pracować dla ludu i duszy jego podnosić".

Biskup przedziera się przez kordon

Kolejne słynne kazania wygłosił w 500. rocznicę bitwy pod Grunwaldem. W trakcie uroczystości odsłonięcia Pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie wystąpił przeciwko trzem cesarzom państw zaborczych oraz proroczo zapowiedział bliskie odrodzenie Polski. W 1912 roku był organizatorem akcji protestu przeciwko odłączeniu ziemi chełmskiej od Królestwa Kongresowego przez Rosję. Założył Komitet Ochrony Kresów Wschodnich i wydał odezwę „Brońmy opornych!". Biskup osobiście przedostawał się przez kordon rosyjski, przybywając do ziemi chełmskiej!

Te działania zbliżyły go do konspirującej młodzieży. Posługując się pseudonimem Mieczysław Ziemski, działał w tajnych organizacjach. Patronował Drużynom Strzeleckim, „Zarzewiu", „Sokołowi" i Drużynom Bartoszowym. W mieszkaniu biskupa przy placu Kapitulnym we Lwowie zbierali się działacze niepodległościowi o różnych poglądach. To tam omawiany był projekt zamachu na sobór na placu Saskim w Warszawie, aby nie dopuścić do przyjazdu cara i ugodowej demonstracji. To w tym czasie biskup nawiązał bliskie kontakty z Józefem Piłsudskim.

Rosja – jadowity gad

Po wybuchu I wojny światowej w trakcie rosyjskiej okupacji Lwowa odwiedzał kościoły we Lwowie i błogosławił ludność. Wobec gróźb, że Rosjanie go aresztują, wyjechał do Krakowa, ale stamtąd przenieść się musiał do Wiednia, do czego zmusili go Austriacy, wiedząc o jego niepodległościowej działalności. I o Litanii Narodu Polskiego.

W Wiedniu wygłosił niezwykłą przemowę „Polska a Rosya w pieśni największych wieszczów narodu", w której interpretował poezję Mickiewicza,

eprasa.pl 8b1fcfea26

Słowackiego i Krasińskiego, traktując ją jako przesłanie dla polskich Legionów. O Polsce i Rosji mówił: „Są to dwa przeciwstawienia silne i potężne, pełne prawdy i nauki. Polska – trzyma wiecznie wyciągniętą rękę, by zrzucić kajdany. Rosya – nie ma odwagi zrzucić swej obroży, a w lęku przed grozą cara, kąsa tę rękę, która chce wskazać drogę do wolności…".

Apelował do europejskiej opinii publicznej: „Niech ludy Europy dosięgną wzrokiem! Niech obaczą, jak zdolni byli władcy Rosyi nurzać się w ohydzie zbrodni, kłamstw, zabójstw! Niech obaczą, jakie potworne wymyślano rzeczy na zabijanie każdej myśli, nadziei i wiary promieni! Niech ujrzą, w jakim kale i brudzie trwał tron wszechwładzców Rosyi, a potem… potem… tylko plwaniem okażą swą pogardę!… Zemsty innej – wieszcz polski nie żąda i nie wskazuje".

Mówił w dramatycznych słowach o potrzebie chronienia młodzieży przed rosyjską propagandą: „Wszystko to, co w świecie władzy rządów rosyjskich ma zetknąć się z duszą polskiej młodzieży, będzie zgniłą i wilgotną parą… będzie trądem zepsucia i trucizny, gangreną przekupstwa, szpiegostwa, podłoty i zdrady… Bo z jadowitym gadem żyć nie można bez wsiąknięcia jego jadu… Otóż i kilkadziesiąt lat tego życia wśród rządów carskich dało nam za nadto wiele dowodów na to, jak jadowity gad polską duszę truje i w bagna zgnilizny wprowadza… Matka-Polka musi syna wychować tak, by on umiał z jadowitym gadem żyć, nie trując się i by oddychając zgniłą parą – umiał przechować serce czyste, polskie, nieugięte i nie splamione".

Podsumowanie skierowane było do legionowej młodzieży: „Legiony poszły po drodze utorowanej przez największych wieszczów i za wskazówkami duchowych przewodników narodu i przywróciły nieuznanej, a w niewoli jęczącej Polsce cześć i znaczenie".

Legionowy Biskup

Legionowy Biskup, Biskup-Legionista – takie zyskał teraz przydomki. Jako przewodnik duchowy polskich legionistów pojawiał się tam, gdzie byli żołnierze – nad Styrem i Stochodem, w Lublinie, Piotrkowie, Częstochowie, Kamińsku, Kozienicach, Jędrzejowie czy Kielcach.

Czekały go za to represje ze strony władz austriackich i niemieckich, a nawet Watykanu. Został zmuszony do rezygnacji z sufraganii lwowskiej i zrzeczenia się stanowiska kanonika kapituły. Dostał zakaz wjazdu na teren Królestwa, a także na tereny polskie okupowane przez Niemcy. Władze niemieckie skonfiskowały jego książkę „Ducha nie gaście". Nieformalnie internowany w Wiedniu, organizował pomoc dla polskich uchodźców.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości od listopada 1918 roku służył w Wojsku Polskim, we Lwowie. Wspierał Lwowskie Orlęta. Orlętom poświęci wzruszający wiersz „To siejby naszej krwi owoce":

Na Wasze mogiły Orlęta moje,
składam wspomnieniem tych uczuć wyrazy,
wszak jam Was słowem gotował na znoje,
malując wzniosłych wierzeń drogowskazy.

O niechaj echo waszego pacierza
– gwiazdy przewodnie polskiego narodu
widnokrąg chwały nad Wami rozszerza
i błyśnie w Polsce jutrzenka od wschodu.

Po zajęciu Wilna na życzenie marszałka Polski Józefa Piłsudskiego został mianowany przez gen. Lucjana Żeligowskiego naczelnym kapelanem Wojska Litwy Środkowej.

Trzy jego miasta

Po wojnie wiele razy odwiedzał na posterunku żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza. 10 września 1927 roku zorganizowano we Lwowie uroczyste obchody 40-lecia jego kapłaństwa. W 1931 roku nad obchodami 25-lecia jego sakry biskupiej patronat objęli marszałek Polski Józef Piłsudski i prezydent Ignacy Mościcki.

Zmarł 6 marca 1932 roku o godzinie 20:30, w swoim mieszkaniu w Wilnie. Po jego śmierci trzy miasta, z którymi był związany, czyli Lwów, Kraków i Wilno, chciały, by to tam był pochowany. Ostatecznie wybrano Wilno i pogrzeb 10 marca 1932 roku był wielką manifestacją narodową. Ciało zmarłego zostało złożone przez legionistów w krypcie pod kaplicą św. Piotra i Pawła. Artyleria na Górze Bouffałowej oddała 12 strzałów armatnich jako salwę honorową. Nad placem katedralnym krążył pluton 4. pułku lotniczego, z którego zrzucano wianki. Transmisję z katedry wileńskiej przeprowadziło Polski Radio.

Ulice biskupa Władysława Bandurskiego ustanowiono w: Sokalu, Kielcach, Łowiczu, Iławie, Krakowie, Krzeszowicach, Legionowie, Łodzi, Markach koło Warszawy, Mikołowie, Jarosławiu, Nowym Sączu, Starym Sączu, Szczecinie i samej Warszawie.

Z inicjatywy biskupa polowego Wojska Polskiego Sławoja Leszka Głódzia w 1996 roku prochy biskupa sprowadzono do Polski. W Święto Wojska Polskiego 15 sierpnia 1996 roku trumna została złożona w katedrze polowej Wojska Polskiego. ■

eprasa.pl 8b1fcfea26

Dariusz Jarosiński

Czarna sukienka

Fenomenem w skali Europy były polskie zrywy wolnościowe w XIX i XX wieku, narodowe powstania: listopadowe, styczniowe, warszawskie, antykomunistyczne, ruch „Solidarności". Nieprzeparta wola odzyskania niepodległości, życia w wolnym kraju. Jeszcze większym fenomenem był udział w tych zrywach niepodległościowych kobiet, a już szczególnie w XIX wieku, kiedy obowiązywała tradycyjna rola kobiety w rodzinie i w społeczeństwie, tzn. osoby zajmującej się tylko domem, wychowującej dzieci.

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

FOT. ?

Powszechnie znana jest legenda Emilii Plater, wileńskiej szlachcianki, choćby za sprawą wiersza Adama Mickiewicza „Śmierć Pułkownika", która okryła się bohaterską sławą w powstaniu listopadowym. Znaczący był też udział kobiet w powstaniu styczniowym. Pułkownik armii szwajcarskiej, Franciszek L. von Erlach, obserwator powstania, powiedział o polskich kobietach: „[…] odgrywają w obecnym powstaniu tak niesłychanie ważną rolę, że za granicą nie można o tym wyrobić sobie pojęcia, jeżeli się tego naocznie nie widziało. […] Kobiety są prawdziwą duszą powstania".

Stowarzyszenia Niewiast

Już w okresie przedpowstaniowym, w okresie tzw. rewolucji moralnej, kobiety włączyły się w główny nurt działalności politycznej – organizowały manifestacje religijno-patriotyczne, podejmowały agitację, namawiały do udziału w przyszłej walce zbrojnej. W zależności od okoliczności, sytuacji, ubierały stroje narodowe lub czarne, żałobne. Na przykład 12 sierpnia 1861 roku, w rocznicę podpisania unii lubelskiej, mieszkanki Warszawy zdjęły czarne suknie, a ubrały „suknie jasne o barwach narodowych". Dowodem odwagi było demonstracyjne noszenie po upadku powstania żałobnego stroju, czarnej biżuterii, ponieważ ukazem carskim zakazane było ich noszenie. Groziła za to co najmniej kara grzywny. Formą represji było również publiczne upokarzanie kobiet przez carskich żołnierzy – rozdzierano im suknie, siłą zmuszano je do zginania karku. Wśród niektórych pań Europy Zachodniej zapanowała swoista moda na czarną biżuterię na znak solidarności z polskimi kobietami, w Hiszpanii czarne koraliki nazywane były polskimi łzami.

Konstanty Gaszyński pisał w wierszu „Czarna sukienka": „Schowaj, matko, suknie moje,/ Perły, wieńce z róż,/ Jasne szaty, świetne stroje,/ Nie dla mnie to już./ Kiedyś jam kwiaty, stroje lubiła,/ Gdy nam nadziei wytryskał zdrój;/ Lecz gdy do grobu Polska zstąpiła/ Jeden mi tylko pozostał strój: Czarna sukienka".

Chociaż wiersz ten powstał po upadku powstania listopadowego, w 1832 roku, to jego wymowa była aktualna również po upadku powstania styczniowego.

Kobiety okazały się świetnymi organizatorkami, dobrze radzącymi sobie w trudnych sytuacjach. Tuż po wybuchu powstania styczniowego z inicjatywy Seweryny Pruszakowej-Duchińskiej (1816–1905), warszawskiej poetki, publicystki, powstały spontanicznie tzw. Piątki kobiet. Ich celem było zbieranie składek, zapewnienie opieki materialnej i moralnego wsparcia dla rodzin walczących i represjonowanych,

eprasa.pl 1fcfea26

pomoc aresztowanym. Organizacja rozwijała się przez pączkowanie – każda kobieta miała za zadanie przyprowadzić do „Piątki" pięć godnych zaufania następnych kobiet. Członkiń „Piątek" były tysiące. „Piątki", zwane Stowarzyszeniami lub Komitetami Niewiast, powstawały również poza granicami zaboru rosyjskiego. Nad całą strukturą czuwała Rada Główna Opiekuńcza. Ze wspomnień Seweryny Pruszakowej-Duchińskiej, która po powstaniu znalazła się na emigracji, wynika, że Stowarzyszenia Niewiast wciągnięte zostały w struktury Państwa Podziemnego.

Kobiety zapewniały zaplecze niezbędne do funkcjonowania Organizacji Narodowej i włączały się w działania niektórych jej agend. Utrzymywały lokale konspiracyjne, kolportowały tajne druki i prasę, ukrywały zagrożonych aresztowaniem, przechowywały dokumenty, pieniądze, odzież i broń. Tworzyły powstańczą służbę zdrowia, służyły na polach bitwy jako sanitariuszki, pracowały w powstańczych szpitalach. Do ich obowiązków należało także przygotowywanie materiałów opatrunkowych – w tym celu trzeba było użyć nitek wyskubanych wcześniej z płótna.

„Nie dość było wypełnić obowiązek siostry miłosierdzia, potrzeba było męstwa męczennicy, odwagi świętej, ażeby zginąć wraz z rannymi, gdy kozactwo odkryło lazaret, lub słodyczą i łagodnością rozbroić najezdników, gdy się nie udało ukryć rannych" – pisał o dzielnych kobietach Agaton Giller, członek powstańczego Rządu Narodowego.

Nie znamy dokładnych liczb, ile kobiet wzięło udział w powstaniu w służbie cywilnej, sanitarnej, kurierskiej, wywiadowczej. Było też kilkadziesiąt niewiast, które walczyły z Rosjanami z bronią w ręku – do najbardziej znanych należały Anna Henryka Postowójtówna i Maria Piotrowiczowa.

Powstanie styczniowe było najdłużej trwającym i najbardziej masowym ruchem niepodległościowym XIX wieku. Jego bilans był tragiczny – od kilkunastu do 30 tys. poległych lub straconych przez Rosjan, około 40 tys. Polaków zesłanych na Syberię, w tym około 4 tys. kobiet. Wśród zesłanych niewiast były też takie, które dobrowolnie towarzyszyły swoim bliskim – mężom, ojcom czy braciom. Obecność kobiet wśród zesłańców chociaż w sposób iluzoryczny dawała namiastkę domu na wygnaniu.

Wiele kobiet swoją odwagę przypłaciło życiem, więzieniem, były one tak samo karane jak mężczyźni. Tysiące majątków uczestników powstania uległo konfiskacie.

Poznana przeze mnie kilka lat temu historia, i to nie z opracowań naukowych, lecz z przekazów rodzinnych, historia pięknej Anny Giedrojciówny, wilnianki o arystokratycznym rodowodzie, łączniczki naczelnika Zygmunta Sierakowskiego, która poszła do powstania w ślad za swymi braćmi, dowodzi tego, że przed historykami jest jeszcze wiele do odkrycia w dziejach insurekcji z 1863 roku.

▶ „Michał Smok" wyrzuca spódnicę

Maria Bruchnalska (1869–1944), lwowska publicystka, historyk, autorka znakomitej książki wydanej w 1933 roku pt. „Ciche bohaterki: udział kobiet w powstaniu styczniowym", szacowała, że w walkach powstańczych, z bronią w ręku, wzięło udział około 50 kobiet, z czego 33 wymienia z nazwiska. Dokumentację źródłową dotyczącą udziału kobiet w powstaniu styczniowym Bruchnalska gromadziła przez ponad 20 lat – od 1912 roku do końca lat 30. Jej niezwykle cenna praca obejmuje informacje dotyczące około 3 tys. kobiet, cichych bohaterek 1863 roku, oraz zbiór około 300 fotografii, a także korespondencję.

Jak już wspomniałem, najbardziej znaną kobietą walczącą z Moskalami z bronią w ręku była Anna Henryka Pustowójtówna (1843–1881), używająca imienia Henryka, córka carskiego generała pochodzenia węgierskiego Trofima Pustowojtowa i zruszczonej polskiej szlachcianki. Urodziła się w Wierzchowiskach koło Lublina, w majątku babki, Brygidy z Rzewuskich Kossakowskiej. Babce zawdzięczała katolickie i patriotyczne wychowanie. Uczyła się w szkole sióstr wizytek i w Instytucie Wychowania Panien w Puławach, gdzie zetknęła się z rówieśnicami podobnie jak ona myślącymi i czującymi po polsku. 12 sierpnia 1861 roku wzięła udział w wielotysięcznej manifestacji na placu Litewskim z okazji rocznicy zawarcia unii litewskiej. Wraz z kilkoma koleżankami przedarła się przez kordon Moskali blokujących dostęp do pomnika i pomimo zakazu, złożyła pod nim kwiaty. Za swój czyn została skazana na karę pozbawienia wolności i osadzona w prawosławnym klasztorze w głębi Rosji. W kwietniu 1862 roku uciekła w męskim przebraniu do Mołdawii, do ośrodka prac konspiracyjnych, który był prowadzony przez Zygmunta Miłkowskiego pseudonim Teodor Jeż, działacza niepodległościowego, pisarza. Tutaj przeszła wraz z grupą Polaków szkolenie wojskowe przygotowujące do powstania.

W lutym 1863 roku Henryka z obciętymi włosami, w męskim stroju, przyjmując pseudonim Michał Smok, zaciągnęła się do oddziału powstańczego generała Mariana Langiewicza. Z czasem została adiutantem generała. W męskim przebraniu wzięła udział w kilku bitwach, m.in. pod Pieskową Skałą, Chrobrzem, Grochowiskami. Duże uznanie powstańców zdobyła, wykazując się niebywałą odwagą i hartem ducha w bitwie pod Małogoszczem.

Po upadku powstania Henryka wyjechała z Królestwa i zamieszkała w Paryżu. Choć nie było jej łatwo

eprasa.pl 8b1fcfea26

– utrzymywała się z układania sztucznych kwiatów – to troszczyła się o byłych powstańców i zbierała dla nich fundusze; współorganizowała też manifestacje patriotyczne polskiej emigracji we Francji. Nie potrafiła żyć bez adrenaliny – wzięła udział w wojnie francusko-pruskiej, niosła też pomoc rannym w Komunie Paryskiej. Wyszła za mąż za Stanisława Loewenhardta, byłego powstańca, lekarza; urodziła czworo dzieci. Zmarła na atak serca, bardzo młodo, bo w wieku zaledwie 43 lat. Tak naprawdę rozgłos zyskała dopiero po śmierci. Reprodukcje jej fotografii w powstańczym stroju – z krótkimi włosami, w kożuszku, męskich, długich butach, z szablą – robiły prawdziwą furorę. W wielu polskich domach zdjęcie naszej bohaterki znajdowało się na honorowym miejscu nieopodal krzyża.

Pokłuty bagnetem mundur był jak relikwia

Maria Piotrowiczowa, z domu Rogolińska, pochodziła z zamożnej rodziny szlacheckiej spod Łęczycy. Miała 23 lata, kiedy wraz z mężem Konstantym, nauczycielem w szkole elementarnej w Chocianowie (obecnie dzielnica Łodzi) oraz częścią służby z folwarku pod Łodzią, poszła do powstania. Chciała bić Moskali tak jak jej ojciec i stryj w powstaniu listopadowym. Przyłączyli się do operującego na tym terenie oddziału doktora Józefa Dworzaczka, lekarza spod Łęczycy. Oddział liczył około 300 osób, w tym 200 kosynierów. Początkowo Maria pełniła funkcje pomocnicze – zbierała pieniądze dla oddziału, kupowała żywność, ubranie, a także broń, którą można było nabyć u handlarzy w Łodzi. Kiedy jednak sytuacja stała się niebezpieczna, wzrosło rosyjskie zagrożenie, stanęła na pierwszej linii. Potrafiła świetnie posługiwać się zarówno sztucerem, jak i kosą.

Z pamiętników Józefa Zajączkowskiego dowiadujemy się, że 24 lutego 1863 roku obozujący oddział partyzantów niedaleko wsi Dobra pod Łodzią został otoczony przez „dwie roty piechoty i sotnię kozaków". Zaskoczeni powstańcy nie mieli szans w walce z dobrze uzbrojonymi i wyszkolonymi żołnierzami. Jedynie część partyzantów wydostała się z okrążenia, zginęło 70 partyzantów, a 80 poszło do niewoli. Maria dzielnie walczyła, broniąc powstańczego sztandaru. Według relacji prasy powstańczej odrzuciła propozycję poddania się, zginęła od ciosów bagnetów kozaków. Wraz z Marią zginęły także trzy niespełna 20-letnie kobiety. Mąż Marii, Konstanty, zmarł kilka dni po bitwie od zadanych ran.

Aby pochować ciało Marii, rodzina musiała je wykupić od Moskali. Zakrwawiony i pokłuty bagnetem mundur przechowywany był jak relikwia.

O śmierci Marii Piotrowiczowej pisały wszystkie powstańcze gazety, jej historia obrosła w legendę. Wydział Wojny Rządu Narodowego wydał 16 kwietnia 1863 roku zakaz przyjmowania kobiet do służby liniowej, mogły pełnić jedynie funkcje kurierskie lub sanitarne. Zakaz ten jednak nie był przestrzegany.

Niewinne ofiary z placu stracenia

Ciekawą lekturę stanowią wspomnienia świadków i uczestników powstania styczniowego, wydawane często własnym sumptem w okresie międzywojennym. Niedawno wpadły mi w ręce „Wspomnienia 1847–1928" Edwarda Woyniłłowicza, wydane w Wilnie w 1931 roku. Autor pochodził z zamożnej rodziny ziemiańskiej od wieków osiadłej na Kresach, na ziemi mińskiej. „Woyniłłowiczowie nie przyszli ani ze Wschodu, ani z Zachodu – pisał – są rdzenni, miejscowi, krew ze krwi, kość z kości tego ludu, który niegdyś grzebał się w tych kurhanach, dzisiaj na cmentarzach wiejskich i rodzinną ziemię białoruską sochą kraje".

W czasie powstania styczniowego był uczniem gimnazjum w Słucku w guberni mińskiej. Wspominał czas insurekcji (zachowuję oryginalną pisownię): „O ile w obecnym kataklizmie dziejowym 1914–1918 udział kobiet i młodzieży jest prawie żaden, o tyle niewątpliwie w latach 1861–1863 był przeważający. Te struny w ustroju społecznym najwięcej były czułe na wszelkie odgłosy z Warszawy, do naszej prowincji dochodzące. Kobiety i młodzież kierowały jeśli nie organizacją wewnętrzną, to w każdym razie demonstracją zewnętrzną aspiracji narodowych. […] Kobiety, jako wrażliwsze, zawsze ofiarne i gorące patrjotki, we wszelkich demonstracjach przodowały i młodzież za sobą pociągały, więc pierwsze intonowały »Boże, coś Polskę!« i »Z dymem pożarów« w kościołach, przemycały literaturę nielegalną, przechowywały broń, a niekiedy i samych powstańców, a przytem urozmaicały »żałobę narodową« efektownemi kontusikami, konfederatkami, kokardami narodowemi i wielkiemi krzyżami na piersiach […]".

W maju 1863 r. Michaił Murawjow został mianowany generał-gubernatorem wileńskim z nadzwyczajnymi pełnomocnictwami w zakresie tłumienia powstania styczniowego. Był to człowiek bezwzględny, zwalczający polskość i Polaków w sposób wyjątkowo okrutny. Nie bez powodu nazwany był „Wieszatielem", nakazywał organizację pokazowych egzekucji powstańców, w których to „wydarzeniach" często sam brał udział. „Od czasu do czasu na niezabudowanym jeszcze wówczas placu – wspominał Edward Woyniłłowicz – obok idącej pod górę szosy petersburskiej, odbywały się egzekucje przez rozstrzelanie i powie-

eprasa.pl 8b1fcfea26

szenie. Pamiętam niejedną z nich, bo dziecięca ciekawość ciągnęła mnie na ten okrutny plac stracenia, ażeby się przypatrywać choć z daleka temu krwawemu widowisku. Byłem przy straceniu pierwszych ofiar w Kownie: młodego, pełnego nadziei leśniczego Kletego Korejwy, oficera Wincentego Białłozora, doktora Wróblewskiego, ks. Mackiewicza i innych. Powiadają, że liczba straconych w Kownie dosięgała 20. Po rozstrzelaniu ciała zmarłych wrzucano do wykopanego grobu, poczem grób zasypywano, a oddział kawalerji przy dźwiękach muzyki i śpiewu ubijał ziemię końskiemi nogami. Ciał powieszonych, obleczonych w białe płaszcze z kapturami, nie zdejmowano z szubienicy aż do wieczora, ażeby odstraszać ludność od buntów przeciw carowi. Przypatrywanie się egzekucjom mogło mieć i swą stronę dodatnią, wzbudzając coraz większą nienawiść i chęć zemsty na siepaczów, tudzież podniecając uczucia patrjotyczne, któremi Litwa zawsze przodowała. Podczas jednej z egzekucyj, na których byłem obecny, (odbywały się one zwykle od godz. 11 i pół do 12-ej, a więc w czasie wielkiej pauzy i dlatego wielu uczniów biegało na plac stracenia), postrzelono wypadkiem w nogę stojącego na górze na szosie wice-gubernatora. Wszyscy rzucili się na pomoc ranionemu, a nieszczęśliwy skazaniec, przywiązany do słupa, broczył we krwi, czekając na strzał celniejszy. Tłum ludu, obecny przy egzekucji, wyrażał zwykle oburzenie swym ciemiężycielom. Wielu skazanych żegnało się z publicznością i umierało bohatersko z okrzykiem na ustach; »Niech żyje Polska!«. Żal powszechny, płacz i jęk towarzyszyły tym egzekucjom. Trąby muzyki wojskowej zagłuszały jęki, kozackie nahajki rozpędzały rozżalone tłumy. Ludność miejscowa początkowo nie upadała na duchu, modląc się po kościołach i wierząc w cud, że może jeszcze los powstania zmieni się na lepsze".

„Poszliśmy do powstania, by żyć w wolnej Polsce"

Jadwiga Prendowska z Woyciechowskich (1832–1915), córka szwoleżera Kozietulskiego, uczestnika powstania listopadowego, ziemianka z okolic Iłży, organizatorka w swoim powiecie Stowarzyszenia Niewiast, pełniła służbę kurierską w oddziale gen. Mariana Langiewicza, z ramienia Rządu Narodowego jeździła z rozkazami, meldunkami, przewoziła tajną pocztę, pieniądze. Przekraczała granicę austriacką, docierała do Warszawy. Przyczyniła się też do powstania kilku szpitali powstańczych: w Sandomierzu, Kurozwękach, Staszowie, Koprzywnicy i Klimontowie. Zwana była przez powstańców „Matką oddziału".

Tak w książce zatytułowanej „Moje wspomnienia" wydanej w 1962 roku opisywała partyzancką codzienność: „Spaliśmy gdzie się dało, żywiliśmy się czym bądź, a każdy miał coś dla mnie do zrobienia. W szpitalu górniczym, który się mieścił w gmachu po zakonie cystersów złożono kilku rannych spod Szydłowca, chodziłam ich odwiedzać. Stamtąd wyprawiałam do domu pod Sandomierz bardzo młodego chłopca, Bolesława Marczewskiego, którego rodziców znaliśmy. Był dobrze postrzelony w piersi, a jenerał objaśniał, że wszyscy dobrze się sprawili, bo są szlachetnie ranni w piersi – żaden nie miał rany na plecach, która oznacza ucieczkę".

Pomimo traumatycznych przeżyć Jadwiga Prendowska nigdy nie straciła wiary, pisała: „Poszliśmy do powstania, by żyć w wolnej Polsce, by nie traktowano nas jak niewolników. Nie udało się w 1863 roku, ale następne powstanie będzie zwycięskie i ofiar będzie mniej". Jadwiga Prendowska nie dożyła wolnej Polski, zmarła w 1915 roku, ale to kobiety powstania styczniowego wychowały pokolenie, które odzyskało niepodległą Polskę.

Po upadku powstania najpierw został aresztowany mąż Jadwigi Prendowskiej, Józef Prendowski, powstaniec, a potem aresztowano ją. Od września 1863 do grudnia 1864 roku Jadwiga była więziona w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Józef pojechał dobrowolnie za żoną na zesłanie do Kunguru w guberni permskiej. Wrócili do kraju po ułaskawieniu Jadwigi w marcu 1866 roku. Do rodzinnego domu nie mogli już powrócić, bo został skonfiskowany przez Rosjan.

Kiedy ojczyzna w potrzebie, nie czas na romanse

Giedrojciowie vel Giedroyciowie należą do najstarszych arystokratycznych rodów książęcych na Litwie. Ponieśli oni nieocenione zasługi dla Rzeczypospolitej, na przykład według starych kronik w 1528 roku pod bronią Wielkiego Księstwa Litewskiego służyło 80 Giedroyciów; jako możnowładcy byli mecenasami kultury i sztuki, gorliwie sprawowali posługę Bożą, a sześciu z nich otrzymało sakrę biskupią. O Giedroyciach było też głośno podczas patriotycznych zrywów powstańczych. Najbardziej znanym obecnie przedstawicielem tego rodu jest Jerzy Giedroyć (1904–2000), założyciel na emigracji wydawnictwa Instytut Literacki, wydawca i redaktor paryskiej „Kultury".

Rodzina Jolanty Franciszki Giedrojć-Gorącej przyjechała z Wilna do Olsztyna w kwietniu 1945 roku. W mieście unosił się jeszcze dym i swąd palonych przez Sowietów kamienic. Pierwszym zajęciem dziadka pani Jolanty na rzecz miasta było dorobienie kluczy do ratusza – jako że był tokarzem precyzyjnym, pracował przed wojną w wileńskiej fabryce narzędzi chirurgicznych, poradził sobie z tym zadaniem bez zarzutu. Był zatem pierwszą osobą, która otworzyła drzwi olsztyńskiego ratusza w 1945 roku. Od 1946 ro-

eprasa.pl 8b1fcfea26

ku kierował pracą wodociągów miejskich. Pani Jolanta urodziła się już w Olsztynie. Od dzieciństwa słuchała wspomnień starszych członków rodziny o Wilnie. Mówili o tym mieście jak o utraconym raju. Szczególnie zainteresowała się historią swojej prababki Anny Giedrojciówny. I – jak mi powiedziała – nie potrafi się od tej historii oderwać. Ugrzęzła w niej.

Anna Giedrojciówna urodziła się w 1836 roku w podwileńskim majątku rodziców – Kajetana i Pawliny z Grzybowskich Giedrojć. Miała braci: Antoniego, Floriana, Ildefonsa i Tymateusza (imię było pisane przez „a"). Rodzice wcześnie zmarli, więc opiekę nad małoletnią Anną roztoczył jej starszy brat, Antoni, ksiądz katolicki jednej z wileńskich parafii, powierzając wychowanie siostry zaprzyjaźnionej rodzinie i zapewniając jej domowych korepetytorów. Całe rodzeństwo za przykładem Antoniego było niezwykle zaangażowane w okresie poprzedzającym wybuch powstania. Anna działała w wileńskiej młodzieżowej organizacji niepodległościowej, uczestniczyła w manifestacjach patriotycznych, na znak żałoby ubierała się na czarno. Zapewne miała wielu adoratorów, bo słynęła z nieprzeciętnej urody, uważała jednak, że nie jest to czas na rozrywkę i romanse, kiedy ojczyzna w potrzebie.

Nic dziwnego, że kiedy wybuchło powstanie, 27-letnia Anna w ślad za swoimi braćmi poszła do powstania. Trafiła do oddziału Zygmunta Sierakowskiego, który zrzucił mundur oficera armii carskiej i stanął na czele insurekcji na Żmudzi, został naczelnikiem powstania w województwie kowieńskim. Był jednym z najbardziej doświadczonych i najlepiej wyszkolonych dowódców insurekcji styczniowej. Jego oddział liczył 2,5 tys. powstańców. Anna pełniła wiele funkcji i ze wszystkich wywiązywała się znakomicie: przede wszystkim była łączniczką między generałem Sierakowskim a powstańczymi oddziałami, zbierała datki, opatrywała rannych, dostarczała powstańcom żywność, ubranie, leki.

Generał Sierakowski stoczył kilka zwycięskich bitew z Moskalami, m.in. pod Rogowem, Ginietyniami. Niestety, trwająca trzy dni bitwa pod miastem Birże nad jeziorem Szyrwena zakończyła się 9 maja 1863 roku porażką powstańców. Ciężko rannego Zygmunta Sierakowskiego wzięli Moskale do niewoli. Odrzucił propozycję współpracy z władzami carskimi. Mimo wstawiennictwa przedstawicielstw dyplomatycznych, m.in. królestwa Wielkiej Brytanii czy legendarnego bojownika o wolność Giuseppe Garibaldiego, na rozkaz Murawjowa w dniu 27 czerwca 1863 roku został powieszony na placu Łukiskim w Wilnie. Jego pochówek odbył się w tajemnicy przed rodziną. W następnym roku żona Sierakowskiego, Apolonia, wraz z urodzoną po jego śmierci córką Zygmuntą, została skazana na zsyłkę, na której dziecko po dwóch latach zmarło. Na placu Łukiskim w Wilnie najprawdopodobniej wykonano 21 wyroków śmierci. Po egzekucji ciała nie były oddawane rodzinom zmarłych, lecz potajemnie grzebane na zboczu Góry Giedymina, gdzie wówczas działała twierdza.

▶ Pozostała fotografia w kolorze sepii

Tragiczny los po upadku powstania nie ominął rodziny Anny Giedrojciówny. Brat Antoni, ksiądz, został w nocy wywleczony z łóżka przez Moskali i wszelki ślad po nim zaginął, nietrudno się domyślić, że oprawcy go zamordowali. Brat Florian w przebraniu chłopskim uciekł za granicę Cesarstwa Rosyjskiego; Tymateusza wraz z tysiącami powstańców zesłano na Syberię; Ildefons trafił do więzienia, ale dzięki zdobytym fałszywym dokumentom, w których figurował jako Józef, udało mu się ujść z życiem. Anna wymknęła się z rąk rosyjskiej ochrany i wyjechała w głąb Rosji, podobno miała nadzieję, że może gdzieś na dalekiej północy spotka któregoś z braci. Boleśnie przeżyła upadek insurekcji, śmierć naczelnika Sierakowskiego, stratę braci. Zatrzymywała się w polskich domach, tam, gdzie rzucił ją los, i jako guwernantka udzielała dzieciom lekcji. Po jakimś czasie powróciła do Wilna, powitała wymarzoną, wyśnioną niepodległą Polskę. Mieszkała samotnie w śródmieściu przy ulicy Kościuszki, ulicy, która biegnie wzdłuż rzeki Wilii od żelaznego mostu nad Wilenką do kościoła pw. św. Piotra i Pawła. Dożyła sędziwego wieku. Zmarła 19 lipca 1925 roku w wieku 89 lat, opatrzona świętymi sakramentami. Została pochowana na cmentarzu kościoła św. Piotra i Pawła.

W 2017 roku szczątki naczelnika Zygmunta Sierakowskiego zostały odnalezione podczas prac archeologicznych na wileńskiej Górze Zamkowej, zwanej też Górą Giedymina. Obok odkryto szczątki 19 innych uczestników i przywódców powstania styczniowego. Dwa lata później odbył się w Wilnie uroczysty pochówek szczątków powstańców styczniowych, zorganizowany wspólnie przez władze Polski i Litwy. Powstańcy spoczęli w przygotowanej dla nich kaplicy-panteonie na cmentarzu na Rossie.

Jedyną pamiątką po śp. Annie Giedrojciównie pozostała jej fotografia w kolorze sepii. Zdjęcie zostało wykonane w wileńskim atelier na krótko przed wybuchem powstania. Z owalnej fotografii patrzy na nas młoda, piękna kobieta, z upiętymi wysoko włosami splecionymi w warkocz spięty grzebieniem. Z czarną, żałobną sukienką kontrastuje jasna kokarda pod uniesionym kołnierzykiem. Na odwrocie fotografii znajdujemy napis ołówkiem: „Anna łączniczka Sierakowskiego w okresie 1863". ■

eprasa.pl 8b1fcfea26

Tomasz Łysiak

Karol Beyer – ojciec polskiej fotografii

prasa.pl/biblioteka

Jego fotografie stanowią prawdziwy skarb kultury i wkład do naszej zbiorowej wyobraźni o przeszłości. Doba przed powstaniem styczniowym i w trakcie niego obfitowała w wiele wydarzeń, o których można i trzeba było informować współobywateli oraz cały świat. A także dbać o to, by prawdę ocalić od zapomnienia. W ówczesnej prasie zachodniej drukowano już zdjęcia, a czasem też grafiki powstające na podstawie zdjęć – i to one stanowiły niezmiernie ważne obrazy poruszające wyobraźnię czytelników. Karol Beyer dzięki swym fotografiom przekazywał światu wieść o sprawach dziejących się w Polsce. Dzisiaj jego prace są dla nas bezcenną częścią dorobku historyczno-artystycznego dawnych pokoleń.

Karol urodził się 10 lutego 1818 roku w rodzinie pruskiego urzędnika Wilhelma Beyera. Jego ojciec pojawił się w Warszawie po trzecim rozbiorze. Matka Henryka (z domu Minter) pochodziła ze Szczecina i była znakomitą malarką specjalizującą się w martwych naturach (szkoliła się m.in. u malarza bukietów Gottfrieda Volkera). Wcześnie owdowiała i żeby się utrzymać, otworzyła w Warszawie szkołę malarstwa i rysunku dla kobiet. Mały Karol wychowywał się w więc w domu, w którym polskość stanowiła wartość nabytą – Henryka czuła się Polką niemieckiego pochodzenia. Ale też co ważne, wzrastał w świecie pełnym rozmów o sztuce, świecie, który uwrażliwiał go plastycznie i artystycznie. Do tego dochodziła nauka w szkole wuja, także malarza, w jego „Fabryce bronzów, wyrobów z blachy lakierowanej i innych odlewów metalicznych". Jednak to pobyt w Paryżu umocnił zainteresowania Beyera fotografią i wykonywaniem dagerotypów. Właśnie w stolicy Francji z wielkim hukiem ogłoszono w roku 1839 wynalazek dagerotypii.

Moda na zdjęcia

Początek oficjalnej działalności Karola Beyera jako fotografa to rok 1844 – otworzył wówczas w Pałacu Błękitnym w Warszawie przy ul. Senatorskiej swoje pierwsze atelier, gdzie zaczął wykonywać dagerotypy, portretując mieszkańców. Szybko wyszedł też z aparatem na ulice miasta, robiąc pierwsze zdjęcia Warszawy. Moda na zdjęcia błyskawicznie się rozwijała i wkrótce każdy chciał mieć w domu taki przedziwny portret, który w tamtych czasach z jednej strony ludzi zachwycał, a z drugiej przerażał. Zaklęty w metalowej płytce nieruchomy, wierny wizerunek człowieka napawał lękiem. Tak czy siak, inwestycja w zakład okazała się słuszna. Już po kilku latach Beyer mógł sobie pozwolić na nową, lepszą siedzibę i w roku 1850 kupił dom przy ulicy Wareckiej nr hip. 1359, gdzie urządził przestronne atelier. Wyjechał do Londynu na wystawę Great Exhibition i wrócił z niej bogatszy o doświadczenia, a także wiedzę o nowej metodzie negatywowo-pozytywowej. To był już zasadniczy krok w stronę nowocześnie rozumianej fotografii. Negatyw uzyskiwany na szkle dawał znakomity efekt – wysokiej, mówiąc językiem współczesnym – rozdzielczości, a także ostrości obrazu. Stosując taką technologię, można było bawić się w prawdziwego dokumentalistę, jakim właśnie stał się Karol Beyer. W roku 1853 napisał do Józefa Ignacego Kraszewskiego, wyjaśniając, jak wymagająca jest praca wedle nowej metody: „Trzeba wiedzieć, że to niesłychanie żmudna robota, dawniej przy daguerrotypach miałem zawsze czas wolny, teraz ani chwili, w której bym nie powinien o fotografiach myśleć". W ciągu kilku lat fotograf wypracowywał coraz lepszy warsztat, robiąc zdjęcia ulic, domów, parków czy okolicznościowych imprez.

Zacięcie reporterskie

Wreszcie nadszedł czas kolejnej przeprowadzki – tym razem do samego centrum miasta, na posesję sióstr wizytek przy zbiegu ulic Karowej i Krakowskiego Przedmieścia. Był rok 1857. Nadchodził wielkimi krokami trudny dla Polaków i warszawiaków czas – doby przedpowstaniowej i samego powstania. Karol nie tylko miał już wtedy niezbędne doświadczenie fotografa-reportera, lecz także zyskiwał znakomity punkt obserwacyjny. Z okien i z balkonu swej pracowni widział bowiem najruchliwszą arterię warszawską, miał dosłownie pod nosem budujący się właśnie Hotel Europejski, dalej plac i Pałac Saski, a za nimi, według słynnej „osi", ogrody parkowe. To właśnie ze swego balkonu Beyer zrobił jedno z ważniejszych zdjęć – widoczny na placu pomnik wystawiony po powstaniu listopadowym dla lojalistycznych generałów, oficerów, których zabili powstańcy. Nie cieszył się on sympatią warszawiaków, którzy potrafili przy nim splunąć bądź rzucić z przekąsem wierszyk: „Osiem

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

eprasa.pl 8b1fcfea26

lwów i czterech ptaków pilnuje siedmiu łajdaków". Beyer dokumentował życie miasta, szukając dobrych punktów widokowych – stawały się nimi (podobnie jak we własnej pracowni) balkony i okna. W dobę manifestacji patriotyczno-religijnych Karol wszedł z olbrzymim już wówczas archiwum kilku tysięcy negatywów. Warszawa od czerwca roku 1860 zaczęła pulsować rewolucyjnym, przedpowstańczym rytmem. Na początku 1861 roku doszło do wielu manifestacji patriotyczno-religijnych czy mszy połączonych ze śpiewem pieśni polskich. 25 lutego, w rocznicę bitwy o Olszynkę Grochowską, miały się odbyć uroczyste obchody na polach Grochowa. Młodzi patrioci, studenci i gimnazjaliści rozrzucali na mieście ulotki zapraszające na to wydarzenie. O wszystkim, rzecz jasna, bardzo szybko dowiedzieli się Rosjanie. Na Zamku Królewskim odbyła się w związku z tym narada, w wyniku której namiestnik cara w Królestwie książę Michaił Gorczakow wydał zalecenie rozebrania jedynego wówczas mostu łączącego Warszawę z Pragą, mostu łyżwowego, ustawionego na wielu połączonych ze sobą łodziach. Mimo tego warszawiacy zorganizowali manifestację, choć nie na Grochowie co prawda, lecz na Starym Mieście. Została ona brutalnie rozpędzona przez żandarmerię rosyjską i kozaków. Ludzi bito i płazowano. Wielu uwięziono w Cytadeli.

Świadectwo bestialstw

Dwa dni później odbyła się kolejna manifestacja, tym razem jej uczestnicy żądali wypuszczenia owych więźniów. Doszło wówczas do dramatycznych, tragicznych wydarzeń, których świadkiem został Karol Beyer – świadkiem aktywnym, gdyż wykonał wtedy zdjęcia, które na zawsze weszły do historii polskiej fotografii. Są bowiem dowodem tego, co się wydarzyło, dokumentem bestialskich zachowań Moskali w Warszawie. Miały siłę taką jak fotografie robione 120 lat później, w czasie stanu wojennego – choćby z kopalni „Wujek", gdy wojsko i milicja mordowały górników. Co się działo 27 lutego? Na ulicach Starego Miasta, a także na Krakowskim Przedmieściu zaczęły gromadzić się tłumy. Generałowie Gerstenzweig i Chrulew wyprowadzili więc wojsko z koszar. Kozacy w pewnym momencie zaczęli raz za razem szarżować na manifestujących ludzi. Z kościoła św. Anny akurat wyszedł, przez przypadek, kondukt pogrzebowy, na którego przedzie szedł ministrant niosący krucyfiks. Jeden z rozpędzonych kozaków uniósł nahajkę i uderzył chłopca oraz krzyż – w krucyfiksie ułamało się ramię (ten połamany krzyż stał się potem symbolem Nocy Styczniowej). To jednak był jedynie początek. Na ulicach pojawiało się coraz więcej ludzi, a kolejne agresywne zachowania Moskali wymusiły reakcję obronną – zaczęto w nich rzucać kamieniami. Akurat przed budowaną Resursą Obywatelską leżała sterta materiałów budowlanych. Studenci korzystali z niej, jak z barykady, za którą można się schować i zza niej ciskać ułomkami cegieł w napastników. Generał Chrulew wyprowadził więcej wojska, stawiając w roty piechoty w różnych punktach, blokując wyloty ulic, od placu Zamkowego po Pałac Radziwiłłowski. W pewnej chwili wydał rozkaz otwarcia ognia. Żołnierze zaczęli strzelać do tłumu. Ludzie rzucili się do ucieczki. Padły kolejne strzały. I zabici. Tego dnia polegli: czeladnik krawiecki Filip Adamkiewicz, robotnik Karol Brendel, dwóch ziemian – Marceli Paweł Karczewski oraz Zdzisław Rutkowski, a wreszcie kilkunastoletni uczeń Gimnazjum Realnego – Michał Arcichiewicz. Tego ostatniego zaniesiono na drzwiach do domu rodziców.

Zdjął wizerunki zabitych

Szok spowodowany tym zabójstwem, strzałami oddawanymi z ostrej amunicji do bezbronnego tłumu, był potężny. Warszawa była wstrząśnięta. Hotel Europejski oblepiono na znak żałoby kawałkami czarnej krepiny. Jak zapisał rosyjski historyk owej doby Mikołaj Berg, oględziny lekarsko-sądowe zostały wykonane w hotelowej Sali nr 6, „przez drugi oddział sądu warszawskiej policyi, który zjechał w komplecie, przez prawo przepisanym z rejentem i dwunastoma świadkami sfer obywatelskich. Do sali tej natłoczyło się mnóstwo ciekawej różnolitej gawiedzi. Był także ze swym aparatem narodowy fotograf Beyer i zdjął wizerunki z zabitych w całej ich grozie i wspaniałości, z ziejącymi ranami. Kartki te w niezliczonych ilościach egzemplarzy rozleciały się po całej Polsce". Ciała ułożono na plecach, tak jak były badane przez medyków sądowych. Beyer zrobił zdjęcie każdemu z poległych, a następnie udał się do domu Arcichiewicza. Tam, wśród płaczu rodziców, wykonał fotografię gimnazjalisty Michała. Z pięciu fotografii wykonał następnie specjalne „tablaux", które było potem przedrukowywane w tysiącach egzemplarzy i przekazywane dalej – stało się fotografią-relikwią, zdjęciem, które poruszało wielu. A Beyer zrobił jeszcze więcej ważnych fotografii – symboli doby przedpowstańczej i okresu powstania. Widać na nich m.in. namioty Moskali rozbite na placu Zamkowym albo członków polskiej tzw. Delegacji Miejskiej czy też portrety Polaków-patriotów. Ale wśród zdjęć „ojca polskiej fotografii" obrazy przedstawiające Pięciu Poległych mają moc i wagę wyjątkową. Pokazują polskich męczenników za świętą sprawę polską, ofiary bestialstwa rosyjskiego. Dlatego są tak niezmiernie cenne i dlatego poruszają do dzisiaj. ■

eprasa.pl 8b1fcfea26

Piotr Lisiewicz

W artykule „Zwycięzca! To najpiękniejsze dla Polaka słowo" kreślę dziś sylwetkę niezwykłej postaci – biskupa Władysława Bandurskiego, XX-wiecznego Piotra Skargi, Legionowego Biskupa, współpracownika Józefa Piłsudskiego, hierarchy wiernego Panu Bogu i Polsce nawet wtedy, gdy degradacja za tę wierność przychodziła z Watykanu. Poniższa przemowa wygłoszona została 29 listopada 1906 roku, w 76. rocznicę powstania listopadowego w kościele oo. dominikanów w Krakowie i odbiła się szerokim echem. Ksiądz Bandurski był wówczas biskupem od zaledwie miesiąca. Bez litości chłostał sobie współczesnych za to, że są zbyt słabi duchowo, by wywalczyć niepodległość. Biskup Bandurski dożył czasów, gdy współczesne mu pokolenie, kształtowane przez niego, niepodległość wywalczyło. Kto pamięta kazania Jana Pawła II, bez problemu zauważy, jak nasz Ojciec Święty nauki Bandurskiego wcielał w życie, uwspółcześniając tylko metody walki z okupantem.

biskup Władysław Bandurski

W walce o dusze nasze i prawa nasze

Wpatrując się w czyny dziadów i ojców naszych, nie rozumiemy, iż powstawać także musimy, powstawać ciągle, co dzień, co godzina, co czyn, co myśl, co tchnienie, uczucie i pożądanie, słowem przez całe życie każdego z nas musi się snuć powstawania moc i siła, gdyż inaczej o prawa i dusze nasze walczyć nie będziemy zdolni. A jeśli walczyć przestaniemy, przestaniemy być narodem żywym i prawo do życia mającym.

Oni idą na nas z mnóstwem opornem i hardością, aby nas wygładzili... a my powstajem, ażeby bronić się i walczyć o dusze nasze i prawa nasze... Oni idą na nas z hardością, aby nas złupili i zdeptali, zgnietli i wyniszczyli, a my powstajemy, ażeby walczyć o życie i wiarę w przyszłość... Oni idą... wytrwali i nieugięci, uporni a zbrojni we wszystkich podłości zasoby i nie patrzą na środki, tylko piekielny cel zabijania narodu mają przed sobą, a my powstajem, ażeby wydźwignąć się z niemocy woli, z uśpienia ducha, z choroby samolubstwa, z sromu zapomnienia o swych obowiązkach [...]

Tak byśmy mówić mogli, gdybyśmy byli ludźmi z epoki listopadowego powstania... gdybyśmy istotnie powstawać byli zdolni, gdybyśmy umieli walczyć o prawa nasze i o dusze nasze. Jednakże my, wpatrując się w czyny dziadów i ojców naszych, nie rozumiemy, iż powstawać także musimy, powstawać ciągle, co dzień, co godzina, co czyn, co myśl, co tchnienie, uczucie i pożądanie, słowem przez całe życie każdego z nas musi się snuć powstawania moc i siła, gdyż inaczej o prawa i dusze nasze walczyć nie będziemy zdolni. A jeśli walczyć przestaniemy, przestaniemy być narodem żywym i prawo do życia mającym.

***

Powstawać – to znaczy bronić się. A bronić się przede wszystkim trzeba przeciw temu, co naszą siłę moralną i duchową pęta i osłabia, co nasze dusze

eprasa.pl 8b1fcfea26

trzyma w niewoli naszych żądz, wad i win, co prawa nasze słuszne i sprawiedliwe naturalne i Boże – krępuje i zabiera. Naród, który ma z pohańbienia niewoli wrócić w świt sławy narodu odrodzonego, musi pracować nad odrodzeniem każdej jednostki, musi walczyć o duszę każdej jednostki – każdej jednostce swej musi dać ducha wolnego od win, każdą jednostkę musi uzbroić w siłę woli, wiodącej do celu, a wtedy z potęgą odrodzonego ducha polskiego, może i powinien naród stanąć do walki z bezprawiem i krzywdą [...]

Oni – tylko ziemię rozdzielili – a my, jak powiada poeta, na setne i tysiączne ułamki, podzieliliśmy ideę Polski – i o te ułamki wzajem między sobą boje toczymy, wzajem się ścieramy, nienawidzimy, prześladujemy i – o zgrozo – zabijamy.

Jak to ?... Sądzicież, iż nie spełniamy my między sobą morderstw i zabójstw ? Czyż niema między nami walk na śmierć i życie? A cóż się dzieje innego w Warszawie i w ziemiach polskich pod knutem rosyjskim? Sami sobie katami, krew rozlewamy bratnią.

I to ma być ciągła i wytrwała walka narodu naszego o prawa i dusze nasze. Dziś w Polsce, jeśli jeszcze kto walczy o prawa i o dusze, to dzieci z Poznańskiego, które mowy polskiej nie chcą zaniechać i religii nie chcą się uczyć w języku niemieckim – obcym. Sto tysięcy dzieci, to dziś armia, która o duszę i o prawa walczy, która nas zawstydza, która nam drogę wskazuje, jak mamy w walce naszej, narodowej, obywatelskiej, trwać i wytrwać.

Dziwny – niepojęcie dziwny zbieg wypadków i zdarzeń dziś, w rocznicę wspomnień o dniu 29 listopada przed oczyma naszemi się przesuwa. Tam – wtedy, kiedy Belwederczycy rzucili się na tyrana, tam – wtedy, kiedy sejm polski w Warszawie zawołał: – „Niema cara" – tam wtedy wyszedł z Warszawy cały pułk z dzieci złożony.

***

Kuryer Polski z r. 1830 pisze dnia 21 grudnia:

– Za Marymoncką rogatką stanęła baterya, usypana przez dzieci szkół cyrkułowych i prywatnych departamentów, które z nauczycielami przyszły. Księża Augustyanie, mimo odbytej już pracy na Pradze, przybyli także ze swoją szkołą. I szkółka Księży Karmelitów stanęła do pracy [...]

Tak broniły Ojczyznę w 31 roku dzieci... Trzynastoletni Czarnowski został oficerem w 2 pułku strzelców. Walczył pod Ostrołęką i widział jak ojciec jego okryty bliznami poległ za Ojczyznę. Dnia 5 marca wyszedł z Warszawy pułk dzieci warszawskich. Zatrzymał się przed ratuszem dla pożegnania miasta. Pułkiem tym dowodził pułkownik Eustachy Wołowicz, kapelanem był ks. Kropiwnicki...

Tak walczyły dzieci... A dziś – dzieci poznańskie czyż nie tworzą armii wielkiej, nieugiętej, świętej, armii obrońców mowy i wiary. Niedawno chłopczynie w Miłosławiu zagroził profesor plagami, jeśli nie odpowie po niemiecku... Grożąc też powiada: – Daję ci pięć minut czasu do namysłu.

I cóż na to chłopię polskie, to małe, bezbronne, ubogie dziecko odrzekło? – Nie potrzebuję się wcale namyślać, wezmę kije, a po niemiecku nie odpowiem, bo kije bolą 10 minut, a sumienie będzie bolało całe życie.

Oto szlachetna walka o duszę naszą i o czystość narodowego sumienia. Oto jest obraz bohatera, który powstaje z bracią swoją i chce walczyć i walczy już od dziecka o dusze nasze i o prawa nasze!

Inny chłopiec, bity bezlitośnie, aż ręka krwią zabiegła, odrzekł: – Wy bijecie w rękę, ale przez to serce polskie bić nie przestaje!

Bracia! Radbym wołać i wołać głosami tysiąca ludzi... Gdybyście wy tak walczyć umieli, jak walczą te dzieci, wtedy by naród był pewien zwycięstwa i przyszłość Ojczyzny nie zostałaby w mrokach ciemnoty.

Dzieci, dzieci z r. 1831 nas uczą, jak się Ojczyźnie służy, dzieci nas uczą teraz, jak się wałczy o prawa nasze i o dusze nasze. Walczy się zawsze, walczy się wytrwale, walczy się z zapałem i wiarą, iż walka ta musi pokonać wroga [...]

Tam – dziecko małe rozumie i pojmuje, iż splamione sumienie boleć będzie całe życie, a my tu – ileż razy splamiliśmy sumienie służalstwem, karyerowiczostwem, sobkostwem, pobłażaniem na wszystko złe i niegodziwe i nie czujemy bólu sumienia, bo sumienie to już przestało być czułe na obowiązki narodowe, bo się ono upierzyło wygodami i umorfinowało myślą: „aby mnie było dobrze!".

Tam dziecko katowane powiada, iż serce polskie mimo to bić nie przestanie, a u nas ileż serc takich, które już zupełnie sercami polskiemi zwać się nie mogą! – Skarb to – sumienie. – Moc – to skupienie!... pisał Pol, a my tego skarbu szanować i ochraniać nie umiemy... ani tej mocy mnożyć i powiększać nie pragniemy.

Rozbili nas sprzymierzeni wrogowie, lecz gorzej rozbijamy się my sami... Od dzieci się uczmy. Gdy w Poznańskiem walczą dzieci, skupienie czyni z nich armię 100.000 i jako nową wyprawę krzyżową prowadzi na obronę praw narodu... Krwawy to pochód, ale w skupieniu mocny i umacniający słabe na duchu! Gdzie nasze skupienie i zszeregowanie? Jakie nasze sumienie?

***

Bracia! nie myślcie, iżem goryczą napojony, iżem zwątpieniem zatruty... Prze-Bóg! Wierzcie! Iż wołał-

eprasa.pl 8b1fcfea26

bym cierpieć dziesięćkroć cięższe męczarnie, jak cierpią dzieci w Poznańskiem, niż rzucić wam jedno słowo wymówki lub goryczy. A jednak, gdy rozważam, czem jest taka rocznica dziejowa, gdy widzę, jak wspomnienia jej wiążą się z wypadkami obecnymi – ja... muszę was błagać, zaklinać i prosić; – Pocznijcie walczyć o prawa wasze i o dusze wasze, bo dzieci same Ojczyzny nie dźwigną, jeśli wy – starsi – rozbici – rozdzieleni – wy pełni swarów i lęku o swoje jutro, nie zaczniecie powstawać i bronić Ojczyzny!

Uciekamy – od pola walki, zatykamy uszy, ażeby nie słyszeć wołania lub jęku cierpiących – walczymy nie o prawa narodowe, ale o nazwę stronnictw, o tytuły i stopnie – a o dusze i prawa nasze wspólne walczyć nie umiemy. Tam – z jednej strony tysiące dzieci tęskni za nauką, tysiące woła o pomoc w wytrwaniu. A tam – 100.000 dzieci z katechizmem polskim w ręku staje w oczy potwora, śmierć niosącego duszy polskiej, i woła:

– Niech bolą plagi, byle sumienie nie bolało !... A my? My starsi, doświadczeni, silni, my kapłani i nauczyciele, ojcowie i bracia, matki i żony, my czem walczymy o prawa i o dusze nasze? Czyż staramy się o wyzwolenie i odrodzenie duszy naszej ?

Wrogów sprzymierzone potęgi nie przestają walczyć i chociaż nowych Dybiczów nie widzimy na czele armii, ale ich poznajemy w nurtującej i kreciej pracy – rozkładającej duszę narodową. Na takie wytrwałe a systematyczne zabijanie ducha w narodzie, jakiem wrogowie walczą, nam trzeba milionów zastępów, umiejących walczyć o prawa nasze i o dusze nasze – pod hasłem miłości Boga i Ojczyzny – pod sztandarem prawdy i sprawiedliwości, wolności i wiary! Od walki o dusze nasze rozpocząć nam trzeba! Bo, chociażbyśmy zwyciężyli w walce o prawa nasze – choćbyśmy zdobyli jak najszerszą autonomię, najjaśniejsze poglądy, wszystko to Polski nie odrodzi, gdy my dusz naszych nie uratujemy od podłości, występków i zbrodni.

***

A dusza musi mieć wiarę i żyć jako dusza, nie jako instynkt zwierzęcy, nie jako komórka chemiczna, nie jako coś, nad czem się przechodzi do porządku dziennego. Najlepszy dowód mamy, iżeśmy o dusze nasze walczyć przestali, mało lub nic pracowali, gdy widzimy dziś całe szeregi Polaków bez ducha i bez wiary – bez serca i wstydu – istnych Kainów, rzucających się na własnych braci swoich i mordujących ich bezlitośnie, jak wrogów...

A duszę trzeba uczynić silną i jasną przez wiarę, miłość i nadzieję, boć w tem odrodzenia duchowego początek i koniec... Wszak duch narodu splata się z dusz jednostek, a jeśli jednostki dusz swych nie niosą wyżej nad cielesnych żądz i namiętności niskich kurzawy, nie wyzwalają codziennie z oków pychy, samolubstwa, zawiści i szatańskich poduszczeń – wówczas można powtarzać smutne słowa z Anhelego: „Wstanie słońce i dzień przyniesie, straszniejszy niż ciemność, a ciszę, okropniejszą, niż są burze na morzu, bo będziecie się lękać sami siebie".

A kto ma duszę, niech wstanie, niech żyje, bo jest czas żywota, czas powstania, czas walki i zwycięstwa, ale dla tych, którzy nie o brzękliwe złoto, nie o błyszczące srebro, nie o błahe walczą sprawy, lecz o „duszę i prawa". Zwyciężeni dziesięćkroć, zwyciężymy wreszcie i pokonamy Goliata, gdy uczynimy naród cały i silny i mężny w duchu Jego!...

Mickiewicz w wykładach literatury powiada: „Z historyi słowiańskiej daje się wyciągnąć to spostrzeżenie, że, kiedy który naród tego szczepu odrętwiał, stracił działalność ducha, zawsze przybywał do niego duch obcy, obudzał w nim czynność, ciągnął go częstokroć na drogę fałszywą, unosił daleko, aż póki tym sposobem ocucony, nie spostrzegł się w błędzie i nie zaczął sam wracać ku prawdzie«. Taki obcy duch, duch niewiary i zwątpienia, przystąpił do odrętwiałego w niewoli ducha naszego, tak ciągnie go na drogi fałszu i tysiącznych omyłek, prowadzi na manowce wielu odstępstw od Boga i narodowych obowiązków, lecz czas wracać do wałki o dusze nasze, bo bez nich staniemy się zgrają ludzi – bez ludzkich cnót, synami narodu – bez narodowej cechy i odrębności!...

W pamiętnikach r. 1831 czytamy, iż w jednej z bitew ujrzano chłopaka małego, zanoszącego się od płaczu. – Czyś ranny? – pytają go? – Nie... tylko nasi uciekają!...?

O! dziś by dzieci poznańskie, walczące o polski język i polski katechizm, mogły także płakać na widok tych starszych, tych nas, tych silniejszych od dzieci, którzy uciekają z poła walki o dusze nasze i o prawa nasze.

– Krwią zabiegły nam ręce i dłonie i razami posieczone nasze plecy – ale nie dlatego zanosimy się od płaczu – ale dlatego, że „nasi uciekają" z poła walki, z pola obowiązków – pełni lęku i tchórzostwa, pełni rachub, co zawodzą, uciekają przed wrogiem i przed sobą i przed ducha siłą...

A gdzie? Uciekają do domów gry i niecnoty, do sutych stołów, do próżniaczego bytowania, do cynizmu i zatrutego sceptycyzmu. Z tych chorób wyzwolić duszę – to znaczy dziś walczyć o dusze nasze. [...] ■

Przedruk za: „Ducha nie gaście: mowy i przemowy patriotyczne", Lwów 1911.

eprasa.pl 8b1fcfea26

Ewa Polak-Pałkiewicz

Roy Campbell, Ostatni Rycerz

„Nie istnieją żadne substytuty moralności, honoru i lojalności, ani same dla siebie (o czym boleśnie się przekonujemy), ani jako materiał poetycki" – mówił angielski poeta Roy Campbell (1901–1957). Był jednym z najwybitniejszych i cieszących się największym uznaniem twórców swojego stulecia. Podziwiali go i pisali o nim T.S. Eliot, Dylan Thomas i Edith Sitwell, przyjaźnią obdarzał J.R.R. Tolkien; dziś niewielu wie o jego istnieniu. Gdy nawrócił się na katolicyzm, jego twórczość została zapomniana, wykreślono go z opracowań krytyków literatury. Żyje natomiast jego czarna legenda.

Na zdjęciu m.in. Roy i Mary Campbell (z lewej).

FOT. WIKIPEDIA

Zawsze występował publicznie w obronie tych, których pozycja była słabsza, nie ulegał ideologicznym modom. Walczył nie tylko piórem, lecz także karabinem – jako żołnierz, na kilku frontach dwóch wojen.

Urodzony w Durbanie w Afryce Południowej, Ignatius Royston Dunnachie Campbell, syn pochodzącego ze Szkocji lekarza i Angielki, myśliwy, jeździec, żeglarz i rybak, przyjaciel Zulusów, obrońca Hiszpanów walczących z komunistami, życzliwy i pomocny sąsiad rolników z Prowansji, hiszpańskich i portugalskich chłopów. Po burzliwej młodości spędzonej w środowisku londyńskiej bohemy, po wielu literackich sukcesach i przygodach wojennych osiadł wraz z rodziną w małej portugalskiej wiosce, gdzie uprawiał ziemię i przekładał dzieła św. Jana od Krzyża.

Jak stać się postrachem snobów

Jako młody chłopak polował z Zulusami; biegle posługiwał się ich językiem, dobrze się czuł wśród nich i ich cenił. „Są bardzo inteligentnymi ludźmi" – pisał w autobiografii. „Ich język jest niezwykle piękny, nieco górnolotny i bardzo ozdobny. Czerpią olbrzymią przyjemność z konwersacji, analizując problemy z wielką subtelnością i wykazując się jasnością umysłu".

Wyjechał do Anglii, by studiować w Oxfordzie, ale nie uzyskał dyplomu. Zaczął z powodzeniem publikować w prasie literackiej i wydawać tomiki poetyckie; stał się sławny z powodu talentu, choć z pewnością w snobistycznym i przesiąkniętym intrygami środowisku literatów i artystów, grupy Bloomsbury, także z powodu ciętego dowcipu, szampańskiego humoru i rozrywkowego trybu życia.

Wyróżniał się niefrasobliwością, temperamentem i wyjątkowo okazałą posturą. Evelyn Waugh, który też nie był ułomkiem, opisywał go jako „wielkiego, chełpliwego, prostodusznego i dobrotliwego dzikusa" i wyznawał: „Wystarczyło, że mówił do mnie, żeby robiło mi się słabo".

Sławę 22-letniemu twórcy przyniósł poemat „The Flaming Terrapin" („Płonący żółw"). Pisano z zachwytem, że „wśród tłumów poetów piszących rozdelikacone strofy porusza się on z siłą włochatego mastodonta przepychającego się przez stado antylop". Jego twórczość ekscytowała, olśniewała bogactwem skojarzeń, uważano, że genialnie „łączy dzikie słowa z dzikimi myślami". A jednak Roy nie dał się złapać na haczyk zachwytów, pochlebstw i prestiżu. Świat londyńskiego blichtru, snobizmu, ambicji, intryg i seksualnych dewiacji był mu gruntownie obcy, odpychał sztucznością, wiał beznadzieją. Choć sam, jak podkreśla Joseph Perce, nie potrafił określić swojej filozofii i wiary; jego

8d1fcfea26

poemat był eklektyczną mieszanką motywów chrześcijańskich, nietzscheańskich i darwinowskich.

„Anglia, do której przybył z Afryki, z całą nostalgiczną miłością do ojczyzny, jaką Zjednoczone Królestwo zaszczepiło w swoich dzieciach, bardzo różniła się od Anglii, której duszę opiewały stare pieśni i poematy oraz chłopięce opowiadania Kiplinga" – pisze Roger Scruton w poświęconym Campbellowi eseju „Czarny Koń". „Była to Anglia przywilejów klasowych i ostrych podziałów… Nowa klasa wyłoniła się z cieplarnianych przedszkoli szkół publicznych, jakimi były kosztowne szkoły prywatne […] Dawna klasa wyższa została zniszczona przez Wielką Wojnę, pozostali najmłodsi synowie i pogrążeni w żałobie rodzice. Kultura, której ta klasa była strażnikiem, legła w gruzach; żywiła się już tylko kąśliwą drwiną z emerytowanych wojskowych o sztywnych uśmiechach i duchownych w wykrochmalonych kołnierzykach, którzy na próżno starali się podtrzymywać mit o niezniszczalności starej angielskiej kultury. Nową klasę charakteryzowało głębokie rozczarowanie ideą imperium, pogarda dla patriotyzmu zwykłych ludzi i odrzucenie religii epoki wiktoriańskiej".

Do takiego kraju przybył Roy Campbell i nic dziwnego, że zaczął wkrótce „znęcać się w subtelny sposób nad lewackim establishmentem", a odrzucając sybarycką kulturę i szukając trwałych lojalności, nieuchronnie musiał stać się wygnańcem.

W latach 30. Roy wraz ze swoją towarzyszką życia Mary Garman – jednym z dziewięciorga dzieci znanego lekarza – zdecydował się na wyjazd do Prowansji, obawiając się o przyszłość rodziny, rozpad ich (świeckiego) małżeństwa. Była to prawdziwa ucieczka z toksycznego świata, w którym oboje zaczęli dostrzegać z przerażeniem coś, czego nie potrafili nazwać inaczej jak „zgnilizna". Decyzja pary znanej z religijnej obojętności (oboje pochodzili z anglikańskich rodzin) odbiła się silnym echem w literackim Londynie. Wirginia Woolf, jedna z kluczowych postaci grupy Bloomsbury, uznała, że Roy „jest już martwy" (z podobną pogardą wyraziła się o T.S. Eliocie po jego przejściu na anglo-katolicyzm). Campbell odwdzięczył się prześmiewczym poematem „The Georgiad" o tym środowisku i jego dekadencji. Od tego czasu mawiano, że Roy to ktoś w rodzaju „groźnego literackiego szeryfa, przybywającego od czasu do czasu, by zaprowadzić porządek w miasteczku". Roger Scruton podkreśla, że w zdolności obsypywania lewicy „wspaniałymi obelgami" nie miał konkurentów.

Nawróceni w Altei

W 1935 roku Mary i Roy wraz z dwoma córkami przybyli do Hiszpanii, kraju, o którym poeta pisał, że wszystko mu zawdzięcza, bo ocalił jego duszę. Zamieszkali w małym gospodarstwie w górach Altei i po kilku miesiącach przyjęli chrzest w Kościele katolickim, w małej wiejskiej parafii.

Ich dom – bielona wapnem chata z wychodkiem na podwórzu – wraz z kilkoma akrami sadu oliwkowego, z osłem, którego używali do transportu wody z górskiego źródła i którego co wieczór wprowadzali przez główną izbę do stajni – wszystko to wprawiało w przerażenie matkę Roya, która przyjechała pewnego dnia z Londynu w odwiedziny. Ofiarowała im nowy żeliwny piecyk, buty, ubrania oraz kilka amerykańskich gadżetów, niezbędnych, jak twierdziła, w tak surowych warunkach. Tymczasem Roy chwalił się w liście do przyjaciela, że ma parę świnek i osły, że od dawna nie widział gotówki, listonoszowi za znaczek pocztowy daje kurczaka, żyje tylko z tego, co sam uzbiera i wyhoduje.

Campbellowie, uwolnieni od wahań, dylematów, kompromisów, które cechowały angielską opinię publiczną i ich dawnych przyjaciół, czuli się w hiszpańskiej osadzie wolni i szczęśliwi. Oparcie się na fundamencie tradycyjnego chrześcijaństwa, odrzucenie „powierzchowności i ruchomych piasków nowoczesnego cynizmu" (J. Pearce) – przyniosły im prawdziwą ulgę. Było dla nich wielkim odkryciem, gdy dostrzegli, jak silnie życie duchowe splata się w tym kraju z kulturą.

Roy wspominał po latach, że obserwacja życia sąsiadów, prostych chłopów, stała się momentem zwrotnym w ich życiu. Nie mogli pozostać obojętni wobec dzielności i honoru tych ludzi. „[…] cechowała ich taka słodycz i świeżość, że niemal niezauważalnie przeszliśmy bez reszty na ich stronę" – pisał. Inicjatorką chrztu była Mary, której sumienie nie pozwalało pozbyć się poczucia winy z powodu dawnej zdrady Roya. Wraz ze chrztem przyjęli sakrament małżeństwa. Cała wieś uczestniczyła w uroczystości, chłopi płakali i obejmowali nowo nawróconych, wszyscy śpiewali i tańczyli w całonocnej fieście. Proboszcz powiedział, że był to najpiękniejszy dzień w jego życiu. Roy obrał za swego patrona św. Ignacego Loyolę, a Mary – św. Marię Magdalenę. „Wreszcie jestem w krainie moich marzeń" – pisał wzruszony poeta do przyjaciela. Hiszpanię opisywał jako piękną kobietę, „śpiącą, z twarzą zwróconą ku słońcu".

Ich poglądy ugruntowały się jeszcze dzięki znajomości z mieszkającą po sąsiedzku parą Norwegów, z którymi każde spotkanie kończyło się zażartą dyskusją. „Helge była komunistką, a Earling nazistą, jednak oboje jednoczyła mocna nienawiść do Chrystusa i chrześcijaństwa" – pisał w jednym z listów Roy. Jednocześnie obserwowali narastającą falę komunistycznych zapędów i agresywnej czerwonej propagandy w Hiszpanii. Roy zaczynał coraz wyraźniej zdawać so-

eprasa.pl 8b1fcfea26

bie sprawę, że jego nawrócenie ma także wymiar polityczny.

Poeta nazywał komunizm imitacją chrześcijaństwa, ale dopiero widząc na własne oczy okrucieństwo Czerwonych Brygad, zdał sobie sprawę, czym on jest – o. Gregorio, ich proboszcz z Altei, był jedną z pierwszych ofiar wojny domowej. Nie miał też wątpliwości, że musi aktywnie włączyć się w wojnę domową po stronie Franco, gdy nadciągnęła, co oboje z żoną przeczuwali. Roy widział, że jest to wojna między Wschodem a Zachodem, że komunistyczna nawałnica chce unicestwić katolicką kulturę Hiszpanii, którą uznawał za swoją, i że jego obowiązkiem jest bronić wiary, honoru, domu i rodziny.

Wobec czerwonego terroru

Anglicy w 1936 roku byli bardziej przejęci niebezpieczeństwem ze strony nazizmu, obawiali się Hitlera, który poparł gen. Franco. Mimo dochodzących na wyspy brytyjskie wieści o niebywałych okrucieństwach komunistów i anarchistów, wstrzymywali się z jednoznacznym potępieniem frontu lewaków. Europejscy katolicy byli wstrząśnięci podpalaniem i niszczeniem kościołów, mordami na hiszpańskich biskupach, zabójstwem 4 tys. księży, 2 tys. zakonników i 300 sióstr zakonnych. Szczegóły zbrodni były porażające. Niemal każdy kościół w Barcelonie został sprofanowany i ograbiony; święte obrazy palono, a rzeźby rozwalano i rozstrzeliwano. „Księżom obcinano uszy, mnichom dziurawiono bębenki krzyżykami różańców, a pewnej matce dwóch jezuitów wciśnięto różaniec do gardła. Mimo wszystkich błędów Franco, wielu [katolickich twórców] wolało je od brutalnego antykatolickiego ateizmu jego przeciwników" (Joseph Pearce).

Christopher Dawson przewidywał, że wynik zmagań w Hiszpanii, która była zawsze traktowana jak przedmurze chrześcijaństwa, zadecyduje o przyszłości Europy. A jednak spora grupa angielskich pisarzy wraz ze świecką opinią publiczną wciąż uważała, że komunizm jest czymś lepszym od faszyzmu, że odwołuje się do „miłości" – takie było m.in. stanowisko Grahama Greena, przyjaciela Roya, który długo wahając się pomiędzy dwoma skrajnościami, wybrał w końcu czynne poparcie Basków w wojennej rozgrywce.

Roy wraz z żoną znalazł się w Toledo, dawnej stolicy Kastylii, i zaczął pracować jako korespondent wojenny dla „The Tablet". Był świadkiem antykomunistycznego powstania w tym mieście, kulminacyjnego momentu wojny domowej. Podczas oblężenia Alkazaru, „pałacu-twierdzy bronionego przez grupę zawodowych oficerów, kadetów miejscowej Akademii Piechoty, falangistów i zwykłych cywilów przeciwnych lewackiej dyktaturze" (Jakub Pytel), Roy przez szpary w okiennicach swojego mieszkania widział płonącą bibliotekę karmelitów. Wiedział już, że przeor klasztoru został zamordowany.

Któregoś dnia do mieszkania Campbellów wtargnął uzbrojony oddział komunistycznej milicji, poszukujący „buntowników, faszystów, klechów i ich zwolenników". Para cudzoziemców z pewnością wzbudziłaby ich wzmożoną czujność, gdyby nie fakt, że na ścianach nie zauważono żadnych oznak kultu. Przywódca grupy z ulgą przysiadł na wielkiej skrzyni stojącej w hallu, ozdobionej makatą i wazonem z kwiatami, i monologował na temat postępów armii rewolucyjnej. Nie domyślał się, że w niej Campbellowie ukryli bezcenne dzieła z biblioteki karmelitów (w tym rękopisy św. Jana od Krzyża) – z którymi od kilku miesięcy byli w przyjaźni i których ukrywali przez pewien czas pod własnym dachem – a wcześniej zdjęli ze ścian święte obrazy i krucyfiks, i że przez cały czas rozmowy błagali w duchu o pomoc św. Jana. Był 23 lipca 1936 roku. Po kilku miesiącach wspierania walczących, tuż przed klęską powstania, Roy wraz z Mary opuścił oblężone miasto ciężarówką.

W sierpniu tego roku Campbellowie odpłynęli z płonącej Hiszpanii przez Marsylię do Anglii na pokładzie brytyjskiego okrętu szpitalnego. Roy wiedział już, że właściciele rękopisów są męczennikami, 17 karmelitów rozstrzelano na ulicach Toledo. Wypełnił swoją obietnicę złożoną św. Janowi od Krzyża, że jeśli on i jego rodzina ocaleją, przetłumaczy jego poezje na angielski. Pracował nad tłumaczeniem 11 lat. Otrzymał za nie prestiżową nagrodę Foyle Prize. Jorge Luis Borges, choć nie podzielał wiary i poglądów Roya, uznał jego przekład za „najlepsze strofy duchowe jego pokolenia" i stwierdził, że tłumacz prześcignął autora.

Persona non grata

Tymczasem w artystycznym Londynie przyjęto poetę „z głębokim rozczarowaniem". Jakub Pytel podkreśla, że środowisko nigdy nie wybaczyło mu jadowitych strof „Georgiady", a teraz, gdy wyszedł na jaw jego „krewki i zawadiacki katolicyzm", nie wahało się nazwać go faszystą.

W 1937 roku oboje z Mary i córkami zamieszkali w Portugalii. Roy jednak nie potrafił siedzieć w domu, wkrótce znów był na froncie jako korespondent wojenny i członek frankistowskich oddziałów. Poważnie ranny w nogę, napisał poemat „The Flowering Rifle" („Kwitnący karabin"), którym zyskał sławę wśród katolików i hiszpańskich patriotów. Wiosną 1939 roku pojawił się na madryckiej defiladzie zwycięstwa.

Jego wojownicza natura nie pozwoliła mu bezpiecznie spędzić czasu II wojny, pomimo kalectwa i nadwątlonego zdrowia zasilił szeregi Królewskich Strzelców

eprasa.pl 8b1fcfea26

Walijskich, później Strzelców Afrykańskich, przez pewien czas służył w Ogadenie we wschodniej Afryce.

Russel Kirk w tomie „Eliot and His Age" pisał o Royu z tamtych lat: „Postrzelony, pokłuty, pobity i nadpalony w dwóch straszliwych wojnach i różnych prywatnych waśniach; jego wielki tułów stanowi zbyt ponury widok, by chciał go pokazywać na publicznych plażach, jego plecy były jedną wielką blizną, kość jednej z nóg uzupełniono kawałkiem plastiku, kręgosłup był połamany, a bębenki w uszach przebite, ale jego potężne ciało wydawało się niezniszczalne. Sztyletowany przez Cyganów w Hiszpanii, torpedowany na Hebrydach, gdzie omal nie zatonął w morzu, szarpany przez dzikie zwierzęta w Afryce Południowej, bity przez komunistów w Toledo, wzięty na rogi przez byka w Camarque…".

Gdy przeniesiono go z powodu stanu zdrowia do rezerwy, podjął pracę w BBC. W 1952 roku po raz ostatni opuścił z rodziną Anglię, ostatecznie zniechęcony bezkrytyczną postawą, a niekiedy wręcz uwielbieniem artystów i intelektualistów wobec komunizmu, i na stałe osiadł z rodziną w Portugalii, która okazała się mu bliższa niż frankistowska Hiszpania. Jednak regularnie pielgrzymował z żoną do Hiszpanii w czasie uroczystych obchodów wielkich świąt religijnych.

Jak trafnie zauważył Joseph Perace, kluczem do zrozumienia tak licznych nawróceń na katolicyzm wśród XX-wiecznych angielskich pisarzy było „głębokie rozczarowanie »światem« i tym, co ma on do zaoferowania, tęsknota za głębią w świecie płycizn, stałością w świecie zmiany i pewnością w świecie zwątpienia". Łączyło się to z odrzuceniem materializmu i „głęboką nieufnością w stosunku do gloryfikowanego po II wojnie »postępu«". Temperament Roya nakazywał mu nie tylko brać udział w wojnach, lecz także występować publicznie przeciw obłudzie politycznego świata. W 1954 roku w Afryce Południowej zabrał głos na ten temat, nazywając Churchilla „odważnym, ale przestarzałym halabardnikiem londyńskiego zamku", a Roosevelta „chichoczącym zombie", co wywołało konsternację i protesty. Potępił też Jałtę, krytykował ONZ i ironizował, że Anglia czeka na plan Marshalla jak na napiwek. Przy tym wszystkim było wiadomo, że w czasie wojny walczył po stronie aliantów, zdecydowanie sprzeciwiał się apartheidowi w Afryce Południowej, nie był bezkrytyczny wobec gen. Franco.

Zebrałem już swe oliwki…

A jednak lewicowy establishment nie potrafił mu wybaczyć. Elity artystyczno-intelektualne utwierdzały się tylko w przekonaniu, że Roy jest „perwersyjny" i jego prawdziwą namiętnością jest „bić ludzi". „Jeśli dziś się go wspomina – pisał Roger Scruton – to z pobłażliwością i lekceważeniem, jako żywiołowego poetę, który stanął, po »złej stronie« w czasie hiszpańskiej wojny domowej, która była ostatnim dzwonkiem, by brytyjscy intelektualiści otrzeźwieli".

W 1956 roku zadomowił się z Mary na dobre w portugalskiej wiosce Linho. Rano wędrowali do niedalekiego klasztoru na Mszę, wieczorem odmawiali różaniec. W listach do Edith Sitwell przypominał o konieczności odmawiania dwóch dziesiątek „za bolszewików", zgodnie z prośbą Piusa XII, który „wie lepiej" – choć sam stwierdzał, że wolałby się z nimi bić. Dokuczała mu fizyczna słabość. Niedawny pogromca byków w Hiszpanii – dwukrotny zdobywca srebrnej kurtki pikadora – i zwycięzca zawodów w ujeżdżaniu młodych byków w Prowansji, cierpiał na rwę kulszową, stracił płynność ruchów, był ociężały.

W ostatnim wierszu „Noc listopadowa" przyznawał się do tej nowej dla siebie, niewygodnej kondycji: „Z rozmiękłych pól zszedł chłop, rybak na brzeg wezwany,/ Kolejna jesień liczy minionych wojen rany./ Dawniej stopy z radością kładłem we strzemiona,/ Dzisiaj po izbie cwałuję w fotelu bujanym./ Zebrałem swe oliwki, już w kadzi winne grona…".

Niewiele pisał i nie był już w stanie ukończyć historii hiszpańskiej wojny domowej, nad którą pracował od blisko 20 lat, by, jak mówił, „skorygować błędy zafascynowanych Kremlem angielskich kłamców". Joseph Pearce podkreśla, że jego oddalenie od centrów intelektualnych i artystycznych nie przeszkodziło mu bynajmniej być „częścią tej sieci umysłów i komunii łaski, która sprawiła, że katolickie odrodzenie literackie stało się w ubiegłym wieku tak potężne. Tolkien bardzo go podziwiał, czemu dawał wyraz w swoich listach".

W kwietniu 1957 roku Roy wybrał się z żoną swoim małym fiatem na obchody Wielkiego Tygodnia do Sewilli. Przez cały czas pobytu w mieście Mary była pod wrażeniem jego niezwykłej powagi. Skupiony i milczący szedł w długich procesjach ulicami miasta.

Gdy wracając znaleźli się znów na drogach południowej Portugali, pośród szpalerów sosen, jedna z opon samochodu nagle wybuchła i fiat uderzył w drzewo. Ciężko poraniony, ze złamanym kręgosłupem Roy zmarł po kilku minutach, w całkowitym spokoju.

„Zmarł tak jak żył, jak błyskawica" – pisała Edith Sitwell o swoim przyjacielu, którego uważała za „wcielenie energii i ognia" – w dniu, w którym Kościół czci św. Jerzego. Edith potrafiła docenić siłę jego poezji, odwagę i rycerskość, jak i wskazać absurdalność skierowanych przeciw niemu zarzutów o faszyzm. „Uważał podobnie jak ja – mówiła – że masakrowanie księży, zakonników, Żydów, chłopów i arystokratów jest tak samo nikczemne".

eprasa.pl 8b1fcfea26

Mary ocalała z wypadku. Ostatnie 22 lata w Portugalii przeżyła wraz z córką w biedzie, nieustannie zajęta pracą w katolickich organizacjach dobroczynnych. Nieraz ich głównym pożywieniem była zupa z rybich głów.

Contra mundum

Roy Campbell należał do grupy angielskich pisarzy, którzy – przekonani, że służyć mają „nienaruszalnej moralności w świecie zbyt nikczemnym, by zrozumieć prawdy fundamentalne" – wyrażali swój sprzeciw wobec liturgicznych i innych tzw. reform, które zaczynały się w Kościele katolickim już w latach 50. ubiegłego wieku. Uważano je za „wyprzedaż katolickich praktyk w źle obliczonym wysiłku, aby poradzić sobie ze współczesnym światem" – podsumowuje Joseph Pearce. Oceniano je jako „równanie w dół", „oszpecanie piękna Kościoła brzydotą nowoczesnych trendów". Przenikliwy Evelyn Waugh, konwertyta z anglikanizmu, wielki admirator Roya Campbella, pisał, że „eklezjalni architekci odwracają się plecami do cywilizacji śródziemnomorskiej i podążają za szerokimi, proletariackimi modami północy".

Waugh nie był jedynym zaniepokojonym wprowadzaniem języków narodowych w miejsce łaciny, nie krył też irytacji argumentami nowatorów: „Weźmy kościoły unickie" – pisał. „Wolno im zachowywać starożytne zwyczaje religijne i odprawiać nabożeństwa w takich językach jak nowoaramejski, bizantyjska greka, gyyz [liturgiczny język Kościoła koptyjskiego w Etiopii] bądź starocerkiewno-słowiański, które są martwe w dużo większym stopniu niż łacina. Załóżmy więc Unicki Kościół Rzymski i pozwólmy Niemcom odprawiać ich własne hałaśliwe przedstawienia […]". O modnym teologu modernistycznym, Hansie Küngu, który zaczął robić karierę, mówił bez ogródek, że jest on „heretykiem, którego w lepszych czasach byśmy po prostu upiekli". Nawet arcybiskup Liverpoolu John Heenan przyznawał w liście do Waugha, że za tym wszystkim stoi nagłe pragnienie, „byśmy się maksymalnie upodobnili do protestantów". Rozżalony Waugh widząc, że arcybiskup wycofuje się ze swoich uprzednich opinii, pisał w liście opublikowanym w „Catholic Herald" w 1964 roku: „[…] piszecie o »dynamicznej odnowie« i »widocznym działaniu Ducha Świętego«, z czego wynika, że sympatyzujecie z północnymi innowatorami, którzy pragną zmienić zewnętrzne oblicze Kościoła". I dodawał, że „podnoszenie rabanu leży w naturze Niemców. Światła pochodni, wrzaskliwe mityngi Hitler-jugend wyrażały namiętność narodową… To jednak bardzo nieangielskie. Nie potrzeba nam żadnych »Sieg-Heil-ów«. Modlimy się w ciszy. »Uczestnictwo« w mszy nie znaczy, że musimy słyszeć swoje własne głosy. Chodzi o to, by usłyszał je Bóg". Pisarz ubolewał, że zdrajcy wewnętrzni robią wszystko, by „wydać wiernych w ręce »wrogów« wewnętrznych, kultywujących hedonizm i pogaństwo". Przekonują, że dyscyplina seminariów to zabójcza nuda, nauka łaciny – marnowanie czasu, a literatura włoska dużo lepsza jest niż apologetyka.

Dziwnie proroczo brzmią dziś te słowa jednego z nielicznych wiernych przyjaciół i towarzyszy wędrówki Roya Campbella, tak często samotnego podczas swojej ziemskiej podróży. Poeta, który zawsze jakąś częścią swojej istoty namiętnie pragnął przygód i ekscytujących dalekich wypraw, ukrywał się przez połowę życia w wiejskich zaciszach katolickich krajów. Jakby przeczuwając, że miejsca schronienia przed inwazją zjawisk obcych i wrogich chrześcijańskiej kulturze i cywilizacji kurczą się do trudno dostępnych i najuboższych krain.

Roger Scruton uważa, że Campbell, był kimś na kształt błyskotliwej gwiazdy, która zniknęła podobnie, jak zniknęła męska i mistyczna Hiszpania, którą wyidealizował, ale która ukształtowała jego duchowy świat (przy okazji pisarz wspomina, że gdy tuż przed rokiem 2009 odwiedził Hiszpanię, natknął się w Madrycie na „festiwal dumy gejowskiej", sponsorowany przez rząd i związki zawodowe, z tańczącymi mężczyznami w kostiumach bikini, którym wiwatował tłum). Hiszpania stawała się podobnie zdemoralizowana i zlaicyzowana jak Anglia po I wojnie. „Dopiero gość z Afryki, wychowany wśród Zulusów, rozpoznał bolszewicki nihilizm, który zagrażał Hiszpanii już w latach trzydziestych; jego znakiem był wcześniej narcyzm klas wyższych, który ożywiał angielskich towarzyszy podróży. Roy wiedział, że oba kraje wspólnie odniosą sukces lub poniosą klęskę. Intuicyjnie odczuwał te powiązania, potwierdza je dziś zarówno Anglia, jak Hiszpania, w których kulturze dominuje zarówno lewicowa ortodoksja, jak sybarycka seksualność, tak samo niebezpieczne jak za czasów Campbella".

Paul Claudel mówiąc o pokorze i jej falsyfikacie: „Dwa sposoby uczynienia się małym. Klęknąć albo zbudować wokół siebie coś na kształt bazyliki św. Piotra w Rzymie", wypowiedział celną maksymę, streszczająca zarazem życie i twórczość wolnego poety i nieustraszonego wojownika, Afrykanera, Szkota i Latynosa w jednej osobie, Roya Campbella. ■

Źródła: Joseph Pearce, „Pisarze nawróceni. Inspiracja duchowa w epoce niewiary", przełożył Robert Pucek, Fronda; Jakub Pytel, „Sławni konwertyci", Warszawa 2014; Roger Scruton, „Czarny Koń", „The American Spectator", 2009.

eprasa.pl 8b1fcfea26

Agnieszka Kowalczyk

Ślązacy na preriach Teksasu

eprasa.pl 8b1fcfea25

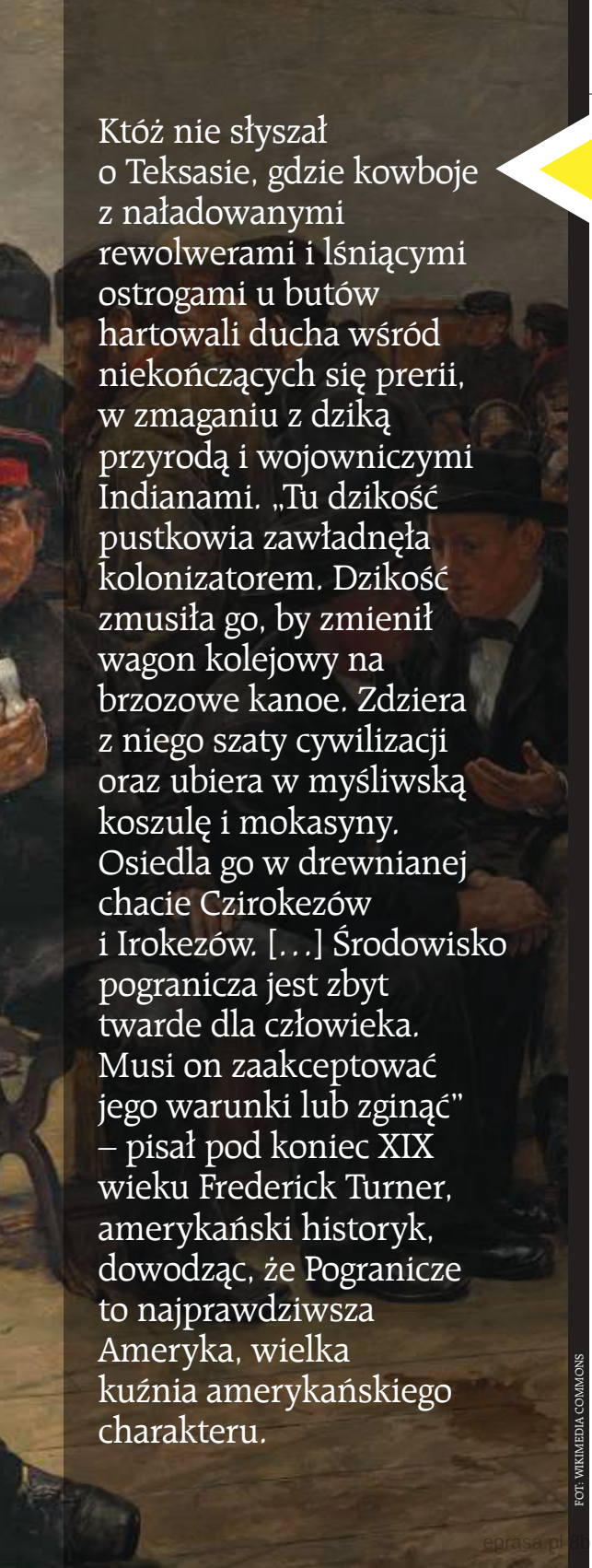

Któż nie słyszał o Teksasie, gdzie kowboje z naładowanymi rewolwerami i lśniącymi ostrogami u butów hartowali ducha wśród niekończących się prerii, w zmaganiu z dziką przyrodą i wojowniczymi Indianami. „Tu dzikość pustkowia zawładnęła kolonizatorem. Dzikość zmusiła go, by zmienił wagon kolejowy na brzozowe kanoe. Zdziera z niego szaty cywilizacji oraz ubiera w myśliwską koszulę i mokasyny. Osiedla go w drewnianej chacie Czirokezów i Irokezów. […] Środowisko pogranicza jest zbyt twarde dla człowieka. Musi on zaakceptować jego warunki lub zginąć" – pisał pod koniec XIX wieku Frederick Turner, amerykański historyk, dowodząc, że Pogranicze to najprawdziwsza Ameryka, wielka kuźnia amerykańskiego charakteru.

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

To właśnie na Dziki Zachód, a dokładnie do Teksasu, wiedzie nas dziś Ewa Winnicka, autorka odkrywczej książki-reportażu „Miasteczko Panna Maria. Ślązacy na Dzikim Zachodzie" (2024). Odsłania w niej współczesne oblicze teksańskiej ziemi i jej mieszkańców, a jednocześnie fascynującą historię Teksasu współtworzoną przez pokolenia pionierów, dla których miał być on Ziemią Obiecaną. Swoimi bohaterami czyni zaś Ślązaków z zaboru pruskiego, których los rzucił na dzikie prerie w połowie XIX stulecia, uczynił kolonizatorami mierzącymi się z suszą i huraganami, ze wszechobecnymi grzechotnikami, bandami rabusiów i Indianami. Reporterka dociera do praprawnuków pierwszych polskich pionierów i do pierwszej polskiej osady w Stanach Zjednoczonych. Równocześnie przybliża barwne sylwetki Ślązaków, którzy z upływem lat stali się Amerykanami, ale nie wyzbyli się swych korzeni.

Ze Śląska na Dziki Zachód

Pierwsza grupa śmiałków z Górnego Śląska jesienią 1854 roku przedostała się przez Wrocław i Berlin do portu w Bremie. Tam czekały już na nich dwa statki – dwustutonowy trójmasztowiec „Weser" i bryg „Ammerland", które ku amerykańskiej ziemi uniosły 482 pasażerów. Były wśród nich rodziny: Jarząbków, Wacławków i Moczygembów, Przybyszów, Weissów i Dziuków, Jantów, Urbanczyków, Kniejskich i Krawców… Ku swemu przeznaczeniu płynęli m.in. polscy chłopi ze wsi Płużnica Wielka położonej pod Strzelcami Opolskimi, należącymi wówczas do rejencji opolskiej w państwie pruskim. Jedna z wielu, dziewięcioletnia Konstantina Pyka podróżowała wraz z rodzicami, dwójką młodszych sióstr i bratem. „Każdy dzień był podobny – wspominała – nocą zapadała ciemność i śmiertelna cisza. Mama cierpiała na chorobę morską, podobnie jak wielu pasażerów. Trójka z nich zmarła w czasie podróży. Owinięto ich ciała płótnem, przywiązano obciążnikami i wyrzucono za burtę. Denerwowałam się, że zjedzą ich ryby". Po dziewięciu tygodniach żeglugi przez Atlantyk statek rzucił kotwicę w porcie Galveston, otwierającym przybyszom z Europy wrota do Nowego Świata. Za wejście na brzeg trzeba było zapłacić dolara. Nie wszyscy Ślązacy wyszli tam na ląd, część popłynęła dalej, do portu Indianola, skąd bliżej było do San Antonio, a tym samym do ziemi, którą mieli zakupić na własność.

Dalej musieli iść pieszo bezkresnymi pustkowiami bądź jechać wozami ciągnionymi przez wynajęte woły. „Hen w dal, jak oko sięgało, prerie i prerie, na których bydło stadami się pasło, rozciągały się na kilkaset mil". Wielu spośród pierwszych polskich emi-

eprasa.pl 8b1fcfea26

grantów nie doczekało wyśnionego Eldorado, umierając po drodze z wycieńczenia albo na skutek panoszącej się na wybrzeżu żółtej febry. Pozostali po trzech tygodniach wędrówki pod przewodnictwem księdza Leopolda Moczygemby dotarli do celu w Wigilię Bożego Narodzenia 1854 roku. Około stu śląskich rodzin rozbiło wówczas obóz na pagórku nieopodal rzeki Cibolo pod rozłożystym dębem. Rozciągająca się wokół trawiasta pustynia, stanowiąca ojczyznę dla tysięcy jadowitych grzechotników, musiała przerazić Ślązaków. Jeden z pierwszych kolonizatorów pisał później: „Myśmy nie mieli żadnych chatek, tylko pola, krzaki i drzewa za ochronę. […] Stanęliśmy obozem na tem miejscu, gdzie […] ani kościoła zapowiedzianego nam w Europie, ani żadnej chatki, a ni nawet nikogo nie było z ludzi. Trawa wszędzie tak była wielka, że ledwo o kilka kroków mógł dojrzeć jeden drugiego. Wężów grzechotników pełno. […] Wszyscy bez wyjątku musieliśmy chodzić z kijami, motykami, widłami dla obrony". Drogi powrotu już jednak nie mieli. Ustawili więc na tej nowej ziemi krzyż przywieziony z kościoła parafialnego w Płużnicy Wielkiej, a ojciec Leopold odprawił pod dębem pierwszą Mszę Świętą dla swoich podopiecznych, dając tym samym początek polskiemu osadnictwu w Teksasie. Tej samej wigilijnej nocy przyszedł na świat pierwszy Polak w nowej kolonii. Otrzymał imię Adam.

Osadę nazwano Panna Maria. Ksiądz Leopold, uznając bowiem, że najlepszą opiekunką dla Ślązaków za oceanem będzie Matka Boska, miał przed oczami kościół Mariacki w Krakowie, który olśnił go w młodzieńczych latach.

Początki pierwszej polskiej osady w USA

Odtąd rozpoczęło się dla pracowitych Ślązaków surowe i twarde życie. Przywieźli ze sobą pługi, brony, krosna, pierzyny i woreczki ze śląską ziemią, gotowi mierzyć się ze stepem i zakładać na nim swój dom. Spędziwszy wigilijną noc pod gwiazdami, z samego rana zabrali się do zbierania chrustu i pierwszych prac polowych. Ziemię rozparcelowano na długie, wąskie kawałki ciągnące się od rzeki ku osadzie. Działka Feliksa Miki liczyła na przykład 182 m szerokości i 1609 m długości. Za jeden akr ziemi przybysze ze Śląska musieli zapłacić jej właścicielowi Johnowi Twohigowi siedem dolarów, podczas gdy Anglosasi taki sam kawałek mogli zakupić tylko za dolara. Twohig zdzierał więc skórę z Polaków, którzy musieli spać na gołej ziemi, a potem w ziemiankach przykrytych chrustem oraz nieustannie strzec się dzikich kotów i węży. By ratować się przed biedą, Ślązacy poszli na służbę do Amerykanów, ale zamiast zapłaty za kilkumiesięczną pracę, zostali przepędzeni nabitymi lufami rewolwerów. Wracali więc do swoich zagród bez grosza, a tam „głód, nędza; dzieci płaczą i o chleb wołają". Nie poddali się jednak i przeszedłszy twardą szkołę życia na Dzikim Zachodzie, zapuścili tam korzenie, tworząc swój własny mały świat. Stanowiły go osady: Panna Maria, Cestohowa, Kosciusko, St. Hedwiga, Bandera, Falls City, Yorktown, Meyersville, Las Gallinas, White Deer i McCook. W latach 1854–1870 w Teksasie swój nowy dom znalazło przeszło 3470 przybyszów z Górnego Śląska.

Śmiały plan sprowadzenia Ślązaków do Teksasu narodził się w głowie franciszkanina Leopolda Moczygemby, proboszcza teksańskich parafii w New Braunfels i Castroville. Sam był rodowitym Ślązakiem, urodził się we wsi Płużnica Wielka (1824) jako syn właściciela młyna i karczmy, który musiał wykarmić dziesięcioro dzieci. Skończył gimnazjum w Gliwicach i wstąpił do Zakonu Braci Mniejszych Konwentualnych. Gdy w 1851 roku do bawarskiego Schönau przybył Jean-Marie Odin, biskup z Galveston w Teksasie, który poszukiwał misjonarzy mogących pełnić posługę wśród niemieckich osadników za oceanem, polecono mu właśnie ks. Leopolda. Ten zaś widząc, jak dobrze powodzi się Niemcom w Teksasie, zaczął rozglądać się za ziemią dla swych rodaków, a tę znalazł na południu od San Antonio, nad rzeką Cibolo.

Po trzech miesiącach zadomawiania się w Teksasie osadnicy pod okiem swego pasterza przystąpili do wznoszenia kościoła, który miał stanowić duchowe centrum Panny Marii. Grunt pod budowę świątyni zakupił zakon franciszkanów, a pieczę nad całym przedsięwzięciem objął ojciec Leopold. Budowę rozpoczął majster murarski Niemiec Pauli, a po tym jak jego robotnicy się pochorowali, kontynuował ją polski murarz Jan Gawlik. Kiedy z kolei ten zaniemógł, pracami pokierował majster z Meksyku, po nim znów niemiecki budowniczy. Cała ta międzynarodowa ekipa murarzy-budowlańców doprowadziła do wyłonienia się ze stepów wysokiej na 20 stóp świątyni, która jedną ze swych wież przypominała kościół Panny Marii w Krakowie. Ojciec Leopold poświęcił ją uroczyście 29 września 1856 roku. Nad głównym wejściem zawieszono krzyż, który przywieźli z rodzinnych stron Jan Rzeppa i Franciszek Cebula, a wkrótce potem zabiło serce kościoła – zamówiony przez rodzinę Rzeppów dzwon, którego dźwięk był tak potężny, że trzęsły się ściany, a sufit groził zawaleniem. Tak powstała najstarsza polska parafia w USA.

Kościółek był niezwykle skromny, bez ławek i podłogi, z piaszczystym klepiskiem. Na poddaszu urządzono dla księdza ubogą izdebkę z piecykiem kuchennym, przy którym sam sobie gotował. Do tego

eprasa.pl 8b1fcfea26

jaskółczego gniazda pod sklepieniem pierwszy proboszcz polskiej parafii w Ameryce zapraszał swych wiernych zawiedzionych teksańskim życiem. W czasie jednej z takich wizyt, podczas obiadu, gdy ojciec Leopold pocieszał rozgoryczonych gości, nagle coś oderwało się od dachu i klapnęło wprost na środek stołu. Był to grzechotnik w całej swej okazałości.

W ogniu słońca, w ogniu wojny…

Żywioły władające Teksasem wystawiły Ślązaków na najwyższą próbę. Najpierw nękały ich szalejące burze, które o kilka tygodni opóźniły wiosenne siewy, a potem nastała klęska suszy, jakiej Ameryka dawno nie oglądała. Pod koniec lata 1856 roku „»San Antonio Weekly Herald« ogłosił, że to największa susza w historii i wiele studzien wysycha. Przez kolejny rok nie spadła ani jedna kropla deszczu. Na prerii wokół Seguin w ziemi pojawiły się pęknięcia szerokie na trzydzieści centymetrów i głębokie na dziewięć metrów. Roślinność usychała, kurczyła się i w końcu znikała zupełnie, pozostawiając gołą ziemię. Bydło gubiło się i zdychało w czasie dalekich wędrówek w poszukiwaniu wody i trawy, których już nie było". Mężczyźni ratowali swe rodziny, polując na grubego zwierza, a kobiety szukały zarobku w miastach. Ślązacy ledwo przetrwali tę klęskę, głównie dzięki osadnikom z sąsiedniej Heleny oraz pomocy twardego biznesmena Johna Twoigha, który przysłał do Panny Marii wóz kukurydzy na sprzedaż.

Natura Teksasu była groźna i nieustępliwa, ale i burzliwy żywioł toczącej się na Dzikim Zachodzie historii okazał się siłą, której Ślązacy nie byli w stanie się oprzeć. Tak działo się w czasie wojny secesyjnej (1861–1865). Wówczas to Teksas jako siódmy stan dołączył do Konfederacji przeciwstawiającej się zniesieniu niewolnictwa. Do wojska brano wszystkich mężczyzn od 18. do 40. roku życia, a opornym groziła kara śmierci przez powieszenie. Nie miał więc wyboru 18-letni Aleks Dziuk, powołany do armii Południa i wysłany do Arkansas, źle żywiony i uzbrojony w przestarzałą flintę. Przeżył, ale kiedy wrócił do domu, własna matka go nie poznała. Nie mieli też wyboru inni chłopcy z Panny Marii: Jan i Franek Moczygembowie, Jan i Jakub Lyssowie, Jan Gawlik, Martin Dugi, Adam Skloss, Jan, Franek i Anton Bryschowie, Jakob Pollock i Antoni Sekula i wielu ich kolegów.

Wśród zmobilizowanych był też Peter Kiołbassa, którego ojciec Stanisław w 1848 roku został wybrany na posła do pruskiego parlamentu. Choć nie znał języka niemieckiego, odważnie przemawiał po śląsku w Berlinie i uczestniczył aktywnie w pracach Komisji do spraw Kopalń i Hut. Nie znalazł jednak zrozumienia ani u obcych, ani u rodaków. Jesienią 1848 roku w rodzinnym Świbiu los zetknął go z ks. Leopoldem, który sposobił się właśnie do wyprawy do Ameryki i swoim entuzjazmem porwał Stanisława za sobą. Wyruszył on do Teksasu wraz z żoną i sześciorgiem dzieci. Ewa Winnicka pisze, że Kiołbassowie nie wytrzymali w Pannie Marii zbyt długo, bo złamał ich malaryczny klimat, a po przenosinach do pobliskiego Castroville – kląska suszy. Wreszcie ich domem stało się San Antonio. Najzdolniejszy z synów Stanisława, Peter, nie chciał być farmerem. Swoich sił próbował jako poganiacz wołów, kelner, sklepikarz na granicy teksańsko-meksykańskiej. Szybko opanował angielski i hiszpański, władając jednocześnie polskim i niemieckim. Uczył się też pilnie w szkole wieczorowej, zdobywając uprawnienia nauczycielskie. W roku wybuchu wojny secesyjnej był już organistą kościelnym i nauczycielem muzyki w Pannie Marii. I wtedy to, latem 1862 roku, wzięty został w kamasze. W bitwie pod Little Rock dostał się do niewoli, ale jako emigrant miał szansę przejść na stronę Unii. Tak też uczynił. Po złożeniu przysięgi na wierność Stanom Zjednoczonym, rozpoczął służbę w Kompanii D 16. Pułku Kawalerii Illinois. Peter szybko awansował na kapitana Kolorowych Oddziałów Armii Stanów Zjednoczonych. Wziął udział w wielkiej, trwającej prawie dwa miesiące bitwie pod Vicksburgiem, gdzie po przeciwnej stronie walczyli jego bracia. Z reportażu Ewy Winnickiej wiadomo, że „Kiołbassa miał wiele szczęścia. Kiedy w styczniu 1866 roku rozwiązano jednostkę, z tysiąca dwustu żołnierzy żyło dwustu osiemdziesięciu sześciu. Jego pułk uczestniczył w trzydziestu jeden bardziej i mniej krwawych bitwach". Po zakończeniu zmagań wojennych wyjechał do Chicago, gdzie zrobił błyskotliwą karierę jako szef policji, skarbnik miejski, radny, komisarz budowlany i robót publicznych. Jednocześnie włączył się w życie chicagowskiej Polonii, organizując m.in. pierwszą polską parafię katolicką w Chicago. Po latach odwiedził Pannę Marię, doceniając twarde i proste życie w Teksasie.

Zmartwychwstańcy na straży Panny Marii

Po zakończeniu wojny secesyjnej na teksańskiej ziemi zapanował chaos, szerzyły się bandytyzm i bezprawie, na każdym kroku czaiła się śmierć z rąk bezwzględnych rabusiów-rewolwerowców. Była to mroczna epoka w życiu Ślązaków na Dzikim Zachodzie, epoka, którą rozjaśniali ojcowie zmartwychwstańcy, czyli zakonnicy ze Zgromadzenia Zmartwychwstania Pana Naszego Jezusa Chrystusa, podtrzymujący polskiego ducha w czasach narodowej niewoli. Na prośbę pochodzącego z Europy biskupa

eprasa.pl 8b1fcfea26

Teksasu sześciu młodych misjonarzy wyruszyło z Francji na Dziki Zachód, by służyć polskim osadnikom. Byli to: Adolf Bakanowski, Wincenty Barzyński, Feliks Zwiardowski, Klemens Kucharczyk, Józef Bitkowski i Feliks Orzechowski. Parafianie z Panny Marii, która miała stać się głównym centrum misyjnym, nie mogli ukryć wzruszenia na widok duchownych mówiących w ich ojczystym języku. Przez długi czas cierpieli bowiem z powodu braku pasterza-Polaka. Energiczny ksiądz Adolf Bakanowski przystąpił od razu do konsolidowania Ślązaków wokół duchowego centrum ich wspólnoty – zamówił w Rzymie nowy obraz, ogrodził kościół, by zapewnić bezpieczeństwo podczas procesji, zakupił nowy dzwon i kazał wybudować dzwonnicę. Stanął na straży moralności powierzonych mu ludzi, doceniał ich pobożność i surowość obyczajów, to, że przywieźli ze sobą figurę Chrystusa, że sami wyciosali do swej świątyni krzyż, że przed wejściem do kościoła nabożnie się modlili, wspominając ojczyznę… Przede wszystkim zaś został dzielnym obrońcą swej owczarni, gdy coraz uciążliwsze stały się bandy amerykańskich degeneratów. Raz po raz napadali oni na Ślązaków, strzelali do nich, zdarzało się, że dla zabawy chwytali kogoś na lasso i ciągnęli za sobą, uciekając potem bezkarnie. Ksiądz Adolf donosił o tych aktach przemocy gubernatorowi Davisowi, który właśnie w tym czasie wizytował południową część kraju. Ten doradził mu utworzenie straży obywatelskiej, obiecując przysłać federalne wojsko dla wprowadzenia porządku. Ojciec Bakanowski przystąpił więc do organizacji wojska Panny Marii złożonego z odważnych Ślązaków, którzy pod jego wodzą kilkakrotnie dali odpór bandytom. Udało się im nawet stoczyć z napastnikami zwycięską bitwę nad rzeką Cibolo i przepędzić rozzuchwaloną szajkę ze swego terenu, gdy starała się tam powrócić w akcie zemsty. Zdesperowany ksiądz Adolf odważył się nawet przedrzeć niepostrzeżenie do stacjonującego w San Antonio generała, który ruszył osadzie na ratunek. „W krytycznym momencie słychać trąbki artyleryjskie nadciągającej odsieczy. Ślązacy są ocaleni. Delikatny ksiądz z Podola jest teraz twardym mścicielem na Dzikim Zachodzie".

„Nie ma lepszego miejsca na ziemi"

Mijały lata, a Teksas w oczach Amerykanów i ludzi z całego świata przeistaczał się w krainę iście mityczną. Miał swojego ducha i swój niepowtarzalny charakter, który podczas podróży za ocean próbowała odkryć i opisać Ewa Winnicka. Już na lotnisku w San Antonio witały ją hasła promieniujące z ekranów hali przelotów, a głoszące, że oto znalazła się w „najchętniej odwiedzanym mieście Stanów Zjednoczonych, z największą liczbą baz wojskowych i najwyższym szacunkiem dla weteranów". Od razu odczuwało się dumę Teksańczyków ze swojego stanu, największego po Alasce, słynącego z najbogatszych złóż ropy naftowej w całych Stanach, z niezliczoną ilością rancz i pikapów, którymi najchętniej jeżdżą Teksańczycy. Nic dziwnego, że szczycą się swoją historią – tym, że Teksas przez 10 lat był niepodległą republiką, że w 1845 roku dobrowolnie przystąpił do Unii i że ma zagwarantowane konstytucyjnie prawo odstąpienia od niej w każdym momencie. Zgłębiając istotę Teksasu, Ewa Winnicka zauważa, że ma on najdłuższą granicę z Meksykiem, co powoduje, że „co roku rekordowe dwa miliony emigrantów na wszystkie sposoby pragną się przez nią przedostać do Stanów Zjednoczonych". Wskazuje też, że najwięcej sztuk broni w USA posiadają właśnie obywatele Teksasu i że tam odnotowuje się rekordową w skali kraju liczbę przypadków śmierci w wyniku postrzałów (tak zginęło w 2021 roku 4613 osób). Ponadto Teksańczycy chcą być samowystarczalni. Stworzyli więc niezależną sieć energetyczną – „zainwestowano tu miliardy w linie przesyłowe wysokiego napięcia przenoszące energię wiatrową z prerii do miast". Przede wszystkim jednak Teksas to przestrzeń wolności, walki z wszelkimi przeciwnościami, hartowania ciała i ducha w zmaganiach z naturą i historią, sprawdzania własnych możliwości w ekstremalnych sytuacjach, bycia męskim, twardym i odpornym na ból… Według Ewy Winnickiej Teksas to „ukochane dziecko Hollywood", „symbol nieokiełznanego Zachodu", a filmy Johna Forda, George'a Stevensa, Williama Wylera, Howarda Hawksa i Anthony'ego Manna przedstawiają go jako „moment egzystencjalny, gdy człowiek staje twarzą w twarz ze swoim przeznaczeniem".

Swoje siły na zamiary mierzyli też Polacy, którzy od połowy XIX wieku byli na teksańskiej ziemi farmerami, kowbojami, żołnierzami, misjonarzami, biznesmenami, a nawet i milionerami… „Dlaczego wszyscy chcieliby mieszkać w Teksasie?" – zapytała Ewa Winnicka Roya Dugosha, jednego z potomków pierwszych Ślązaków. Odpowiedział bez wahania: „Bo jesteśmy najwięksi, kochamy Boga i sąsiadów. Nie ma lepszego miejsca na ziemi". Jego prapradziadek Johann Dugosh, kamieniarz z Rozmierzy, trafił do osady Bandera na początku 1855 roku i pomagał w budowie tamtejszego kościoła. Dla swojej rodziny postawił dom z piwnicą, która w tych stronach była czymś niespotykanym. To rodowe gniazdo służyło kolejnym pokoleniom Dugoshów, w tym i Royowi, który stanął przed Ewą jako prawdziwy kowboj – w skórzanych spodniach, kamizelce, butach z ostrogami, znoszonym kapeluszu, z nabitym prawdziwym prochem rewolwerem. Miał też worek na skradzione

eprasa.pl 8b1fcfea26

kosztowności, bo właśnie przed chwilą napadł na bank. Jak się okazało, 70-letni Roy brał udział w historycznych rekonstrukcjach życia na Dzikim Zachodzie, a Teksas darzył wielką miłością. Kiedyś pracował w firmie wodociągowej w San Antonio, a na emeryturze jego misją stało się „gruntowanie patriotyzmu, czyli popularyzowanie wizerunku mężczyzny, który jeździł konno, ujarzmiał teksańską ziemię i zwierzynę oraz żył według chrześcijańskich zasad".

Amerykanie o polskiej duszy

Gdy do pierwszej polskiej osady w Teksasie udała się w 2022 roku Ewa Winnicka, jej oczom ukazało się zagubione wśród prerii miasteczko, ciche, jakby opustoszałe, z kościołem o białej wieży i z prastarym dębem pamiętającym polskie początki na Dzikim Zachodzie. Witał ją namalowany białą farbą napis na wielkiej, nieużywanej od dawna mieszalni pasz, głoszący, że dotarła do Panny Marii. Wokół rozciągały się prerie podziurawione odwiertami, bo ziemia nabyta niegdyś przez Ślązaków okazała się… prawdziwą żyłą złota – jedną z najbardziej roponośnych na świecie. Znakiem rozpoznawczym osady jest wybudowane z niezwykłym rozmachem Centrum Dziedzictwa Polskiego (Polish Heritage Center), które swojej inauguracji doczekało się w 2021 roku. Inicjatorem jego powstania był biskup John Yanta, wizjoner i propagator polskości w USA, koordynator pielgrzymki Jana Pawła II do Teksasu. Centrum stoi na straży „zwyczajów, wierzeń i wartości wyznawanych przez pierwszych osadników". „Zwiedzanie zaczynało się od rotundy ozdobionej mozaiką z trzema kręgami symbolizującymi Polskę, Stany Zjednoczone i Teksas. Na ścianach podświetlono zdjęcia z opisem najważniejszych wydarzeń z historii Polski i postaci, które wpłynęły na losy świata: Marii Skłodowskiej-Curie, Mikołaja Kopernika i Jana Pawła II. Centrum rotundy wyznaczały figury świętych Cyryla i Metodego – współpatronów Europy Środkowej. U sklepienia namalowano mural ilustrujący znojną drogę imigrantów z Europy: pierwszą mszę pod dębem, pracę na polu, wybór polskiego papieża, aż do widoku uśmiechniętej grupy Teksańczyków na płycie lotniska w Polsce". Każda z czterech naw teksańskiego centrum polskości ma swojego patrona – św. Jadwigę – opiekunkę Śląska oraz Świętych: Jacka, Stanisława i Jana Pawła II. Na kopule widnieją słowa Chrystusa zapisane w trzech językach – polskim, angielskim i hiszpańskim: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody". Wyjątkowe miejsce w tej przestrzeni zajmuje wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej.

Jednym z najbardziej zagorzałych orędowników kultury śląskiej w Teksasie okazał się ksiądz Franciszek Kurzaj – proboszcz Panny Marii, działacz kulturalno-oświatowy, miłośnik Śląska. Pochodził ze wsi Sławięcice leżącej pod Kędzierzynem-Koźlem. Przyjazd do Teksasu w 1986 roku był spełnieniem jego dziecięcych snów o kowbojach, Indianach i legendarnych preriach. Zastał tu potomków dawnych kolonizatorów ze Śląska i to on stał się dla nich przewodnikiem w odkrywaniu ich tożsamości. Krótko po tym, jak objął probostwo w Pannie Marii, parafianka Emilia Lyssy z domu Dragon zapytała go: „Co to jest ten Śląsk, że za tym trzeba płakać?". Chciała zrozumieć, bo „jej dziadek, trzecie pokolenie w rodzinie pionierów, płakał". Ksiądz Kurzaj postanowił wtedy, że swoim podopiecznym musi pokazać, czym jest Śląsk. Zabrał więc wszystkich chętnych w swoje rodzinne strony do Sławięcic, gdzie gościnne domy otworzyła przed nimi rodzina jego brata Gerarda wraz z przyjaciółmi. „Napisałem do biskupa Nossola, że chcę z Teksańczykami przyjechać na Śląsk – wspomina ks. Kurzaj. – Powiedział, że to dobry pomysł, i na pielgrzymce zaapelował: »Teksańczycy przyjadą, wszystkich z nazwiskami Lyssy, Dupnik, Dziuk, Mazurek, Pawelek, Pollok, Kiołbassa, zapraszam na Górę Świętej Anny«. Gerard i jego koledzy zrobili im tabliczki z nazwiskami. Stanęli z nimi po mszy na górze. I tak zaczęli się znajdować. Jeden nie rozumiał drugiego, ale ściskali się i płakali z radości". Odtąd ks. Kurzaj ze swoimi Teksańczykami odwiedzał Polskę co roku. W sumie takich wypraw zorganizował 30. Pielgrzymi z Teksasu zwiedzali śląskie parafie i cmentarze, oglądali na własne oczy Warszawę, Kraków, Wieliczkę i Opawę. Niektórzy spośród nich na polską ziemię wracali jeszcze kilkanaście razy. W sumie taką inicjacyjną podróż ku swym prapoczątkom odbyło przeszło tysiąc Teksańczyków polskiego pochodzenia. Była wśród nich Geraldine Lyssy Piegza, urodzona w 1944 roku w osadzie Kosciusko. Od dziecka mówiła śląską gwarą, ale dopiero podróż z ks. Kurzajem pozwoliła jej w pełni odkryć siebie w zetknięciu ze Śląskiem i serdeczną rodziną Poloczków, u których gościła wraz z mężem. „Teksańczyków zaskoczyły kaszanka, wątróbka i to, że w środku dnia Ślązacy jedzą zupę. I to, że w miejscowym kościele mężczyźni siedzą po jednej, a kobiety po drugiej stronie, i że na mszy grają organy". Piegzowie pokochali Śląsk i powracali do Sławięcic jeszcze 15 razy, z kolei rodzina Poloczków odwiedziła Teksas w 2001 roku. Takich historii, wyrastających z potrzeby budowania duchowej więzi z ziemią praojców – jest wśród teksańskiej Polonii znacznie więcej. „Są Amerykanami od wielu pokoleń – pisze o nich ks. Wojciech Reisch – Są u siebie. Nie muszą niczego udawać ani niczego się bać. A równocześnie pielęgnują swoją polską czy śląską tożsamość". ■

eprasa.pl 8b1fcfea26

Łukasz Czarnecki

Co Chińczyk

Żyjący na przełomie XVI i XVII wieku angielski filozof Francis Bacon twierdził, że trzy wielkie wynalazki, czyli druk, kompas i proch strzelniczy, bardziej wpłynęły na dzieje ludzkości niż jakakolwiek religia czy wydarzenie natury politycznej. Doprowadziły wedle niego do całkowitego przeobrażenia świata i przejścia Europy od średniowiecza do nowożytności. Uczony nie był jednak w stanie wskazać miejsca i czasu, w których dokonano owych odkryć. W XX stuleciu sprawa wyjaśniła się za sprawą profesora Cambridge – biochemika i historyka nauki Josepha Needhama – wszystko to, czym ekscytował się Bacon, przybyło na Zachód z Chin. Podobnie jak wiele innych wynalazków, które ukształtowały współczesną cywilizację.

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

WYMYŚLI

Kiedy w XIX wieku po wojnach opiumowych Europejczycy i Amerykanie wtargnęli do zamkniętego dotychczas przed nimi Państwa Środka, uznali mieszkańców Kraju nad Jangcy za przeraźliwie zacofanych. Wspomniane dwa konflikty zbrojne jasno udowodniły wyższość zachodniego uzbrojenia, a późniejsza ekspansja mocarstw kolonialnych w Chinach swój sukces zawdzięczała w dużej mierze przewadze technologicznej przybyszów nad tubylcami. Maszyny parowe i kolej budziły w Chińczykach zabobonny lęk, podobnie jak druty telegraficzne, jedne i drugie miały rzekomo zakłócać mistyczne energie ziemi. O aparatach fotograficznych mówiono, że do ich konstrukcji cudzoziemcy wykorzystywali wyłupione żywym ludziom oczy. Farmaceutom i praktykom zachodniej medycyny przypisywano wampiryczne i kanibalistyczne praktyki. Gdy na początku XX wieku wybuchło krwawe powstanie bokserów, rebelianci mordowali każdego, kto korzystał z zachodnich wynalazków, choćby były to importowane zapałki. Nic zatem dziwnego, że Europejczycy i Amerykanie patrzyli na mieszkańców Państwa Środka jak na dzikusów.

Prawdziwe kłamstwo

Pogarda była obustronna. Wykształceni Chińczycy uważali się za lepszych od „barbarzyńców" z Zachodu i w dużej mierze właśnie owo poczucie wyższości było główną przeszkodą w modernizacji Niebiańskiego Cesarstwa. Nie oznacza to jednak, że takich prób nie podejmowano, po stłumieniu w latach 60. XIX wieku straszliwego powstania tajpingów cesarski rząd, wspierany przez grupę co bardziej światłych mandarynów, rozpoczął politykę tzw. samoumacniania, której celem było przyswojenie zdobyczy zachodniej nauki w jej technicznym wymiarze przy równoczesnym zachowaniu ideologii konfucjańskiej i starych chińskich tradycji. Docelowo Pekin zamierzał wykorzystać wynalazki Europy i Ameryki przeciwko imperiom kolonialnym, wygnać dzięki nim obcych i wrócić do swej izolacji. Ruch ten okazał się ostatecznie wielką pomyłką, bo cóż z tego, że zamówiono na Zachodzie flotyllę pancerników, gdy na jej czele postawiono oficera kawalerii, pod którego dowództwem kupiona za grube pieniądze armada poszła na dno w konfrontacji z o wiele mniej liczniejszymi siłami japońskimi w roku 1894!

Nas jednak interesuje jedna intrygująca kwestia w całym tym (poronionym) pomyśle chińskiego rządu. Otóż by uczynić modernizację bardziej strawną zarówno dla zaczytanych w Konfucjuszu twardogłowych mandarynów, jak i zabobonnego ludu, propaganda cesarska oficjalnie lansowała tezę, że wszystkie technologie wykorzystywane przez barbarzyńców z Zachodu w rzeczywistości dawno temu zostały opracowane w Chinach i wykradzione przez obcych, po czym z jakichś bliżej nieznanych powodów zapomniane w kraju swego pochodzenia. Było to kłamstwo, tyle że formujący je ministrowie Cesarzowej Wdowy Cixi nie zdawali sobie sprawy, że w pewnym sensie… mówią prawdę. Jak się bowiem okazało, dzięki badaniom wspomnianego już Josepha Needhama ponad połowa wynalazków, które ukształtowały europejską cywilizację i umożliwiły jej osiągnięcie światowej dominacji, w rzeczywistości jest zapożyczeniami z Chin, o których sami Chińczycy często zdążyli zapomnieć lub brali je za coś tak oczywistego, iż nawet nie zwracali na nie uwagi.

Człowiek, który odkrył chińską naukę

Urodzony w 1900 roku profesor Needham zainteresował się zagadnieniem historii chińskich odkryć naukowych i ich wpływu na dzieje ludzkości, gdy pod koniec lat 30. poznał grupę chińskich doktorantów, którzy przyjechali jako stypendyści na Uniwersytet Cambridge, gdzie pracował. Brytyjczyk szybko zaprzyjaźnił się z młodymi Chińczykami i to właśnie dzięki tej znajomości dowiedział się o pewnych śladach w tekstach źródłowych opisujących urządzenia, którym dotychczas przypisywano europejski rodowód. Jako że informacje na temat wykorzystania owych technologii pochodziły z czasów bardzo dawnych, o wiele wcześniejszych niż pierwsze zanotowane przez historię przypadki użycia ich na Zachodzie, Needham poczuł się zaintrygowany i zaczął drążyć temat. Początkowo korzystał z tłumaczeń dokonywanych przez jego chińskich przyjaciół, ale z czasem zaczął uczyć się chińskiego, opanowując także jego formę klasyczną. Po kilku latach mówił już biegle w języku mandarynów i bez trudu czytał stare chińskie księgi.

W 1942 roku Needham wyjechał do ogarniętego wojną z Japonią Państwa Środka, gdzie został radcą misji naukowej w brytyjskiej ambasadzie w Chongqingu. Nie zważając na wojenną zawieruchę, profesor jeździł po nieokupowanych przez najeźdźców terenach Republiki Chińskiej, kontaktując się z miejscowymi uczonymi i pasjonatami dziejów ojczystych oraz gromadząc wielką bibliotekę bezcennych starodruków, które po zakończeniu wojny z pomocą samolotu transportowego RAF przewiózł do Wielkiej Brytanii. Ogromny ten zbiór stał się podstawą projektu, któremu Needham poświęcił resztę życia (zmarł w 1995 roku). Uczony postanowił dokładnie zbadać dzieje chiń-

eprasa.pl 8b1fcfea26

skiej nauki, przybliżyć je Zachodowi i odpowiedzieć na sformułowane przez niego samego tzw. wielkie pytanie – dlaczego skoro Państwo Środka przez wieki wyprzedzało Europę pod względem technologicznym, nowoczesna nauka zrodziła się nie nad Jangcy, lecz na Starym Kontynencie? Dzieło okazało się, jak mówią Anglicy, „larger than life" i uczony nie doczekał się jego finalizacji, mimo iż pomagał mu w nim cały zespół współpracowników, a w 1985 roku na Uniwersytecie w Cambridge utworzono wręcz Instytut Needhama, mający za zadanie statutowe badanie dziejów chińskiej nauki. *Opus magnum* profesora stanowi seria „Nauka i cywilizacja w Chinach", wydawana od 1948 roku. Do chwili obecnej ukazało się 27 tomów tego monumentalnego dzieła, a praca nad kolejnymi jest w toku, kontynuowana przez grono wychowanków Needhama.

W niewielkim objętościowo artykule, który właśnie Państwo czytają, nie mamy szans przedstawić wszystkich odkryć dokonanych przez mieszkańców kraju nad Jangcy, które zapożyczone zostały przez Europę. Dlatego skupię się na kilku tylko zagadnieniach, niekoniecznie tożsamych z rankingiem Bacona, lecz jasno pokazujących, jak wiele zachodnia cywilizacja zawdzięcza Chińczykom.

Ucz się od chińskiego rolnika

Chiny już od starożytności są najludniejszym państwem świata. Co pozwoliło im osiągnąć tak wielką liczbę mieszkańców, utrzymującą się mimo dotykających co jakiś czas ten kraj katastrof, takich jak powodzie czy brutalne wojny domowe o intensywności nieznanej w innych częściach globu? Najprostsza odpowiedź brzmi: wydajność rolnictwa, dostarczającego wystarczające ilości plonów, by dało się nimi wyżywić setki milionów Chińczyków. Efektywność, jaką osiągali w produkcji żywności chłopi z Państwa Środka, przede wszystkim była wynikiem zastosowania narzędzi, które umożliwiały niezwykle wydajną uprawę roli, nawet na glebach niezbyt przyjaznych rolnictwu.

Doskonale widać to na przykładzie pługów. Podczas gdy w Europie aż do XVII wieku używano drewnianych radeł, których prymitywna konstrukcja generowała liczne utrudnienia w orce, Chińczycy już od VI wieku p.n.e. korzystali z dobrodziejstw żelaznych pługów. Warto uświadomić sobie, jak długi czas minął pomiędzy wynalezieniem tego narzędzia w kraju nad Jangcy a jego adaptacją na Zachodzie, która nastąpiła dopiero w drugiej połowie XVIII stulecia – 2300 lat!

Podczas gdy europejski chłop trudził się, by zaorać swoje niewielkie pole, Chińczyk miał lemiesz tnący ziemię niczym masło. Dalekowschodnie pługi dysponowały okładnicami odrzucającymi na bok przeoraną glebę i tworzącym redlinę, podczas gdy nieszczęsny wieśniak ze starożytnej Italii czy średniowiecznej Francji musiał co jakiś czas wstrzymywać robotę, by wyczyścić radło z błota oraz chwastów, które je oblepiły. O rażącej dysproporcji czasu, pieniędzy i energii pomiędzy rolnikami znad Jangcy a choćby Sekwany czy Wisły świadczy najlepiej to, że przez stulecia wieśniacy z naszej części świata, chcąc zaorać choćby niewielkie pole, potrzebowali zaprzęgu składającego się z sześciu lub ośmiu wołów! Oczywiście mało który kmieć posiadał tak wiele zwierząt, więc rolnicy w Europie tworzyli specjalne fundusze składkowe, dzięki którym grupa sąsiadów mogła wynająć potrzebną im do zaorania swych pól grupę zwierząt pociągowych. Przy czym zapotrzebowanie na woły generowało kolejny problem, jako że te dużo jedzą, sporą część żyznej gleby trzeba było przeznaczać na pastwiska, miast wykorzystać ją do uprawy zboża na chleb. Tymczasem w Chinach tamtejszy kmiotek, by zaorać o wiele większy areał niż jego zachodni odpowiednik, potrzebował zaledwie… jednego wołu! I choć w Państwie Środka nie ma znów tak wiele ziemi uprawnej, aż do XVIII wieku Chińczycy dzięki swym żelaznym pługom uzyskiwali plony wyższe niż Europejczycy byli sobie w stanie nawet wyobrazić. Stary Kontynent plasował się pod względem produkcji żywności tam, gdzie dzisiaj znajdują się kraje afrykańskie, a Chiny zajmowały w tym rankingu miejsce obecnie należne Unii Europejskiej i USA.

Dopiero w XVII wieku handlujący z krajem nad Jangcy kupcy z Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej przywieźli do naszej części świata wykonane z żelaza pługi, które szybko przyjęły się w Niderlandach. Holenderscy rolnicy, wynajęci do osuszania angielskich bagien, przywieźli skonstruowane według chińskiego wzoru narzędzia rolnicze do Wielkiej Brytanii, skąd ochrzczony mianem „cholernego holenderskiego pługu" wynalazek powędrował do Francji i Ameryki. Pod koniec XVIII wieku angielscy inżynierowie udoskonalili konstrukcję, a w XIX stuleciu europejskie pługi prześcignęły oryginały z Państwa Środka, gdy do ich produkcji zaczęto używać stali i wprowadzać kolejne ulepszenia. Zainicjowana tym rewolucja w rolnictwie pozwoliła odsunąć od Starego Kontynentu wiszące nad nim przez wieki widmo klęski głodu i zwiększyć europejską populację, która dostarczyła z kolei rzesz robotników potrzebnych w rozwijającym się przemyśle.

eprasa.pl 8b1fcfea26

Obsiać pole w mig

W II wieku p.n.e. nad płynącą przez północne Chiny Żółtą Rzeką dokonano kolejnego odkrycia, które znacząco usprawniło produkcję żywności. Mowa tu o siewniku rzędowym, urządzeniu, które pozwalało w kontrolowany sposób wysiewać ziarna do pojedynczych rowków w glebie. By wyjaśnić, jak bardzo rewolucyjne było to osiągnięcie, przenieśmy się na chwilę z Państwa Środka do Europy. Podczas gdy chiński chłop bez większych problemów orał swym pojedynczym wołem pole, prowadząc za pługiem siewnik, kmieć z naszej części świata stosował metodę siania znaną jako wysiewanie ręczno-rzutowe. Inaczej mówiąc, spulchniwszy glebę radłem, szedł z torbą pełną nasion zboża i rozrzucał je na wszystkie strony. Było to straszliwie nieefektywne, bo znaczna część zboża wykorzystywanego w tym procesie się marnowała, ziarna wpadały często do pojedynczych rowków po kilka naraz i wzajemnie dusiły się w walce o dostęp do wody, słońca i soli mineralnych. Dorastając, splątane rośliny uniemożliwiały plewienie chwastów, do których nie sposób było się dostać. O skali marnotrawstwa najlepiej świadczy fakt, że w antyku i średniowieczu chłopi europejscy chcąc skutecznie obsiać swą ziemię, musieli przeznaczyć na ten cel aż połowę zebranego danego roku ziarna! Nie ma się zatem co dziwić, że nieszczęśni kmiecie przez kilkanaście stuleci wiecznie balansowali na skraju klęski głodu. Tymczasem w Chinach tamtejsi rolnicy, jak się szacuje, dzięki wykorzystaniu kombinacji żelaznych pługów i siewników osiągali plony 30-krotnie większe niż zabiedzeni europejscy kmiotkowie!

W przypadku siewnika rzędowego Europejczycy musieli po raz drugi „odkrywać koło". Jak już wspomnieliśmy, urządzenia tego używano przede wszystkim w północnych Chinach, gdzie suchy klimat uniemożliwia uprawę ryżu, a podstawą wyżywienia ludności są zboża, takie jak pszenica. Właśnie tamtejszy rolnik korzystał z dobrodziejstw fenomenalnego wynalazku, tyle że robił to bez świadków. Co prawda w XIII wieku na północy pojawiła się pewna liczba przybyszów z Zachodu (najsłynniejszym z nich był Marco Polo), ale po upadku władzy Mongołów i opłynięciu Afryki przez Vasco Da Gamę mało który Europejczyk fatygował się w tamte strony, gdyż o wiele łatwiej było dostać się statkiem do południowych wybrzeży Państwa Środka, gdzie siewniki z racji wymaganych przez ryż odmiennych metod uprawy nie były zwykle stosowane. W efekcie z tego, co nam wiadomo, zachodni kupcy nie przywieźli do ojczyzny żadnego działającego urządzenia, lecz jedynie opowieści o nim i książki zawierające jego opisy. Sęk w tym, że pozycje te były po chińsku, a na Instytuty Konfucjusza i wydziały sinologii Europa miała jeszcze poczekać kilka wieków. Racjonalizatorom rolnictwa pozostały więc zdobiące owe wydawnictwa obrazki, na podstawie których podjęli próby budowy własnych siewników, zaczynając *de facto* od zera. Metodą prób i błędów zbudowano ostatecznie działające prototypy, które funkcjonowały jednak na zupełnie innej zasadzie niż chińskie oryginały. Pierwszy patent na siewnik rzędowy został wydany w 1566 roku przez senat Wenecji, zaś niewiele późniejszy opis działającego egzemplarza znaleziono w Bolonii. Jednakże urządzenia „made in Europe" były o wiele gorszej jakości niż te „made in China", a do tego drogie i przeważająca większość rolników nie mogła sobie na nie pozwolić. Dopiero w XIX wieku wraz z początkiem masowej produkcji siewniki rzędowe przyjęły się powszechnie na Starym Kontynencie, stając się jednym z podstawowych narzędzi uprawy roli, choć przybycie w niektóre rejony zajęło im trochę czasu – dość rzec, że stary Boryna z „Chłopów" Reymonta praktykował wciąż wysiewanie ręczno-rzutowe, i to właśnie przy tej czynności zastała go śmierć.

Papierowa zbroja? Czemu nie!

Papier jest jednym z tych wynalazków, których na co dzień nie doceniamy, choć gdybyśmy poświęcili chwilę na refleksję, doszlibyśmy do wniosku, iż na materiale tym opiera się cała nasza cywilizacja! Czasopismo, które Państwo czytają, wydrukowano na papierze, przez ostatnie 800 lat używano go na Zachodzie jako głównego nośnika informacji, a każdy, komu nagle zabrakło papieru toaletowego, wie, jak krępująca to sytuacja.

Jak wiele innych ułatwiających życie udogodnień papier został wynaleziony w Chinach najprawdopodobniej w II wieku p.n.e. W 1957 roku chińscy archeolodzy znaleźli w grobowcu niedaleko Xi'anu – stolicy prowincji Shaanxi – najstarszy znany badaczom skrawek papieru datowany na rok 140 p.n.e. Z kolei pierwsze zapisane kartki odkryto w ruinach chińskiej strażnicy w Tsakhortei w Mongolii Wewnętrznej. Warownię, zbudowaną za czasów dynastii Han, cesarskie wojsko porzuciło w roku 110 n.e., więc zawierająca kilkanaście znaków notatka musiała być sporządzano krótko przed ewakuacją stanicy.

Co może zaskakiwać, początkowo mieszkańcy kraju nad Jangcy bynajmniej nie używali papieru do pisania! Spowodowane było to cechami ówczesnego produktu. Podstawowym surowcem służącym do jego preparowania były konopie lub kora morwowa. Niedoskonała jeszcze technika sprawiała, że wytwo-

eprasa.pl 8b1fcfea26

rzony materiał był bardzo gruby i chropawy, niezbyt dobrze przyjmował tusz. Jeszcze przez pewien czas Chińczycy pisali na zwojach wykonanych z jedwabiu lub połączonych ze sobą bambusowych deszczułkach. Dla nowego wynalazku znaleźli inne zastosowania, robiąc z niego… ubrania. Pomysł ten współczesnemu człowiekowi może wydawać się dziwaczny, ale pamiętajmy, że dawny chiński papier różnił się od tego, którego używamy dziś – był gruby i wytrzymały. W efekcie dało się z niego szyć szaty, które doskonale chroniły przed zimnem. Papierowe ubrania były do tego stopnia szczelne, że noszący je ludzie narzekali, iż się w nich przegrzewają! Uzyskiwany z konopi materiał sprawdzał się nawet w produkcji obuwia, w 1980 roku archeolodzy odnaleźli w Turfanie papierowy but, który od chwili opuszczenia szewskiego warsztatu przetrwał (bagatela!) 14 wieków! Jeszcze bardziej zaskakujące było wykorzystanie papieru w przemyśle zbrojeniowym, a zwłaszcza płatnerstwie. Przez długie stulecia na wyposażeniu chińskich arsenałów znajdowały się papierowe zbroje! O dziwo, były one niezwykle wytrzymale i wedle źródeł chińskich, jeśli taki pancerz był tylko dobrze wykonany i wzmocniony bawełną, to mógł skutecznie chronić noszącego go wojaka przed strzałami z łuku, a nawet pociskami broni palnej! Z XII wieku zachowała się informacja o pewnym chińskim generalne, który złożył do naczelnego dowództwa petycję z prośbą o wymienienie części posiadanych przez niego żelaznych zbroi na papierowe, które miały o wiele lepiej się sprawdzać. Z kolei w księdze z 1629 roku czytamy, że armie operujące na południu Chin preferowały pancerze wykonane z papieru, gdyż były one lżejsze od metalowych i nie rdzewiały, co stanowiło duże atuty w rejonie pełnym gór i bagien charakteryzującym się wilgotnym klimatem.

▶ Jak to z Gutenbergiem było…

W II wieku n.e. Chińczycy używali już papieru jako materiału piśmienniczego. Od czasów dynastii Han datuje się istnienie dworskiego urzędu odpowiedzialnego za dostarczanie cesarskiej kancelarii papierowych arkuszy. Wkrótce chińskie ideogramy kreślono już tylko na coraz doskonalszym jakościowo surowcu. Chiński wynalazek zaczął też powolną podróż na Zachód, w VII wieku zapoznali się z nim Hindusi, a w 751 roku Arabowie wzięli w stoczonej przeciwko Chińczykom zwycięskiej dla islamu bitwie nad rzeką Tałas do niewoli kilku żołnierzy, którzy w cywilu trudnili się produkcją papieru. Od tych jeńców wyznawcy Allacha nauczyli się tej sztuki, czyniąc z niej pilnie strzeżoną tajemnicę. Kilkadziesiąt lat później Europejczycy po raz pierwszy zetknęli się z chińskim wynalazkiem zaprezentowanym im przez muzułmanów, ale ci ostatni nie byli skorzy do zdradzenia metody wytwarzania papieru. Dopiero w XIII wieku powstały we Włoszech pierwsze europejskie papiernie, w których jako surowca używano jednak nie materiału drzewnego jak dzisiaj, lecz szmat.

Chińczycy dali więc światu tani i łatwy w produkcji materiał piśmienniczy. Jeśli powiedziało się jednak A, trzeba powiedzieć i B. Wyznawcy nauk Konfucjusza i Buddy wkrótce wpadli na kolejny genialny pomysł, który zapożyczony przez Europę miał umożliwić powstanie współczesnej cywilizacji. Mowa tu o druku.

Każde dziecko wie ze szkoły, że maszynę drukarską wynalazł w połowie XV wieku Jan Gutenberg i wykorzystał ją do druku Biblii. Jak wiele informacji figurujących w podręcznikach ta również jest nieprawdziwa. Zacny obywatel Moguncji jako pierwszy Europejczyk użył ruchomej czcionki, jednak w chwili, gdy szykował swoją edycję Pisma Świętego, druk wykorzystujący rzeźbione drewniane matryce znany był już w Europie od 100 lat. I podobnie jak inne wymienione przez nas w artykule pożyteczne urządzenia nie był bynajmniej zachodnim wynalazkiem, bo w Chinach przemysł drukarski istniał od VIII stulecia!

Pisanie po chińsku jest o wiele bardziej skomplikowane niż w językach indoeuropejskich. Chińczycy nie korzystają z alfabetu, lecz ideogramów, których są dziesiątki tysięcy, wiele ze znaków jest rzadko spotykanych i znanych tylko ludziom posiadającym naprawdę głęboką wiedzę z dziedziny literatury. Prawdopodobnie nie ma na świecie człowieka, który pamiętałby je wszystkie – do codziennego funkcjonowania przeciętny mieszkaniec Kraju nad Jangcy musi opanować 5 tysięcy. Jak łatwo sobie wyobrazić, przepisywanie tekstów było w tej sytuacji istną mordęgą, zwłaszcza że pismo chińskie kieruje się zasadami określającymi dokładny sposób pisania każdego ideogramu w rodzaju kolejności poszczególnych pociągnięć pędzla. Nic więc dziwnego, że duchowi potomkowie Konfucjusza dość szybko zaczęli się zastanawiać, jakby tu sobie ułatwić pracę. Zapotrzebowanie na książki było w dawnych Chinach olbrzymie, mimo skomplikowania pisma odsetek osób piśmiennych był wyższy niż w Europie. Szczególnie wielką popularnością cieszyły się księgi konfucjańskie, a także pisma buddyjskie.

▶ Las Kamiennych Tablic

W II wieku n.e. ktoś wpadł w Państwie Środka na genialny sposób kopiowania tekstów. Pierwszy

eprasa.pl 8b1fcfea26

jego etap był co prawda mozolny, ale później można było powielać edykty cesarskie i święte pisma w dowolnych ilościach. Już od kilku wieków władze zwykły ryć nowe ustawy na kamiennych tablicach. Anonimowy wynalazca z okresu dynastii Han doszedł do wniosku, że owe kamienne tablice można pokrywać tuszem, a potem przykładać do nich papier i tak tworzyć odbitki oryginalnych treści! Pomysł był doprawdy błyskotliwy i rewolucyjny. Pod koniec tego samego stulecia na cesarski rozkaz na 46 stelach wyryto kanon klasycznych dzieł konfucjańskich, o skali przedsięwzięcia świadczy najlepiej liczba wykorzystanych znaków – było ich 200 tysięcy! Ci przodkowie pras drukarskich nie dotrwali do naszych czasów, ale we wspomnianym już Xi'anie znajduje się swoiste muzeum na świeżym powietrzu, tzw. Las Kamiennych Tablic, gdzie turyści mogą podziwiać służące do wykonywania odbitek stele powstałe w IX stuleciu za panowania dynastii Tang.

Tak jak pierwszymi drukowanymi książkami w Europie były święte pisma chrześcijaństwa, tak w Chinach powstanie druku związane było z ekspansją buddyzmu. Przybyła z Indii wiara zdobywała nowych wyznawców, co generowało wielkie zapotrzebowanie na teksty religijne. Metoda odbitek z kamiennych tablic szybko stała się niewystarczająca. Mnisi zaczęli szukać więc nowych metod powielania zwojów z modlitwami, zaklęciami i naukami Buddy. I jakiś sprytny bonza w końcu wpadł na pomysł, po którym nic już nie było takie samo – stworzył pierwszą maszynę drukarską wykorzystującą drewnianą matrycę, w której ryto tekst oraz towarzyszące mu ilustracje. Najwcześniejszy zachowany drukowany tekst odnaleziono w jednym z koreańskich klasztorów, jest to zwój zawierający buddyjskie sutry, wydrukowany w Państwie Środka w połowie VIII wieku i prawdopodobnie przywieziony na Półwysep Koreański przez chińskich misjonarzy lub rodzimych zakonników wracających ze studiów w którymś z wielkich ośrodków religijnych Kraju nad Jangcy.

Najwcześniejszą zachowaną do dziś w pełni drukowaną książką jest odnaleziona przez brytyjskich badaczy w 1907 roku „Sutra diamentowa". Zeszła ona z prasy drukarskiej w 868 roku. W chwili gdy trafiła na rynek księgarski, na tym ostatnim trwał wielki boom. Nakłady, jakie w IX stuleciu, a także później, osiągały chińskie książki, szokują i są dziś rzadko osiągane nawet przez największe bestsellery. Biografia alchemika Lu Honga wydana została w 847 roku w liczbie kilkuset tysięcy egzemplarzy. Poczytny zbiór pism buddyjskich z X wieku został wydrukowany w tak ogromnym nakładzie, że po prawie 1100 latach nadal dysponujemy 400 tys. sztuk owej księgi. A pomyśleć tylko, ile katastrof naturalnych i niszczycielskich wojen przetoczyło się od tego czasu przez Chiny i niszczących papier szkodników!

Również obszerność poszczególnych pozycji wydawniczych, które trafiały na półki księgarń, budzi podziw, a niekiedy wręcz przerażenie. W X stuleciu polityk i uczony Feng Dao postanowił wydać 13-tomową edycję kanonu konfucjańskiego (11 tomów oryginalnych tekstów źródłowych plus dwa tomy komentarza). Na pracy nad owym projektem zeszły mu i jego współpracownikom 22 lata, aż w końcu w 953 roku do rąk mandarynów i znawców nauk Konfucjusza trafiło 130 tomów! Poszczególni cesarze często zlecali zespołom badaczy przygotowywanie oficjalnych cesarskich encyklopedii (jedna z nich, pochodząca z czasów dynastii Qing, tzw. „Zwierciadło języka mandżu", zawiera, co ciekawe, informacje o odnajdywanych na Syberii zamrożonych mamutach). Efektem były wydawnictwa liczące często po kilka tysięcy tomów. Warto też odnotować, że mniej więcej wtedy, gdy Feng Dao pracował nad dziełem swego życia, zwoje zostały wyparte z rynku przez książki w formie kodeksów, podobne do tych, jakich używamy dzisiaj.

▶ 30 lat minęło...

Specyfika języka chińskiego sprawiła, że w przeciwieństwie do Europy ruchomej czcionki używano nad Jangcy bardzo rzadko. Została ona wynaleziona pomiędzy 1041 a 1048 rokiem przez niejakiego Bi Shenga i uczeni mandaryni wyrażali się o niej z podziwem, jednak gigantyczna liczba używanych w piśmie chińskim znaków sprawiała, że była mało praktyczna. Aby wydrukować książkę tą metodą, drukarz musiał przygotować kilkaset tysięcy czcionek, a do tego być człowiekiem doskonale obeznanym z tradycją literacką, by nie przegapić jakiegoś rzadko spotykanego ideogramu. O problemach, na jakie natrafiali wydawcy chcący korzystać z tego typu maszyn drukarskich, najlepiej świadczą przypadki poety amatora i wydawcy self-publishing – Zhaia Jinshenga urodzonego w 1784 roku. Chińczyk ten był z zawodu nauczycielem, a w wolnym czasie pisał wiersze, prawdopodobnie niezbyt dobre, bo nie znalazł wydawnictwa gotowego w nie zainwestować. Pragnący zobaczyć swe nazwisko na grzbiecie książki mężczyzna nie poddał się jednak i postanowił wydrukować zbiór poematów własnym sumptem. Do roboty wziął się z rozmachem, nie wiedząc czemu, zdecydował się użyć ruchomej czcionki zamiast najpowszechniejszych na rynku drukarskim rzeźbionych w drewnie matryc. Zaczął więc chałupniczą produk-

eprasa.pl 8b1fcfea26

cję tejże, do czego zapędził całą swoją rodzinę. Od chwili, gdy familia nauczyciela zaczęła pracę, do momentu, gdy liczba przygotowanych czcionek była wystarczająca, by wydrukować poezje ambitnego Jinshenga, minęło… 30 lat. Potrzeba było 100 tys. zestawów. Co krewni pana Zhai myśleli o nim po trzech dekadach spędzonych na lepieniu i wypalaniu czcionki, lepiej się nie domyślać, bo to pewnie było niecenzuralne, ale w 1844 roku scholar osiągnął swój cel i wydrukował kilkaset egzemplarzy zbiorku swoich poezji.

Do Europy koncepcja druku zawitała zapewne za sprawą Mongołów. Podbiwszy olbrzymie obszary Eurazji, władali oni imperium rozciągającym się od wybrzeży Chin po współczesną Ukrainę. Mimo barbarzyńskich korzeni byli też wielkimi fanami druku, zwłaszcza z wykorzystaniem ruchomej czcionki. Ich pismo, mające charakter alfabetyczny, a nie obrazkowy, idealnie nadawało się do wykorzystania tego wynalazku. Już w XVI wieku pewien hiszpański uczony i podróżnik, autor traktatu na temat Chin, pisał, że najprawdopodobniej działającą maszynę drukarską przywiózł na Zachód jakiś Mongoł. Prototyp mógł pojawić się na Rusi i stamtąd, czy to materialnie, czy w formie idei, ostatecznie zawędrować do Niemiec, gdzie w połowie XV wieku skopiował go Gutenberg.

Papiery bardziej i mniej wartościowe

Druk umożliwił Chińczykom wymyślenie kolejnego zastosowania dla papieru. W X wieku w Syczuanie prywatne instytucje finansowe wypuściły pierwsze papierowe pieniądze. W następnym stuleciu inicjatywa została pochwycona przez rząd cesarski, który wprowadził monopol na druk środków płatniczych. W stuleciu XII na rynku dostępna była już waluta tworzona z użyciem sześciu kolorów tuszu, skomplikowanych pieczęci poświadczających jej autentyczność, a nawet dodatkowo drukowana na papierze o specjalnym tajnym składzie, co miało ułatwić wykrywanie potencjalnych fałszerstw. Za czasów dynastii Song banknoty były już w powszechnym obiegu i do tego w wielkiej liczbie. Do 1126 roku wyemitowano ich 70 mln wiązek, każda o wartości 1000 miedzianych monet. Oczywiście zaowocowało to inflacją, jednak po upadku Songów nowi mongolscy władcy Chin podtrzymali system, wymieniając dotychczasowe papierowe pieniądze na własną walutę, której wartość gwarantowana była, o dziwo, nie przez zasoby cennych kruszców, lecz przędzy jedwabnej. Następująca po Mongołach dynastia Ming wolała wrócić jednak do metalowych monet, zostawiając na rynku tylko jeden pojedynczy papierowy nominał. Dopiero w XVII wieku, gdy Państwo Środka pogrążyło się w totalnym kryzysie, ostatni przedstawiciele Mingów w desperacji zaczęli drukować banknoty. Niewiele to pomogło, a wręcz pogorszyło sytuację, doprowadzając do upadku dynastii. Kolejna, wywodząca się z Mandżurii, dynastia Qing postanowiła nie eksperymentować i papierowa waluta znikła z Chin. Powrócić miała dopiero za sprawą Europejczyków i Amerykanów w połowie XIX stulecia.

Zapoznaliśmy się zatem z papierem jako nośnikiem wartości, czy to intelektualnej w formie książki, czy też czysto gospodarczej, gdy przybiera postać banknotu. Na koniec warto wspomnieć o jego mniej szlachetnych zastosowaniach, które również są wynalazkiem Chińczyków. I tak jednorazowe chusteczki higieniczne narodziły się w 93 roku p.n.e., gdy cesarski strażnik zaproponował zakatarzonemu Synowi Niebios, by wytarł cieknący nos kawałkiem papieru. Także idea papieru toaletowego powstała nad Jangcy, zapewne w głowie jakiegoś myśliciela dumającego właśnie w wychodku. Podczas gdy w Europie i Ameryce udogodnienie to pojawiło się dopiero w XIX stuleciu, a i wówczas przyjmowało się powoli (amerykańscy farmerzy na ten przykład woleli używać w wiadomych celach liści kukurydzy, a mieszkańcy europejskich miast starych gazet), w Państwie Środka znane jest od najdawniejszych czasów. A że Chińczycy stworzyli największy aparat administracyjny w dziejach, produkował on również dokumentację dotyczącą wychodków – stąd dowiadujemy się, że w 1393 roku na potrzeby cesarskiego dworu wyprodukowano 720 tys. arkuszu papieru toaletowego przeznaczonych dla dworzan i 15 tys. specjalnych, miękkich i perfumowanych arkusików do wyłącznego użytku Syna Niebios i jego najbliższych.

Powyższe przykłady są tylko skromnym wycinkiem olbrzymiego długu, jaki cywilizacja XXI wieku ma wobec Państwa Środka. Warto jednak przy tym pamiętać, że o ile lud Konfucjusza wymyślił ponad połowę wynalazków znanych ludzkości, pełny ich potencjał często ujawniał się dopiero wtedy, gdy trafiły do Europy. Być może my, ludzie Zachodu, w większej mierze niż sami chcemy przyznać, byliśmy przez wieki naśladowcami bardziej rozwiniętej dalekowschodniej cywilizacji, jednakże dla owych zapożyczeń znaleźliśmy zastosowania i wymyśliliśmy ulepszenia, które sprawiły, że w XIX wieku nasza część świata prześcignęła dawnego hegemona, zostawiając go w tyle o wiele długości. I mimo obecnych starań Chińskiej Republiki Ludowej zachodnia dominacja trwa nadal. Jako że w Pekinie rządzi komunistyczny zbrodniczy reżym, stan ten podsumować można słowami – na szczęście. ■

eprasa.pl 8b1fcfea26

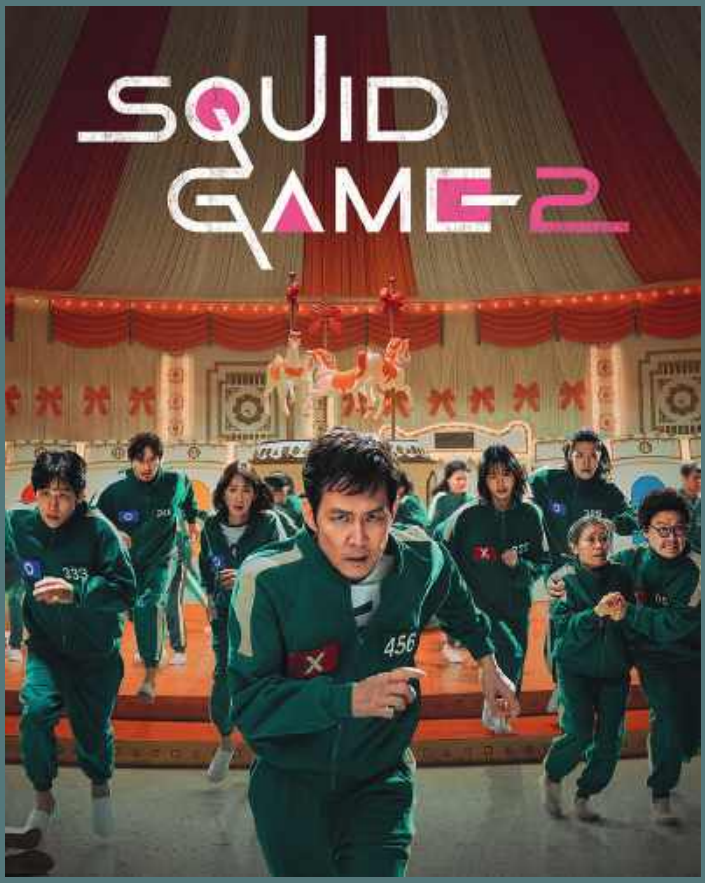

Krzysztof Karnkowski

Gi-hun wraca do gry

Pod koniec grudnia ubiegłego roku miliony fanów na całym świecie doczekały się długo wypatrywanej przez nich kontynuacji „Squid Game". Ten koreański serial, którego pierwszy sezon miał premierę we wrześniu 2021 roku, był wielkim sukcesem Netflixa, a zarazem pierwszą serialową produkcją z Korei Południowej, która odniosła tak wielki sukces wśród międzynarodowej publiczności.

eprasa.pl 8b1fcfea26

Na tak dobry odbiór „Squid game" wpłynęła zapewne koreańska specyfika – umiejętność łączenia atrakcyjnej, spektakularnej, a zarazem bardzo brutalnej fabuły z kinem społecznym. Tak jak trochę wcześniej uczynił to Joon Ho-Bong w Oskarowym „Parasite".

Społeczne lustro

„Parasite" przywołuję na początku tego tekstu nie bez powodu. Film Joona, choć bardzo silnie osadzony w koreańskich realiach społecznych, podbił światową, w tym zachodnią widownię. Stało się tak dlatego, że choć reżyser nie uciekał od modnej na festiwalach, lecz niestrawnej dla szerszej publiczności pornografii nędzy, opakował ją w szalenie atrakcyjną i znaną publiczności z wielu produkcji formę – najpierw komedii o ludziach, którzy udają kogoś, kim nie są, a w dalszej części filmu – krwawego thrillera, mieszając przy tym konwencje tak, jak to chyba tylko Koreańczycy potrafią. A w opowieści o nierównościach społecznych nowoczesnego, lecz wciąż w dużym stopniu kastowego społeczeństwa zobaczyli się widzowie na całym świecie.

„Squid Game" to historia z podobnym punktem wyjścia. Bohaterowie to zwyczajni ludzie, których rozmaite problemy – czasem niezawinione, czasem w jakimś stopniu sprowadzone na nich przez nich samych – stawiają ich w sytuacji bez wyjścia. Lądują na dnie w każdym znaczeniu: ekonomicznej nędzy, życiowej desperacji, zniszczonych relacji rodzinnych. I wtedy dostają coś, co okazuje się wyrokiem śmierci, lecz wygląda na prezent od losu: zaproszenie do gry. Nie wiedzą jeszcze, że na jej arenie, uczestnicząc w pozornie niewinnych, znanych im przecież z dzieciństwa zabawach, będą ginąć lub decydować o życiu innych. Lecz nawet gdy już się o tym dowiadują i mogą przerwać grę, demokratyczna większość decyduje o jej kontynuacji aż do końca. W grze czeka na nich śmierć lub szansa na wielką nagrodę finansową, na zewnątrz bieda i beznadzieja. „Losy gorsze od śmierci", cytując tytuł zbioru esejów Vonneguta. Finalnie przeżywa tylko jeden z prawdziwych uczestników gry, a pierwszy sezon opowieści kończy się sugestią, że zwycięzca, chcąc zemścić się na twórcach bezdusznej rozgrywki, będącej zarazem tajną rozrywką dla grupy zdegenerowanych bogaczy, ponownie wkracza do gry.

Koreańsko-japońska specyfika

To czytelne nawiązanie do jednego z tytułów, którymi inspirował się twórca serii, Hwang Dong-hyuk, japońskiego serialu „Liar game", mającego zresztą również swój koreański, niestety zamknięty na jednym sezonie, remake. Hwang z kultury japońskiej wziął bardzo dużo, o ile bowiem do Koreańczyków należy patent na uatrakcyjnienie dramatu społecznego przez wpisanie go w formę komercyjnego kina gatunkowego, o tyle opowieści o krwawych, brutalnych grach, z których po kolei eliminowani są uczestnicy, to już specjalność Japończyków. Tu przywołać trzeba cieszący się kultem film „Battle Royale" Kunjego Fukasaku, oparty na książce Koushuna Takamiego pod tym samym tytułem. To opowieść o autorytarnym kraju, w którym raz w roku wybrana zostaje jedna klasa licealna, której uczniowie muszą zabijać się między sobą, dopóki nie zostanie przy życiu tylko jeden (lub jedna) z nich. Zachód obficie zaczerpnął z tej formuły przy cyklu „Igrzyska śmierci", Hwang Dong-hyuk również przyznaje się do tej inspiracji. Jak jednak wspomniałem, dodaje do niej całą warstwę społeczną, w filmie Fukasaku jedynie pretekstową. I tu przydaje mu się własne doświadczenie, ma bowiem na koncie kilka filmów, w których nie bał się trudnych tematów, w tym wstrząsającego „Silenced" (nie mylić z horrorem o tym samym tytule, opowiadającym o posiadających supermoce uczennicach w okupowanej Korei), w którym poruszył sprawę prawdziwego, zatuszowanego skandalu – wykorzystywania niepełnosprawnych dzieci przez uważanych za dobroczyńców pedofili, czym zresztą przyczynił się do ponownego śledztwa i skazania sprawców. Zresztą w drugim sezonie „Squid game" rekrutera do gry gra odtwórca głównej roli w tamtym obrazie, Gong Yoo. Tu warto nadmienić, że aktor, będący najważniejszym bohaterem obu sezonów „Squid Game", Lee Jung-jae, jedną z pierwszych ról grał wiele, wiele lat temu w „Sand glass", serialu, który zrewolucjonizował koreańskie podejście do tego formatu produkcji telewizyjnej, łącząc w sobie elementy kina gangsterskiego, romansu i historycznych rozliczeń z bardzo wówczas świeżą autorytarną przeszłością Korei Południowej.

Co w drugim sezonie?

Drugi sezon „Squid Game" zaczyna się od dwóch zwrotów akcji: po pierwsze, Seong Gi-hun, czyli zwycięzca gry, zmienia zdanie i nie bierze udziału w kolejnej rozgrywce; po drugie, szukający wśród uczestników gry brata policjant Jun-ho, który po zdemaskowaniu poszukiwanego jako jednego z organizatorów został przez niego postrzelony, żyje i wciąż szuka odizolowanej wyspy – areny krwawej walki. Pierwsze odcinki sugerują, że tym razem opowieść pójdzie w inną stronę, ponieważ obaj bohaterowie, wspierani przez grupę najemników, szykują się do rozwiązania siłowego. Jednak okazują się na nie za słabi, rozdziela-

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 8b1fcfea26

ją się więc i gdy Jun-ho ze swymi ludźmi wciąż szuka miejsca, w którym walczą kolejni uczestnicy, Gi-hun zmienia zdanie i zgłasza się do gry, planując udostępnienie swej lokalizacji przyjaciołom i dezorganizację rozgrywek. Pierwsze się oczywiście nie udaje, drugie też nie do końca. Niestety jest to też punkt zwrotny dla serialu, który wraca w utarte koleiny. Drugi sezon staje się od pewnego momentu bardziej wariacją na temat sezonu pierwszego niż jego rozwinięciem, tak jak oglądalibyśmy remake (bardzo dobrze zresztą zrobiony), a nie sequel. Do tego, może poza raperem Thanosem, granym przez T.O.P – dawną gwiazdkę koreańskiego popu, brak tu bardziej wyrazistych postaci, jakimi pierwsza seria była naszpikowana. Przy czym, dodajmy dla sprawiedliwości, fani są na ogół zadowoleni, klimat i estetyka serii odtworzone są bowiem bardzo wiernie. Być może więcej zaskoczeń Hwang zostawia dla nas na zapowiadany na ten rok finalny, trzeci sezon serii.

W „Squid Game" bohaterowie to zwyczajni ludzie, których rozmaite problemy – czasem niezawinione, czasem w jakimś stopniu sprowadzone na nich przez nich samych – stawiają ich w sytuacji bez wyjścia.

Horror story

Na koniec warto odnotować, że w ostatnich miesiącach doczekaliśmy się też kontynuacji dwóch innych koreańskich seriali, kręconych dla Netflixa – jeszcze w lipcu ukazał się trzeci, finalny sezon „Sweet Home", a w październiku drugi sezon „Hellbound". Obie te produkcje to horrory, jednak, zwłaszcza w początkowym stadium, różniące się od siebie. Pierwsza seria „Sweet home" była szalenie atrakcyjną wizualnie, a zarazem bardzo pogłębioną psychologicznie opowieścią o uwięzionych w odciętym od świata bloku ludziach, którzy zmieniali się w potwory, będące odbiciem ich podświadomych obsesji. Niestety kontynuacja okazała się już dość zwyczajnym obrazem postapokaliptycznego, zaludnionego potworami świata, w którym analiza psychiki postaci ustąpiła miejsca epatowaniu widza efektami specjalnymi, coraz częściej przywodzącymi na myśl raczej grę komputerową niż serial. Finalny sezon niestety wiele tu nie zmienił i nie przyniósł ponownej zwyżki formy. Z kolei „Hellbound" był przygnębiającym obrazem świata, w którym tajemnicze byty wykonywały egzekucje na ludziach. Dopóki można było uważać to za karę za grzechy, można było sobie wszystko uporządkować, jednak po ataku tych wysłanników siły wyższej na dziecko świat dla wielu ludzi rozsypał się ostatecznie. Drugi sezon tego serialu początkowo przytłaczał widza szalenie ponurym losem bohaterów, przeżywających własne piekło na ziemi, jednak w pewnym momencie skręcił w stronę przebranego za horror dramatu społeczno-politycznego o mechanizmach fałszywej wspólnoty i manipulowaniu nastrojami. Co ciekawe, końcowa, niewyjaśniona jeszcze do końca, przemiana jednego z bohaterów bardzo mocno kojarzyć się mogła ze… „Sweet home" właśnie.

Problematyczny obcy kapitał

Warto dodać, że kręcenie seriali, zaplanowanych na wiele sezonów, jest w koreańskiej produkcji telewizyjnej czymś relatywnie nowym. Przed wejściem do gry Netflixa normą były raczej zamknięte, zaplanowane na 16 (seriale) lub 100 (telenowele) odcinków, a kontynuacje zdarzały się bardzo rzadko. Warto też dodać, że koreańska publiczność zaczyna się buntować. O ile bowiem koreańskie kino w wydaniu filmowym zaczyna wreszcie wychodzić z kryzysu, w jaki wprowadził je covid, produkcja serialowa została dziś przejęta przez zagranicznych gigantów, a najlepsi twórcy nie chcą pracować dla rodzimych stacji telewizyjnych, co skutkuje pogorszeniem ich oferty.

Na koniec chciałbym podzielić się jeszcze jednym, zaskakującym dla mnie spostrzeżeniem. O ile Netflix zaczął specjalizować się w produkcjach udziwnionych i coraz częściej próbujących przemodelować konserwatywne nawyki również koreańskiego widza, o tyle kojarzący się z jeszcze większą afirmacją postępowej agendy Disney w swoich serialowych produkcjach w Korei jest dużo bardziej zachowawczy i przedstawia ofertę wpisującą się w tradycje tamtejszego serialu, zwłaszcza w wydaniu gangsterskim i sensacyjnym. Ale to już temat na inną opowieść. ■

eprasa.pl 8b1fcfea26

Marek Kalinowski

Od Stinga do renesansu

Być może mieszanka renesansowej polifonii i XX-wiecznej awangardy nie dla wszystkich będzie najlepszą zachętą na pierwsze spotkanie z muzyką zespołu Thélème. Proponuję więc zacząć od ostatniego utworu, a właściwie znanego przeboju „Shape of My Heart" w gościnnym wykonaniu Stinga, ale tym razem przy delikatnych dźwiękach lutni. Wówczas nie tylko zakochają się Państwo w albumie „All We Get Is Life", lecz sięgniecie także po inne opracowania muzyki dawnej w wykonaniu Thélème.

Wymieszanie na jednym albumie utworów renesansowego barda Johna Dowlanda z młodszymi o kilka stuleci kompozycjami Johna Cage'a wydawałoby się przedsięwzięciem jeśli nie niemożliwym, to wyjątkowo karkołomnym. No chyba że zabierają się za to tak wybitni specjaliści od muzyki dawnej jak zespół Thélème – artyści, którzy uwielbiają konfrontować historyczne utwory ze współczesnym kontekstem. Na najnowszej płycie „All We Get Is Life" porzucają ulubione francuskie dzieła (za poprzedni album z pieśniami Josquina des Présa otrzymali prestiżową nagrodę magazynu „Gramophone"), tym razem kierując swoją uwagę na kierunek muzyki anglosaskiej.

Jean-Christophe Groffe (śpiew), Ivo Haun (śpiew), Ziv Braha (lutnia) oraz Nikki Buzzi (elektronika) wychodzą jednak od tego, co leży w centrum ich zainteresowań, czyli od renesansowej polifonii. I choć album rozpoczynają pieśniami Johna Dowlanda, to trzeba być bardzo czujnym. Gdyby bowiem nie tekst, to łatwo przegapić moment, w którym pojawią się utwory Johna Cage'a. Ten amerykański przedstawiciel awangardy mógłby się też bardzo zdziwić, jak fragmenty z jego zbioru „The Song Books" doskonale brzmią przy dźwiękach lutni. Połączenie okazuje się zaskakująco trafne i nawet wprowadzana z fantastycznym wyczuciem elektronika jest tu zupełnie na miejscu.

Trudno z notatek Cage'a wyciągnąć jednoznaczne wnioski, jak winny zabrzmieć te kompozycje, bo z jednej strony mamy trudną do realizacji dyscyplinę, którą nakazywał wykonawcom, a z drugiej kompletną losowość, wpisaną już w samą budowę, miejsce i znaczenie utworów. Taka wrażliwość również jednak zgodna jest z założeniami muzyków Thélème, szalenie precyzyjnych i uważnych, aby każdy dźwiękowy niuans odpowiadał treści dzieła, ale też otwartych na nowe interpretacje, wręcz wciągających do udziału publiczność. Mogli się o tym przekonać uczestnicy ostatniej, lipcowej edycji festiwalu muzyki dawnej – Kromer Festiwal Biecz, gdzie zespół gościł z repertuarem Downlanda i Cage'a, dokładnie tym, który otrzymujemy na płycie.

Thélème, Jean-Christophe Groffe, Sting, ALL WE GET IS LIFE, Aparte

Jeśli XX-wieczny awangardzista Cage wydawał się już trudny do pogodzenia z renesansowym Dowlandem, to jak tu jeszcze dodać do tej historii współczesną gwiazdę rocka? I znowu okazuje się, że nie tylko jest to możliwe, lecz wręcz znany przebój „Shape Of My Heart", zamykający album Théleme, doskonale do tej układanki pasuje. Głos Stinga okrojony z całej popowej otoczki oryginału, nagle otula melancholią, urzeka cudowną prostotą i wprost nie można się od niego uwolnić. Przy delikatnych dźwiękach lutni, wzmocniony drugim głosem Groffe'a i przybrudzony elektroniką Buzziego, ustawia ten utwór gdzieś kompletnie poza czasem. Absolutny majstersztyk!

Obecność Stinga poza niewątpliwie ciekawym zabiegiem artystycznym przynosi zespołowi Thélème coś jeszcze – przyprowadza nowych słuchaczy, którzy prawdopodobnie bez tego łącznika nigdy by do dzieł Cage'a, czy tym bardziej Dowlanda, raczej nie dotarli. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 8b1fcfea26

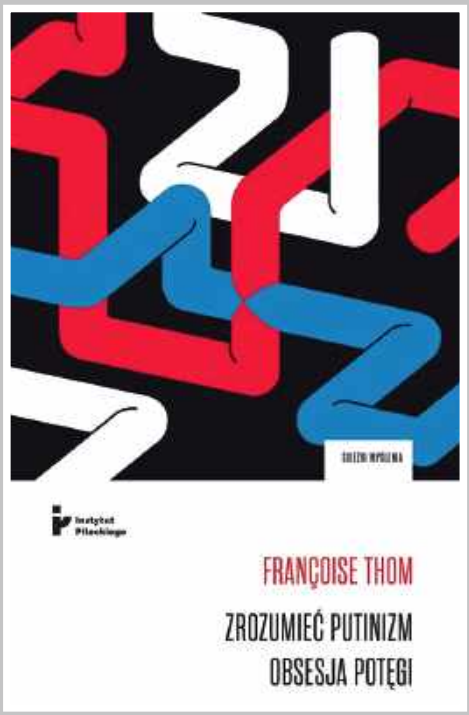

Françoise Thom, „Zrozumieć putinizm. Obsesja potęgi", tłum. Zofia Litwinowicz-Krutnik, Instytut Pileckiego, Warszawa 2023

Krzysztof Wołodźko

Rosja, czyli imperium kontratakuje

Francuska historyk i sowietolog Françoise Thom, wykładowczyni paryskiej Sorbony, od dekad zajmuje się specyfiką radzieckiego/rosyjskiego systemu politycznego. Bada go skrupulatnie, nie ulegając złudzeniom ani czasów Gorbaczowa, ani Jelcyna, ani Putina. Jej książka „Zrozumieć putinizm. Obsesja potęgi" to gorzka, lecz chłodna analiza rosyjskich, europejskich i transatlantyckich realiów.

eprasa.pl 8b1fcfea26

Czytelnikom zainteresowanym tematyką rosyjską nie trzeba przedstawiać Françoise Thom, uczennicy Alaina Besançona. W 1990 roku ukazała się w Polsce jej książka „Czas Gorbaczowa", mocno krytyczna wobec naiwnych i szeroko rozpowszechnionych, entuzjastycznych opinii na temat sowieckiego lidera i jego pieriestrojki. Thom wychodziła od prostego spostrzeżenia: „[…] siedemdziesiąt lat terroru, kłamstw, niewolnictwa, czystek, niszczenia elit stworzyło w ZSRS specyficzny typ człowieka, który niestety w żaden sposób nie odpowiada modelowi człowieka idealnego przedstawianego w [komunistycznej – K.W.] doktrynie". I wskazywała, że pod pozorem reform kryje się chęć nie tylko utrzymania metapolitycznego status quo, lecz także głębokie pragnienie przechytrzenia Zachodu i utrzymania niezależności od jego rosnących wpływów. Thom sięgnęła wówczas po mocne porównanie: „Wyobraźmy sobie na chwilę Niemców pozostających pod rządami nazistowskimi, którzy najpierw przeprowadziliby krytykę Holocaustu, aby potem usilnie zabiegać o »pierestrojkę [przebudowę – K.W.] w stosunkach międzynarodowych« na swoją korzyść". Ostatecznie władza nad Rosją wymknęła się partii komunistycznej z rąk, komunizm przestał być oficjalną ideologią Kremla, ale dziś nawet ludzie, którzy niedawno drukowali na łamach swojej prasy listy Putina do Polaków, wiedzą, albo udają, że rozumieją, iż dokonała się groźna synteza wielu tamtejszych tradycji geopolitycznych i metapolitycznych, które ani trochę nie umniejszyły imperialnych ambicji postsowieckich elit. Próby oszukania i zdominowania Europy, chęć upokorzenia USA, pragnienie globalnego triumfu – to nie tyle ziarna, które wrosły głęboko w rosyjską glebę, ile nawóz tej ziemi, która rodzi jednowładców, tyranów, ich dwory i poddane im społeczeństwo.

▶ Sowiecki pomysł na „wspólny europejski dom"

W 2001 roku w kierowanej wówczas przez Grzegorza Górnego „Frondzie" (nr 22/23) ukazał się wywiad z Françoise Thom, zatytułowany „Antagonizowanie Europy i Ameryki". Francuska badaczka mówiła w nim, że sowieccy komuniści w latach 80. XX wieku „myśleli o modernizacji systemu, chcieli sprawiać wrażenie demokratów, ale oczywiście nie chcieli w żaden sposób osłabić swojej kontroli nad Europą Wschodnią". I dodawała: „Plan polegał na tym, aby uzyskać kontrolę nad Europą Zachodnią, a nie na tym, by oddać Europę Wschodnią". Znaczna część zachodnich elit, w tym aspirujący do nich polscy intelektualiści epoki przełomu, wzięła sowiecki „wypadek przy pracy", porażkę z tamtych lat, za impuls do demokratyzacji Rosji, nową dziejową konieczność, zapowiedź końca historii i początek wiecznego pokoju w Europie. Zlekceważono rosyjskie ambicje, osadzone głębiej niż w sowieckiej rzeczywistości: „Nie chodziło tu o inwazję, ale o stworzenie politycznych struktur, które dałyby Rosjanom bardzo silne wpływy w Europie i – oczywiście – umożliwiłyby wyrzucenie z niej Amerykanów. Była to koncepcja »mechanizmu wspólnego bezpieczeństwa europejskiego«, idea »wspólnego europejskiego domu« z udziałem Rosji, ale bez Stanów Zjednoczonych".

Przypominam wcześniejsze wypowiedzi Thom, by pokazać, że w swoim myśleniu o Sowietach i Rosji jest konsekwentna. I od dekad zagląda pod podszewkę rzeczywistości, czego nie da się powiedzieć o ludziach, którzy przez lata chełpili się nad Wisłą zaproszeniami na spotkania Klubu Wałdajskiego, a dziś próbują swoim przeciwnikom ideowo-politycznym dorabiać gębę wspólników Putina. To znamienne, że przez długi czas III RP o zdanie na temat Rosji pytali Thom inteligenci kojarzeni z centroprawicą, a nie liberalni i lewicowi publicyści, na różne sposoby uwikłani w rosyjskie strategie oszukiwania zachodniej opinii publicznej. Trzeba przy tym przyznać, że na lewicy to Wydawnictwo „Krytyki Politycznej" konsekwentnie przeciwstawiało się różnie motywowanej lewackiej i postkomunistycznej rusofilii. Jest na to sporo dowodów, łącznie z wydaną niedawno przez WKP książką „Wojna »Made in Russia«" Siergieja Miedwiediewa (przekład Hanny Pustuły-Lewickiej), która wraz z „Obsesją putinizmu" Thom stanowi wartościowy dwugłos na temat putinowskiej Rosji czasu wojny przeciw Ukrainie, Europie, USA.

W naukach historycznych istnieje stare napięcie dotyczące sposobów rozumienia i przedstawiania wydarzeń i procesów historycznych. W pewnym uproszczeniu dotyczy ono tego, czy dzieje opisywać z perspektywy herosów, dworów, władców – czy mas. Dla jednych historię piszą wodzowie, politycy, geniusze, dla drugich – anonimowe tłumy przelewające krew na polach bitew, użyźniające swoją harówką rolną ziemię i fabryczne hale. Obie szkoły mają swoje walory, choć najbardziej panoramiczny obraz, umożliwiający wgląd w szczegóły, daje łączenie wielu perspektyw. Tak jest w przypadku książki Thom. Putin jest zwornikiem systemu, o którego logice, skuteczności, problemach decyduje szereg współzależnych mechanizmów, czy może lepiej: tworzonych przez mniej lub bardziej ważnych ludzi układów wzajemnego odniesienia. Francuska badaczka wskazuje na napięcie między postsowiecką wierchuszką a rosyjskimi masami: elity Federacji „po systemie sowieckim odziedziczyły niemoralność oraz pogardę

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 8b1fcfea26

dla prawa i zwykłych śmiertelników. Przesiąknięte darwinizmem społecznym, lubią schlebiać silnym, miażdżyć słabych i likwidować rywali". Przypominając transformację ustrojową w Rosji, Thom pisze: „Rażący kontrast dzieli żyjącą w nędzy ludność i grupę uprzywilejowanych. Ta pierwsza została dwukrotnie oszukana w 1992 roku: inflacja pozbawiła ich życiowych oszczędności w ciągu zaledwie kilku tygodni, a mafijna prywatyzacja została przeprowadzona na korzyść potentatów starego ustroju".

▶ Oficjalna i tajna strategia Kremla

Badaczka wskazuje, że choć posowieckim elitom bardzo zależało na prywatyzacji, to nie były w stanie stworzyć realnego prawa własności, gwarancji własności osadzonych w trwałych ramach prawnych. Po stosunkowo krótkim okresie jelcynowskiego bezhołowia okazało się, że w Rosji Władimira Putina odżyła stara carska tradycja: państwo (gosudarstwo) to własność gosudara, czyli cara. Na marginesie – Thom przypomina, że również Jelcyn, którego zbyt często przedstawia się jako zapijaczonego Obłomowa, zdawał sobie sprawę, że Rosja zbyt wiele straciła w latach 90. i że to nie upadek komunizmu jako ideologii stanowi sedno kłopotów Moskwy. Poprzednik Putina na stanowisku prezydenta Rosji tak za swoich rządów mówił do oficerów wywiadu zagranicznego: „Za granicą istnieją siły, które chciałyby utrzymać Rosję w stanie kontrolowanego paraliżu. Walka o geopolityczne sfery wpływów zastępuje konflikty ideologiczne". Odbudowa rosyjskich sfer wpływów, nawet jeśli maskowana licznymi pozorami, była dla staro-nowych elit w Moskwie i Sankt Petersburgu znacznie ważniejsza niż budowa państwa prawa, demokratyzacja czy znaczące poprawienie losu niższych warstw społecznych.

Thom cytuje opracowany na przełomie tysiącleci dokument dotyczący reform systemu władzy w Rosji: „Nowy prezydent FR, jeżeli naprawdę pragnie utrzymać porządek i stabilność w kraju [...], nie potrzebuje samorządnego systemu politycznego, lecz struktury politycznej w ramach swojej administracji, która będzie w stanie nie tylko przewidzieć i stworzyć w Rosji »niezbędną« sytuację polityczną, ale również faktycznie kierować procesami politycznymi i społecznymi w FR, jak również w krajach bliskiej zagranicy". W dokumencie wskazano, że działania prezydenckiej administracji potrzebują zarówno oficjalnej, jak i tajnej strategii, by zapewnić centrom moskiewskiej władzy „realną kontrolę nad procesami politycznymi w FR i rozszerzyć jej wpływ na procesy polityczne w krajach najbliższej zagranicy". Thom dodaje: „[...] dokument ten szczegółowo wyjaśnia, jak unicestwić opozycję, stosując szantaż, korupcję, manipulacje, prowokacje". Z dzisiejszej perspektywy doskonale widać, że Putin konsekwentnie wdrażał tego rodzaju strategię, a wszelkie polityczne roszady, związane choćby ze zmianami na stanowisku prezydenta i premiera, złudzenia dotyczące „kremlowskich liberałów", były doskonale rozgrywaną przez kilkanaście lat kosztem kolejnych państw geopolityczną tragifarsą. Celowe lub mimowolne przeoczenie, niezrozumienie, zbagatelizowanie tego faktu okazało się fatalnym problemem dla Europy. I śmiertelnym wyzwaniem dla Ukrainy.

Program polityczny Władimira Putina w całości wynika z jego wizji Rosji jako oblężonej twierdzy otoczonej przez wrogów – wskazuje francuska badaczka. Historiozoficzne obsesje ultranacjonalistycznych ideologów epoki carskiej, na czele z Michaiłem Katkowem, splatają się kompleksami byłego oficera KGB, który na własnej skórze przeżył upokarzającą klęskę sowieckiej Rosji w starciu z Zachodem. Thom analizuje, jak wzrasta putinizm, korzystając nie tylko z syberyjskich surowców, słabości opozycji, chciwości, konformizmu, krótkowzroczności oligarchów, soft power w relacjach międzynarodowych, lecz także specyficznie rosyjskiej podatności społeczeństwa na rządy silnej ręki i imperialne marzenia jako rekompensatę ze g...o i błoto codziennego, biednego życia. Fakty są jak symbole, symbole przydają znaczenia faktom: „W 2006 roku, kiedy Rosja otrzymuje zgodę na organizację igrzysk olimpijskich w Soczi, zostaje to uznane za ogromny osobisty sukces Putina. Na Kremlu rozważa się jego dożywotnią prezydenturę. Zaczyna być widocznym, że Putin ma zostać na długo. Prezydent rozpoczyna budowę wystawnego pałacu nad Morzem Czarnym". W znacznie bliższych nam czasów o oszałamiającej rezydencji rosyjskiego cara-nie-cara, zbudowanej po cichu za publiczne pieniądze, stanie się głośno za sprawą demaskatorskiego filmu „Pałac dla Putina. Historia największej łapówki" wyreżyserowanego przez Aleksieja Nawalnego.

▶ Szaleństwo lidera czy chłodna imperialna logika

Po ataku Rosji na Ukrainę oszołomiona Monika Olejnik pytała Aleksandra Kwaśniewskiego w TVN24, czy Putin jest zdrowy psychicznie. Ten rodzaj interpretacji rzeczywistości pokazuje nie tylko intelektualną marność liberalnych elit, zapatrzonych przez dekady we własne historiozoficzne fanta-

eprasa.pl 8b1fcfea26

zmaty. Lektura książki francuskiej historyk jest skutecznym remedium na irracjonalne podejście do wydarzeń na Wschodzie. Francuska badaczka pokazuje, jak rosyjski gosudar budował filary swojego systemu, korzystając z już istniejących elementów struktury: oligarchowie, biurokracja państwowa, regionalni notable, ostatecznie podporządkowani Kremlowi, siłowiki, czyli ludzie resortów siłowych. Nawet jeśli w imperialną rosyjską rzeczywistość wpisany jest element nieprzewidywalności, co dobrze pokazał bunt Jewgienija Prigożyna latem 2023 roku, to cały układ wykazuje się znaczną stabilnością i zdolnością do działania zgodnie z wewnętrzną logiką, która podporządkowuje sobie poszczególne grupy interesów i ideowo-polityczne frakcje. Dyżurni liberałowie i technokraci, skrajnie ortodoksyjni prawosławni neosowieccy etatyści, którzy chcieliby supremacji kompleksu wojskowo-przemysłowego, neokomunisty Giennadija Ziuganowa, wizjonerzy w typie Aleksandra Dugina – putinizm korzysta z usług ich wszystkich, próbując osiągać metapolityczne i geopolityczne cele. Z polskiej perspektywy, mocno dychotomicznie traktującej spory polityczne, może to być kompletnie niezrozumiałe i nieczytelne: „liberałowie i konserwatyści rywalizują ze sobą w ramach establishmentu". Postsowiecki neoimperialny pragmatyzm potrzebuje Piotra Wielkiego, Mikołaja II, Piotra Stołypina, Stalina. Odrzuca za to Michaiła Gorbaczowa i Borysa Jelcyna, bo są symbolami głębokiego kryzysu imperium.

Budowa nowego samodzierżawia wiązała się ściśle z odbudową geopolitycznych ambicji Putina. Thom przypomina: „W październiku 2001 roku w Bundestagu Putin otrzymał owacje na stojąco, gdy w swoim (wygłoszonym po niemiecku) przemówieniu wezwał Europę i Rosję do połączenia swoich zasobów". Niemcy potrzebują rosyjskiego gazu, Francuzi dzielą z Moskwą niechęć do USA, „Włochy nie są zbyt wybredne, jeżeli chodzi o legalność praktyk biznesowych w stylu rosyjskim" – kąśliwie tłumaczy francuska badaczka najróżniejsze motywy europejskiej życzliwości do putinowskiej Rosji. Niepokojące sygnały są bagatelizowane w europejskich stolicach: „Rosjanie zawsze wykazywali wielki talent do podsuwania ludziom Zachodu argumentów usprawiedliwiających ich tchórzostwo". Rosja testuje międzykontynentalną rakietę balistyczną, neguje traktat o ograniczeniu sił zbrojnych w Europie, wznawia loty bombowców strategicznych i narusza przestrzeń powietrzną krajów NATO, uderza na Gruzję. Kreml chce coraz więcej i więcej, gdy w Polsce pierwszy rząd Donalda Tuska ogłasza tak skrzętnie dziś przemilczany w mediach głównego nurtu reset z Rosją. „Zapomnijcie o niezmienności granic. Granice każdego imperium są płynne: można, a nawet trzeba je przesuwać. Im więcej przestrzeni kontrolujemy, tym mniejsza szansa na to, że zostaniemy wchłonięci przez innych. [...] Raczej trzecia wojna światowa niż druga pierestrojka!" – wołał w 2015 roku potomek prawosławno-gnostyckich sekciarzy mołokan Aleksandr Prochanow. To znaczący myśliciel, w Polsce doczekał książki „Imperialista, technokrata, mistyk" pióra Aleksandra Wawrzyńczaka. Apokaliptyczny, w spotworniały sposób mistyczny, zarazem maksymalistyczny, jak i nihilistyczny sposób myślenia rosyjskich intelektualistów to rzecz kompletnie nierozumiana dziś na Zachodzie. Także w Polsce brak dziś myślicieli formatu Mariana Zdziechowskiego, by analizować tę arcyniebezpieczną tendencję. A przecież niewiadomych wciąż przybywa.

„Dzisiejsze państwo rosyjskie cierpi z powodu tych samych słabości, z którymi zmagał się ZSRS: hipertrofii sektora władzy (armii, policji, bezpieczeństwa państwa, kompleksu wojskowo-przemysłowego), ekstrawaganckich wydatków na zbrojenia, dysproporcji między prowincjami a stolicą, zubożenia ludzkości" – podsumowuje Thom aktualną sytuację w Rosji. Krach czy zwycięstwo? Jedno i drugie. Czyim kosztem? To pytanie zadawałem sobie, czytając ostatnie strony książki francuskiej autorki. Daleko im do optymistycznych prognoz. Ale realizm jest jedynym, choć gorzkim lekarstwem w rosyjskich sprawach. Lekarstwem, którego zbyt często sobie odmawialiśmy w dekadach względnego pokoju i spokoju. ■

Program polityczny Władimira Putina w całości wynika z jego wizji Rosji jako oblężonej twierdzy otoczonej przez wrogów – wskazuje francuska badaczka.

eprasa.pl 8b1fcfea26

Hanna Shen

Rumuński scenariusz w Korei Południowej

eprasa.pl 8b1fcfea26

FOT. JEON HEON-KYUN/PAP/EPA

Liberalno-lewicowe media na Zachodzie próbują wmówić swoim odbiorcom, że kryzys polityczny w Korei Płd. to wynik działań konserwatywnego prezydenta. Tak naprawdę w Seulu realizowany jest rumuński scenariusz – „korekta" wyborczego werdyktu w celu usunięcia konserwatywnego rządu.

Na początku stycznia br. były francuski komisarz UE Thierry Breton zasugerował, że może dojść do unieważnienia wyników wyborów w Niemczech, tak jak miało to miejsce w Rumunii, gdzie Sąd Konstytucyjny unieważnił pierwszą turę wyborów prezydenckich, bo wygrał w niej prawicowy kandydat. Polityczne działania liberalno-lewicowych elit prowadzące do destabilizacji w danym kraju po to, by odsunąć od władzy konserwatystów, to już nie tylko realia Zachodu. Ten sam scenariusz jest w tej chwili realizowany w Korei Płd.

Za chaosem politycznym stoi lewica

Mainstreamowe media na Zachodzie próbują nam wmówić, że przyczyną trwającego w Seulu kryzysu politycznego są działania konserwatywnego prezydenta Republiki Korei Yoona Suk-yeola. 3 grudnia ogłosił on stan wojenny, oskarżając opozycję o sympatyzowanie z Koreą Płn. i paraliżowanie prac rządu i parlamentu. Yoon stwierdził, że podjął tak drastyczny krok, aby „chronić liberalną demokrację i zapewnić bezpieczeństwo ludziom" przed siłami działającymi potajemnie w Korei Płd. w celu obalenia rządu. Oskarżył też opozycję, lewicową Partię Demokratyczną (PD), mającą większość w Zgromadzeniu Narodowym, o wprowadzanie „dyktatury legislacyjnej" poprzez m.in. liczne wnioski o impeachment, zakwestionowanie ustawy budżetowej i angażowanie się w „działania antypaństwowe". Można dywagować, czy Yoon musiał posunąć się aż tak daleko i wprowadzić stan wojenny, który zresztą trwał krótko, bo w wyniku powszechnego oburzenia został odwołany po sześciu godzinach. Jednak kryzys nie zaczął się 3 grudnia, lecz kilka miesięcy wcześniej. 10 kwietnia miały miejsce wybory do Zgromadzenia Narodowego, które wygrała lewica, na czele której stoi PD, zdobywając 192 (na 300) mandaty. Oznaczało to, że zdobyła ona większość w południowokoreańskim parlamencie i mogła blokować działania konserwatywnego rządu prezydenta Yoona. I tak też się stało. Partia Demokratyczna i jej koalicjant zgłaszali kolejne wnioski o impeachment urzędników administracji Yoona, a przede wszystkim blokowali ustawę budżetową, domagając się m.in. ograniczenia wydatków na obronność i policje, a także redukcję pomocy dla Ukrainy.

Stop the Steal

Po dojściu do władzy w 2022 roku Yoon Suk-yeol zerwał z tzw. słoneczną polityką charakteryzującą się ustępstwami wobec komunistycznego reżimu w Korei Płn., a prowadzoną przez jego poprzednika z lewicowej Partii Demokratycznej. Ponadto poprawił relacje z ważnym so-

eprasa.pl 8b1fcfea26

jusznikiem Stanów Zjednoczonych – Japonią – i tak jak Waszyngton traktował Chiny jako zagrożenie. Yoon poparł też Ukrainę, a jego kraj udzielił dużego wsparcia finansowego Kijowowi. Po kwietniowych wyborach Yoon i jego ministrowie mieli właściwie związane ręce. Pojawiły się też liczne doniesienia o nieprawidłowościach wyborczych, ale sądy będące w dużym stopniu pod kontrolą lewicy nie chciały rozpatrywać składanych przez obywateli wniosków o fałszerstwa. Dodatkowo w przemówieniu wygłoszonym tuż przed tym, jak Zgromadzenie Narodowe głosowało nad wnioskiem o jego impeachment za wprowadzenie stanu wojennego, Yoon wyjawił, że jednym z powodów, dla których zdecydował się na tak drastyczny krok, było wykrycie przez południowokoreańską Narodową Służbę Wywiadowczą (NIS), że przed kwietniowymi wyborami hakerzy z Korei Płn. i Chin dokonali ataków na serwery i komputery południowokoreańskiej Państwowej Komisji Wyborczej (NEC). Przywódca Korei Płd. powiedział też, że NEC sprawiała trudności, gdy sprawę postanowiono wyjaśnić. „Zezwolili na inspekcję tylko bardzo małej części swojego sprzętu systemowego, a odmówili zbadania reszty. Nawet przy tej ograniczonej inspekcji sytuacja była poważna. Kiedy pracownicy NIS próbowali w ramach testu włamać się do sprzętu, manipulacja danymi okazała się całkowicie możliwa i praktycznie nie było żadnej zapory sieciowej" – powiedział Yoon. Nic dziwnego, że w wyniku informacji o atakach hackerskich i manipulacjach wyborczych, zwolennicy prezydenta Yoona utworzyli ruch o nazwie „Stop the Steal" (stop kradzieży) – czyli wykorzystali hasło spopularyzowane przez zwolenników prezydenta-elekta USA Donalda Trumpa po przegranych przez niego wyborach w 2020 roku. Na ulicach już nie tylko Seulu, lecz także innych miast Korei Płd. wspierający ten ruch domagają się uwolnienia zawieszonego prezydenta, który został aresztowany w połowie stycznia, oraz dokładnego zbadania kwestii fałszerstw wyborczych i ingerencji wewnętrznej zwłaszcze ze strony Komunistycznej Partii Chin (KPCh), a także reformy systemu wyborczego.

To jest czystka

W tym czasie lewica pogłębia chaos polityczny w Korei Płd. Po impeachmencie prezydenta Yoona, pełniącym obowiązki prezydenta został premier Han Duck-soo. Partia Demokratyczna doprowadziła także do jego impeachmentu po tym, jak ten odmówił powołania trzech sędziów Sądu Konstytucyjnego, bo – jak stwierdził – przekracza to zakres jego kompetencji jako pełniącego obowiązki prezydenta. Opozycja zarzuciła też Hanowi udział w próbie wprowadzenia 3 grudnia ub.r. przez prezydenta Yoon Suk-yeola stanu wojennego oraz sprzeciw wobec powołania specjalnych prokuratorów, którzy mieliby się zająć śledztwami przeciw Yoonowi. Nowym pełniącym obowiązki prezydenta został dotychczasowy minister finansów Czoi Sang Mok. W wywiadzie udzielonym Michaelowi Wonowi, konserwatywnemu i chrześcijańskiemu dziennikarzowi pochodzenia koreańskiego, Gordon Chang, ekspert ds. Chin i Korei często występujący w amerykańskiej konserwatywnej stacji Fox New, ostrzegł, że w Korei Płd. dochodzi do przejęcia kolejnych instytucji państwowych przez lewicę, która poddaje „impeachmentowi wszystkich nie dlatego, że popełnili przestępstwa lub nie wypełnili swoich konstytucyjnych obowiązków, lecz dlatego, że są konserwatystami". „To jest czystka" – twierdzi Chang.

> Mainstreamowe media na Zachodzie próbują nam wmówić, że przyczyną trwającego w Seulu kryzysu politycznego są działania konserwatywnego prezydenta Republiki Korei Yoona Suk-yeola.

Czy Republika Korei przetrwa?

Alfred J Kim, południowokoreański dziennikarz, uważa, że jego kraj „jest obecnie podzielony między siły, które dążą do ujawnienia oszustw wyborczych w celu ochrony państwa, a siły ustawodawcze, które starają się przekształcić system i konstytucję w dyktaturę jednopartyjną, przypominającą chiński model komunistyczny". A chiński element jest bardzo widoczny także na ulicach Seulu, gdzie w demonstracjach przeciwko stanowi wojennemu i prezydentowi Yoonowi brali udział obywatele ChRL. Konserwatywni komentatorzy z Korei Płd. mówią, że stanowili oni co najmniej jedną trzecią tych domagających się impeachmentu Yoona. Tymczasem wśród protestujących, którzy wyrażają poparcie dla zawieszonego prezydenta, wyróżniają się młodzi. Wielu z nich nie podobał się pomysł wprowadzenia stanu wojennego przez Yoona.

eprasa.pl 8b1fcfea26

To pokolenie, które jest bardzo dumne z tego, co osiągnęła Korea płd. – zerwała ze swoją autorytarną przeszłością, kiedy to w latach 1948–1979 aż 12 razy wprowadzano tam stan wojenny – i zbudowała demokratyczne państwo, a jednocześnie to kiedyś jedno z najbiedniejszych państw stało się czołową gospodarką światową. Dziś mimo zastrzeżeń do Yoona, młodzi stają po jego stronie, bo rozumieją, że teraz czołową kwestią nie jest to, czy miał być stan wojenny, czy nie, ale czy przetrwa Republika Korei. A jedynymi, którzy to przetrwanie gwarantują, są Yoon Suk-yeol i konserwatyści. Lewica, a zwłaszcza jej przywództwo, jest, jak zauważył Gordon Chang, pro-północnokoreańskie. „Ich krajem jest Korea i chcą obalić Republikę Korei", która jest ojczyzną dla młodych. To przypomina sytuację na Tajwanie za rządów prochińskiego Kuomintangu w latach 2008–2016. Organizowano wtedy wiele wycieczek tajwańskiej młodzieży do Chin, by „lepiej poznała swoje korzenie". Wielu z młodych po powrocie na Tajwan mówiło wtedy, jak bardzo różne są komunistyczne Chiny i Tajwan i że to ta podróż pozwoliła im zrozumieć, że ich ojczyzną jest wolny i demokratyczny Tajwan i nigdy nie chcieliby być rządzeni przez KPCh. Tak samo za wolnością i suwerennością, a przeciwko możliwym rządom komunistów występują dziś młodzi Koreańczycy z Południa. Nie znaczy to, że są przeciwko zjednoczeniu obu Korei w przyszłości. Rozumieją, że aby Pjongjang mógł być kiedyś wolny, Seul musi pozostać wolny. A obecny kryzys polityczny w Korei Płd. – rozpoczęty przez lewicę i będący na rękę (i rozgrywający się z pomocą) Korei Płn., Chin, a także Rosji – tej wolności zagraża.

▶ Prezydent na życzenie Pekinu, Pjongjangu i Moskwy

Mina Kim, określająca się jako południowokoreańska konserwatystka i chrześcijanka oraz twórczyni organizacji Build Up Korea, mającej za cel pogłębianie relacji na linii Seul–Waszyngton, mówi, że transformacja Korei Płd., tej, z której dziś dumni są jej młodzi obywatele, była możliwa dzięki wsparciu Boga (w odróżnieniu od większości państw na Dalekim Wschodzie Korea Płd. ma prężnie rozwijającą się społeczność chrześcijan) i sojuszowi ze Stanami Zjednoczonymi. Zerwanie tego sojuszu, a z pewnością jego osłabienie, będzie miało miejsce, gdy zrealizowany zostanie plan odsunięcia konserwatystów od władzy, tj., gdy Sąd Konstytucyjny zatwierdzi impeachment Yoona Suk-yeola i odbędą się nowe wybory. Brak wyjaśnienia sprawy ingerencji w ostanie wybory to szansa na kolejne fałszerstwa i pewniejszą wygraną prezydencką przez szefa Partii Demokratycznej Lee Jae-myung, zwolennika bliskiej współpracy z Pekinem, pojednawczej polityki wobec Korei Płn. i właśnie dystansowania się wobec sojuszu z USA. Lee uważa obecność w jego kraju wojsk USA, broniących Koreę Płd. przed zagrożeniem ze strony Pjongjangu i Pekinu, za „siły okupacyjne". Odnosząc się do rosyjskiej inwazji na Ukrainie, Lee powiedział, że Ukraina to „kraj na drugim krańcu Ziemi" i to, co się tam dzieje, „nie ma dla nas znaczenia", a jego partia w kwietniu 2022 roku na organizowane przez nią forum zaprosiła Lee Hae-younga – prorosyjskiego naukowca, który zaprzeczał, że masakra w Buczy miała miejsce. W przypadku dojścia do władzy lidera PD należy także spodziewać się pogorszenia relacji z Japonią. Południowokoreańska lewica krytykowała rząd Yoona za wzmacnianie trójstronnego sojuszu Korea Południowa–USA–Japonia.

W normalnych warunkach Lee nawet nie kwalifikowałby się do wyborów w Korei Płd., ponieważ w listopadzie 2024 roku został skazany za naruszenie prawa wyborczego na karę roku pozbawienia wolności w zawieszeniu, bo składał fałszywe oświadczenia podczas kampanii prezydenckiej w 2022 roku. Dodatkowo toczą sie wobec niego śledztwa dotyczyce korupcji, brania łapówek, a nawet przekazania pieniędzy Korei Płn. Tylko że w tej chwili sytuacja polityczna za sprawą kryzysu wywołanego przez lewicę przy prawdopodonym wsparciu sił Chin i Korei Płn. jest daleka od normalności.

▶ Liczą na Trumpa

Kryzys w Korei Płd. rozpoczął się za rządów Joego Bidena. Osłabiona Ameryka pod rządami demokratów to także słabsi jej sojusznicy. Bardziej narażeni na ataki. Mina Kim mówi, że w walce, która w tej chwili toczy się w jej kraju i w którą zaanagażowane są komunistyczne siły z Korei Płn. i Chin, Seul potrzebuje wsparcia. „Aby zmienić bieg rzeczy, potrzebujemy cudu, takiego jak wydarzył się w bitwie o Incheon pod przywództwem generała MacArthura w trakcie wojny koreańskiej". Na demonstracjach wsparcia dla prezydenta Yoona obok flag Korei Płd. powiewiają też flagi USA (na wiecach, gdzie domagano się impeachmentu Yoona, pojawiają się m.in. flagi w kolorach: niebieski, różowy, biały, czyli flagi trans-LGBT). Południowokoreańscy konserwatyści to naturalni partnerzy dla Donalda Trumpa i liczą, że to właśnie 47. prezydent USA pomoże im ten bieg rzeczy odwrócić. Konserwatyści w Seulu i Waszyngtonie, ale i ci w Europie, to partnerzy w globalnej walce przeciw siłom lewicowo-liberalnym, które chcą zniszczyć nasze wolności, a zaczynają zawsze od – jak mówił Breton – „ingerencji" w proces wyborczy. ■

eprasa.pl 8b1fcfea26

Grenlandia, piękna panna na wydaniu

Antoni Rybczyński

Gdyby odwrócić słynne stwierdzenie byłego szefa polskiej dyplomacji, to Grenlandia jest panną na wydaniu nie dość że piękną (można rzec zielonooką), to w dodatku z ogromnym posagiem. Czyż można się dziwić, że o jej rękę stara się najsilniejszy kawaler? Arktyka stała się strefą rywalizacji wielkich mocarstw. Grenlandia jest kluczowym elementem tej układanki. Ten, kto pierwszy zwiększy tam swoją obecność, zyska przewagę nad przeciwnikiem.

eprasa.pl 8b1fcfea26

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Donald Trump już w 2019 roku proponował Danii wykup Grenlandii. Został wyśmiany w Kopenhadze i zignorowany w Nuuk. Obecne reakcje i konsekwencje polityczne ponowionego przez prezydenta USA pomysłu są zgoła inne. W ciągu ostatnich pięciu lat znaczenie militarne i gospodarcze największej wyspy na naszej planecie tylko wzrosło, a wraz z nim polityczna samodzielność Grenlandczyków. Wszystko za sprawą zmian klimatycznych (otwierających coraz większy dostęp do zasobów wyspy i szlaków morskich w Arktyce), wzrostu poczucia zagrożenia w Europie po inwazji Rosji na Ukrainę, wreszcie globalnych ambicji rosnących militarnie i gospodarczo Chin – głównego rywala Stanów Zjednoczonych.

Nadzieje USA

Wszystko wskazuje na to, że niepodległość Grenlandii to tylko kwestia czasu. Rząd w Nuuk wspierany przez Grenlandczyków, w zdecydowanej większości opowiadających się za ostatecznym wyjściem spod zwierzchności duńskich kolonizatorów, już wykorzystuje powrót Trumpa i jego arktycznych planów do wywierania presji na Kopenhagę. Nowa pozycja daje Grenlandii możliwość rozgrywania Stanów Zjednoczonych i Danii. Geopolityczne znaczenie tego terytorium rośnie wraz z topnieniem jego rozległej pokrywy lodowej. Położona na dalekiej północy między USA a Europą wyspa jest domem dla amerykańskiej bazy wojskowej, która monitoruje przestrzeń kosmiczną i wykrywa zagrożenia rakietowe, a także posiada duże rezerwy złota, diamentów, uranu i metali ziem rzadkich wykorzystywanych w urządzeniach elektronicznych. Oczekuje się również, że w nadchodzących dziesięcioleciach stanie się kluczową częścią globalnych szlaków żeglugowych.

Kontrola nad surowcami naturalnymi wyspy to dla USA klucz do przeciwdziałania chińskiej dominacji na światowym rynku metali ziem rzadkich. Stąd obawy Waszyngtonu, jaką politykę będzie prowadzić coraz bardziej niezależna Grenlandia. Czy będą podejmowane decyzje sprzeczne z interesami USA, jak pozwolenie na budowę chińskiej infrastruktury lub usunięcie amerykańskich żołnierzy z wyspy? Lepiej więc związać ze sobą Grenlandię już teraz. Oczywiście nie ma mowy o kupnie wyspy i powiększeniu terytorium Stanów Zjednoczonych pierwszy raz od 1947 roku, gdy dostało im się kilka wysepek na Pacyfiku po klęsce Japonii. Być może Trump chciałby zapisać się w historii Ameryki obok Thomasa Jeffersona (zakup Luizjany) i Andrew Johnsona (zakup Alaski), ale chyba najlepszym i najbardziej prawdopodobnym scenariuszem jest niepodległa Grenlandia związana z USA ścisłą współpracą gospodarczą i militarną.

„Nie chcemy być Duńczykami, nie chcemy być Amerykanami, oczywiście chcemy być Grenlandczykami. Status quo nie jest już opcją. Musimy znaleźć nową drogę"

Mute B. Egede, premier Grenlandii,
31 stycznia 2024 roku

eprasa.pl 01fcfea26

Status wyspy

Grenlandia geograficznie jest częścią kontynentu amerykańskiego, ale historia łączy ją z europejskimi krajami: Danią, Norwegią i Islandią. Formalnie wyspa należy do Królestwa Danii od 1814 roku. Wcześniej Kopenhaga władała nią w unii z Norwegią. W wyniku referendum w 1979 roku Grenlandia uzyskała samorządność w ramach monarchii. W 2008 roku odbyło się kolejne referendum, w którym mieszkańcy wyspy opowiedzieli się za samodzielną kontrolą ochrony porządku i granic Grenlandii, autonomicznym sądownictwem i sprawami finansowymi, decydowaniem o wydobyciu minerałów i kontrolą lotnictwa cywilnego. W gestii rządu Danii pozostaje polityka zagraniczna, obronna i walutowa. Na wyspie do tej pory w obiegu jest duńska korona. Grenlandczycy są obywatelami UE, choć wyspa nie podlega jurysdykcji Unii, mając specjalny status terytorium zamorskiego jednego z krajów członkowskich UE. Formalnie głową państwa w Grenlandii jest król Danii Fryderyk X. Wyspę zamieszkuje zaledwie około 56 tys. ludzi. Dziewięciu na dziesięciu to Inuici, których przodkowie przybyli na Grenlandię z terytorium współczesnej Kanady w XIII wieku.

Całe polityczne, gospodarcze i kulturalne życie autonomii skupia się w wąskim, wolnym od wiecznego lodu, przybrzeżnym pasie wyspy – łącznie najwyżej 15 proc. powierzchni wyspy – głównie na południowym zachodzie. Tam właśnie leży stolica Nuuk (duńska nazwa Godthåb), zamieszkana przez blisko 20 tys. Grenlandczyków. Gospodarka wyspy jest jedną z najmniejszych na świecie. Pomimo wysiłków na rzecz dywersyfikacji, Grenlandia nadal polega na krajowym rybołówstwie jako głównym źródle dochodów, podczas gdy roczna dotacja w wysokości 600 mln dolarów z Danii stanowi 20 proc. gospodarki wyspy i ponad połowę jej budżetu publicznego. Pierwszą pozycję eksportową zajmują produkty przemysłu rybnego, przede wszystkim krewetki, w wydobyciu których Grenlandia jest światowym liderem. Grenlandia liderują też jednak w innej, niechlubnej kategorii. Ma najwyższy wskaźnik samobójstw na świecie: 83 na 100 tys. mieszkańców rocznie. W czym połowa przypada na młodzież. Jest też druga niechlubna statystyka: rocznie na każde 700 urodzonych dzieci przypada 800 aborcji.

Do trzech razy sztuka

Stany Zjednoczone już dwa razy w przeszłości próbowały kupić Grenlandię. Raz w pakiecie z Islandią. Był rok 1867. Sekretarz stanu William H. Seward, który już prowadził rozmowy o zakupie Alaski z Rosją, uznał za „godną poważnego rozważenia" koncepcję zastąpienia jej Grenlandią i Islandią. Skąd przyszło mu to do głowy? Wiadomo, że Seward negocjował wtedy z Danią zakup karaibskich wysepek St. John i St. Thomas wchodzących w skład Duńskich Indii Zachodnich. Zapewne przy tej okazji pojawiła się kwestia innych zamorskich posiadłości Danii. Co istotne, w tym czasie Amerykanie starali się przekonać lub zmusić swojego najbliższego północnego sąsiada, nowo utworzoną Konfederację Kanady, do przyłączenia się do Stanów Zjednoczonych – i w tym celu próbowali otoczyć ją swoim terytorium (udało się tylko z Alaską). W każdym razie, na zlecenie Sewarda powstał raport na temat perspektyw zakupu Grenlandii i Islandii. Jednak 72-stronicowy dokument autorstwa inżyniera-górnika Benjamina M. Pierce'a w Senacie wywołał śmiech i drwiny, więc sprawa umarła. Po raz drugi kwestia Grenlandii pojawiła się po zakończeniu II wojny światowej. W 1946 roku USA zaproponowały Danii 100 mln dolarów w sztabach złota (równowartość obecnych 1,3 mld dolarów). Idea przejęcia wyspy wyszła od wojskowych, którzy uważali że kontrola nad wyspą jest krytycznie ważna dla Stanów Zjednoczonych, a dla Danii „praktycznie niepotrzebna". Oczywiście chodziło o położenie wyspy i jej znaczenie dla możliwości prowadzenia przez USA operacji wojskowych za kręgiem polarnym – w pierwszej kolejności przeciwko Sowietom. Już sam fakt złożenia oferty Kopenhadze był ściśle tajny. „Jesteśmy bardzo zobowiązani USA, ale nie mam wrażenia, żebyśmy byli im winni całą Grenlandię" – miał powiedzieć minister spraw zagranicznych Gustav Rasmussen w grudniu 1946 roku w Nowym Jorku, podczas spotkania z sekretarzem stanu Jamesem Barnesem. Cała historia stała się znana dopiero w 1991 roku, po otwarciu archiwów w Danii.

Oczywiście dużo bardziej znane są inne transakcje, z zakupem Alaski od Rosji w 1867 roku na czele (ponad 1,5 mln km kw. za 7,2 mln dolarów). Ale wcześniej był zakup w 1803 roku od Francji terytorium Luizjany (około 2,1 mln km kw. za 15 mln dolarów) oraz traktat Adams-Onis ustalający cesję Florydy na rzecz USA i granicę między Stanami Zjednoczonymi a ówczesnym hiszpańskim Meksykiem (1819 rok). Madryt otrzymał około 5,5 mln dolarów. Przypominając historię „dolarowych podbojów" USA, warto też przypomnieć że już raz w przeszłości Dania bez problemu dogadała się z Amerykanami w podobnej kwestii. Otóż w 1917 roku USA zakupiły Duńskie Indie Zachodnie. Założona w 1672 roku duńska kolonia obejmowała szereg karaibskich wysepek. Choć Dania po wybuchu I wojny światowej ogłosiła neutralność, pojawiło się zagrożenie, że wyspy zajmą Niemcy chcące zagrozić żegludze przez Kanał Panamski. Więc Duń-

eprasa.pl 8b1fcfea26

czycy sprzedali kolonię Amerykanom za 25 mln dolarów. Dziś turyści znają ten archipelag jako Amerykańskie Wyspy Dziewicze.

Arktyczny wyścig mocarstw

Dania nie sprzedała Grenlandii Amerykanom, ale właśnie zaczynała się zimna wojna, a w 1949 roku powstało NATO. Wśród założycieli były oba państwa, które już na początku lat 50. XX wieku podpisały umowę o współpracy w sferze bezpieczeństwa, co pozwoliło Pentagonowi uzyskać dostęp do Grenlandii i zbudować bazę wojskową w Thule. Do dziś jest to najdalej na północ wysunięta baza wojskowa Stanów Zjednoczonych. Wcześniej należała do Sił Powietrznych USA (w czasie zimnej wojny stacjonowały tu bombowce strategiczne), a w 2020 roku została podporządkowana Siłom Kosmicznym USA. Pituffik (który otrzymał nową, grenlandzką nazwę w 2023 roku) ma pas startowy o długości 3 km – jest to bardzo duży obiekt wojskowy. Z głębokowodnym portem oraz zaawansowanymi radarami wczesnego ostrzegania, stanowiącymi istotne ogniwo obrony powietrznej i morskiej NATO i USA. Pituffik jest ważnym elementem obrony przeciwrakietowej Stanów Zjednoczonych oraz systemu obserwacji kosmicznej i kontroli satelitów. O ile o 821. Bazie (oficjalna nazwa obiektu) wiedzieli wszyscy, o tyle ścisłą tajemnicą było funkcjonowanie bazy Camp Century, leżącej około 240 km od Pituffik. Oficjalnie był to ośrodek naukowy, ale tuż obok Amerykanie rozbudowali system podziemnych wyrzutni pocisków nuklearnych dalekiego zasięgu, połączonych tunelami o łącznej długości 21 km. O tej bazie nawet Duńczycy, sojusznicy w NATO, dowiedzieli się przypadkiem dopiero w 1995 roku, gdy prowadzono śledztwo w sprawie katastrofy bombowca B-52 z pociskami nuklearnymi.

Grenlandia jest też ważna dla USA i NATO z innego powodu. W nadchodzących dziesięcioleciach stanie się kluczową częścią globalnych szlaków żeglugowych. Już w maju 2019 roku sekretarz stanu Mike Pompeo mówił, że czas rejsu z Azji na Zachód można skrócić do 20 dni, a „arktyczne szlaki morskie mogą stać się Sueskim i Panamskim Kanałami XXI wieku". Gwałtowne ocieplenie w Arktyce otwiera szlaki żeglugowe, w tym przez tzw. przesmyk Grenlandia–Islandia–Wielka Brytania (GIUK). To prawdopodobnie najważniejsze wąskie gardło NATO na oceanach świata. Musi być monitorowane i patrolowane, a w przypadku wojny zamknięte w celu ochrony przed rosyjską flotą szlaków morskich dla wojsk i sprzętu z Ameryki do Europy. W czerwcu 2019 roku Pentagon opublikował „Strategię Arktyczną", w której mowa o tym, że morskie przejście na wschód od Grenlandii to „strategiczny korytarz" dla całej Arktyki i Północnego Atlantyku, bardzo ważny w kontekście rywalizacji z Rosją i Chinami. USA są poważnie zaniepokojone rosnącymi wpływami ekonomicznymi i wojskowymi Rosji i Chin w tej części świata. Rosja w ostatnich latach budowała tam kolejne bazy wojenne, planuje zwiększać wydobycie ropy naftowej i gazu z szelfu arktycznego, a Północną Drogę Morską uczynić jedną z głównych transportowych arterii świata. Wojna z Ukrainą i sankcje zachodnie mocno spowolniły realizację polarnej strategii Putina, ale nie ma wątpliwości, że Rosja widzi przyszłość w ekspansji na północ i kwestią czasu jest przyspieszenie wspomnianych działań. Zmiany klimatyczne sprzyjają takim planom. Kurczy się pokrywa lodowa, więc łatwiej dostać się do zasobów naturalnych i łatwiej żeglować. Przesmyk GIUK ma kluczowe znaczenie w planach zachodnich admirałów na wypadek konfliktu NATO z Rosją. Grenlandia może być użyta do operacji mających na celu neutralizację rosyjskich sił w Arktyce. W tym bastionu sił nuklearnych na Półwyspie Kola.

Kuszące zasoby naturalne

Amerykanów jeszcze bardziej niepokoją arktyczne ambicje Chin, przede wszystkim gospodarcze. Chodzi o dostęp do złóż minerałów oraz szlaków morskich i powietrznych. Już dwie dekady temu chiński miliarder Huang Nubo wyraził gotowość nabycia blisko 300 km kw. ziemi w północnej Islandii, żeby „budować pola golfowe". Później próbował zakupić podobnie dużą działkę w niewielkim Kirkenes, na norweskim archipelagu Svalbard. W 2016 roku chiński biznesmen usiłował z kolei kupić byłą duńską bazę wojskową (zamkniętą w 2014 roku), co już wywołało alarm na Zachodzie. Na Grenlandii ChRL planowała zbudować kilka naraz lotnisk na zamówienie duńskich władz. Ten największy infrastrukturalny projekt w historii wyspy udało się jednak Amerykanom zablokować. Trump chce dominować na Grenlandii, aby Stany Zjednoczone przestały być zależne od importu metali ziem rzadkich i minerałów. Obecnie ChRL pokrywa 72 proc. zapotrzebowania USA na metale ziem rzadkich, z Chin trafia też do Ameryki 40 proc. importowanego grafitu. Tymczasem na wybrzeżu Grenlandii skoncentrowane są ogromne rezerwy grafitu, miedzi i litu. Wyspa posiada też jedne z największych zasobów uranu na świecie. Jedno tylko złoże w miasteczku Kvanefjeld ocenia się na 228 tys. ton i jest ono uważane za piąte pod względem wielkości na świecie. Grenlandia posiada też duże i nie do końca jeszcze oszacowane złoża złota, wolframu, cynku, wanadu i tytanu. Złoża ciężkich i lekkich minerałów ziem rzadkich, w tym neodymu (Nd) i dysprozu (Dy).

eprasa.pl 8b1fcfea26

Wszystkie te pierwiastki są potrzebne nie tyle do „zielonej transformacji", ile do rozwoju amerykańskiego kompleksu wojskowo-przemysłowego.

W czerwcu 2019 roku Amerykanie podpisali z rządem w Nuuk list intencyjny ws. wydobycia metali rzadkich. Mają jednak konkurenta. Chińskie koncerny kontrolują szereg dużych projektów górniczych na Grenlandii. W Kvanefjeld spółki z Państwa Środka planują rozpocząć wydobywanie nie tylko uranu, lecz także innych rzadkich minerałów, których produkcję Pekin usiłuje zmonopolizować. Grenlandzki szelf kryje też duże zapasy ropy i gazu. Szacunkowe oceny Służby Geologicznej USA mówią o około 17 mld baryłek ropy i 4 mld m^3 gazu. Jest jednak problem z dostępem do grenlandzkich węglowodorów. Ze względu na surowe zimy, prace badawczo-wydobywcze można prowadzić tylko przez cztery miesiące w roku. Niemal 80 proc. powierzchni Grenlandii jest pokryte lodem. To utrudnia dostęp do minerałów i zwiększa drastycznie koszty ich wydobycia. Ale od czego mamy ocieplenie klimatu. Pokrywa lodowa na wyspie topnieje, i to szybko.

Make Greenland Great Again

Jeszcze zanim Trump objął urząd, republikanie w Izbie Reprezentantów przedstawili projekt ustawy, która pozwoliłaby prezydentowi rozpocząć negocjacje z Danią „w celu zabezpieczenia przejęcia Grenlandii przez Stany Zjednoczone". Andy Ogles, kongresmen z Tennessee, jest głównym sponsorem dwustronicowej ustawy „Make Greenland Great Again Act". Każdego roku w Kongresie pojawiają się tysiące projektów ustaw; zdecydowana większość z nich nigdy nie przechodzi przez proces legislacyjny. Dlatego MGGA Act należy uznać raczej za element taktyki negocjacyjnej, tak jak wypowiedzi Trumpa o Grenlandii czy prowokacyjną wizytę jego syna na Zielonej Wyspie. I taktyka ta przynosi już rezultaty. „Rozpoczęliśmy dialog i szukamy możliwości współpracy z Trumpem. Mamy otwarte drzwi w odniesieniu do górnictwa. Tak będzie również w nadchodzących latach. Musimy handlować z USA" – powiedział premier Grenlandii Mute B. Egede. Podczas gdy zarówno Egede, jak i premier Danii Matte Frederiksen podkreślają, że Grenlandia nie jest na sprzedaż, działania Trumpa wzmacniają zwolenników niezależności wyspy od Kopenhagi. „Nie chcemy być Duńczykami, nie chcemy być Amerykanami, oczywiście chcemy być Grenlandczykami. *Status quo* nie jest już opcją. Musimy znaleźć nową drogę" – mówił w orędziu noworocznym Egede. W ostatnich tygodniach zaostrzył swoją retorykę dotyczącą rozluźnienia więzi z Danią i wskazał, że referendum w sprawie niepodległości może odbyć się w następnym okresie wyborczym. Najpóźniej w kwietniu na Grenlandii odbędą się wybory parlamentarne, w których niepodległość i przyszłe więzi międzynarodowe wyspy prawdopodobnie znajdą się w centrum uwagi. Gdyby teraz zorganizowano referendum, zwolennicy niepodległości bez problemu by wygrali. Potencjalna secesja musiałaby zostać zatwierdzona przez duński parlament, ale koalicja rządząca w Kopenhadze już stwierdziła, że uszanuje każdą decyzję z Nuuk.

Zacieśnianie więzi

Biorąc pod uwagę, że nie zanosi się na sprzedaż lub aneksję wojskową, najlepszym podejściem dla Waszyngtonu jest zacieśnianie więzi wojskowych, dyplomatycznych i gospodarczych, które już utrzymuje z Grenlandią i Danią. Przyniosłoby to korzyści nie tylko wszystkim stronom, lecz także wyeliminowałoby Chiny i Rosję. Trump podczas swej poprzedniej kadencji ponownie otworzył konsulat USA w Grenlandii i zobowiązał się do przekazania jej ponad 12 mln dolarów pomocy. Pod rządami Joego Bidena Waszyngton podpisał dwunastoletnią umowę o wartości 3,95 mld dolarów na utrzymanie sił na wyspie i mianował pierwszego ambasadora USA w Arktyce. W przypadku odłączenia się, potencjalną ścieżką dla Grenlandii byłoby połączenie się z innym państwem poprzez wolne stowarzyszenie, układ polityczny, w którym terytorium dobrowolnie wchodzi w formalne partnerstwo z innym narodem. Zarówno Wyspy Cooka, jak i Wyspy Marshalla zawarły takie umowy z USA, a gdyby Grenlandia zawarła coś podobnego, byłaby w stanie działać jako niezależny naród i uzyskać pełną kontrolę nad swoimi zasobami naturalnymi, jednocześnie otrzymując wsparcie finansowe na usługi publiczne.

Jednak nawet w Stanach Zjednoczonych nie brak opinii, że niepodległość Grenlandii to krok ryzykowny, że lepiej zwiększać na wyspie amerykańską obecność wojskową i gospodarczą, współpracując przede wszystkim z Kopenhagą w tym pierwszym aspekcie i przede wszystkim z Nuuk w tym drugim. Taki układ z Ameryką mógłby być dla Grenlandczyków ogromnym rozwojowym krokiem naprzód, przekonuje na łamach Bloomberga admirał (w stanie spoczynku) James Stavridis, były naczelny dowódca sił NATO. Jego zdaniem, Stany Zjednoczone mogą m.in. zwiększyć zdolności morskie, na przykład poprzez pomoc w ulepszeniu portów; ułatwić transport lotniczy. Mogą też zachęcać do inwestycji gospodarczych i turystyki. Mogłoby to obejmować zachęty podatkowe dla koncernów wydobywczych. „Waszyngton nie powinien jednak wspierać wysiłków przywódców politycznych na wyspie na rzecz uzyskania niepodległości od Danii – nie byłoby to dobre ani dla Grenlandczyków, ani dla Duńczyków, ani dla Amerykanów" – podkreśla amerykański admirał. ■

eprasa.pl 8b1fcfea26

Marcin Wolski

Trump – wariat czy wizjoner?

„Quo vadis, Trumpie?" – chciałoby się zapytać w chwili, gdy ten nietuzinkowy polityk ponownie przejmuje Biały Dom. Po wszelkich przeszkodach i szykanach, pomówieniach i procesach., Gdyby był Tuskiem, pewnie bez reszty oddałby się zemście. Ale to nie ten format!

Inna sprawa, że nie wiadomo, co zrobi. Przed jego prezydenturą stoją dwie kluczowe kwestie . Doraźna – na ile zechce i zdoła poukładać współczesny ład światowy, zwłaszcza w kontekście zahamowania aspiracji Chińczyków utemperowania Putina i ocalenia Ukrainy. O tym przekonamy się stosunkowo prędko. Problem drugi, moim zdaniem ważniejszy, to czy zdoła odwrócić trend cywilizacyjny prowadzący ludzkość wprost w otchłań cywilizacji śmierci.

Wyzwanie wielkie, liczba wrogów niepoliczalna – elity, media, idole popkultury, uczelni i campusu oraz podsycający wszelkie dewiacje wrogowie zewnętrzni…

Co więcej, nawet polskiej prawicy nieobce są podskórne antyamerykanizmy, choć zarzuty, z którymi się stykam, przypominają argumenty rodem z sowieckiego podręcznika antyimperialistycznej propagandy, w której cała historia Stanów to jedno wielkie pasmo zbrodni, knowań, spisków i prowokacji. Bo nawet bombardowanie Pearl Harbor i atak na World Trade Center były dziełem samych Amerykanów. Do dobrego tonu należy wyśmiewanie się z Trumpa, który w dążeniu do zbudowania Ameryki wielkiej, zaproponował przyłączenie Kanady, kupno Grenlandii i odzyskanie – kiedyś przecież amerykańskiej – strefy Kanału Panamskiego. Oburzenia i śmiechu jest co niemiara. Wyobrażam sobie możliwe karykatury. Trump zamiast do nowego Białego Domu – wprowadza się do igloo lub w kostiumie konkwistadora przemierza Przesmyk Panamski, wołając: „Meksyk i Brazylię zostawimy sobie na deser!".

Tymczasem jeśli popatrzy się na rzeczy chłodno, jeśli Panamę mieliby w niedługim czasie zająć Chińczycy i kontrolować w ten sposób dwa oceany, to prewencja amerykańska jest w pełni uzasadniona. A Kanada? Wystarczy spojrzeć na mapę świata, takie zjednoczenie dopełniłoby potężnego sąsiada. I wbrew pozorom nie jest to absolutna mrzonka. Kanada to nie Ukraina z silnym poczuciem niepodległości. Nie ma przecież języka kanadyjskiego, a cała historia to pokorne trwanie przy Koronie Brytyjskiej. Zjednoczenie przyniosłoby obu stronom same korzyści, a na początek uwolniłoby Kanadyjczyków od rządów lewicy. Jest to olbrzymi kraj, słabo zaludniony, łatwy dla wrogiej penetracji i o własnych siłach nie do obrony…

Co do Grenlandii, Trump nie zamierza jej podbijać, a po prostu chce ją kupić. (Swoją drogą, ile whisky trzeba by wypić, żeby skonsumować tyle lodu). Całe Stany rozwijały się głównie drogą kupna – w 1803 roku kupiono od Napoleona Luizjanę, olbrzymie dorzecze Missisipi–Missouri, aż po Wielkie Jeziora, w 1819 roku nabyto od Hiszpanów Florydę, wojna z Meksykiem 1846–1848 oddała Amerykanom olbrzymie terytorium od Teksasu po Kalifornię i Oregon, a całość zwieńczyło kupno Alaski w 1867 roku. W transakcji po obu stronach brali udział Polacy, Rosjanie – do dziś nie mogą tego odżałować. Rosnąc w ten sposób, USA nie włączało się w podboje kolonialne, egzekwując jedynie w Latyno-Ameryce doktrynę Monroe. Czy zatem Trump jest kolejnym amerykańskim wizjonerem jak ojcowie założyciele, którzy stworzyli Stany Zjednoczone, jak Abraham Lincoln, Ronald Reagan czy Martin Luther King? Nawet gdy przegrywali lub ginęli, następcy podejmowali ich dzieło.

Podobno Unia Europejska zagroziła Elonowi Muskowi, że wyłączy mu Twittera. Na to Elon Musk zagroził, że wyłączy Unię Europejską. Kto ma większą szansę zrealizować swoją pogróżkę? Obstawiałbym Muska.

Politykę tworzą biurokraci i wizjonerzy. Tych pierwszych, dbających przede wszystkim o zachowanie status quo, jest zdecydowanie więcej. Ale w historii pozostają co najwyżej w przypisach. Wśród wielu cytatów Abe Lincolna jeden głosi: „Jakiś czas można oszukiwać wszystkich, niektórych można oszukiwać cały czas, ale cały czas nie można oszukiwać wszystkich"… Nadchodzi czas prawdy, do którego pasuje parafraza słynnego powiedzenia Winstona Churchilla o demokracji: być może USA to najgorsza federacja na świecie, ale jak na razie nikt lepszej nie wymyślił. ■

eprasa.pl 8b1fcfea26

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Miasto Duchów

Kilka kilometrów fantastycznie ukształtowanego piaszczystego wybrzeża. Z hotelami, kilkupiętrowymi apartamentowcami, z luksusowymi restauracjami. Jest nawet cerkiew. Prawie ukończona. Z utkwionym nad jej kopułą dźwigiem. Wszystko jakby gotowe. A jednak w zastygnięciu. Z wybitymi szybami, z hulającym wiatrem po opustoszałych korytarzach. Z ciszą i pustką. Bo cypryjskie Miasto Duchów nadal pozostaje niczyje.

Piaszczysta plaża i widok Miasta Duchów w tle. Wielu widzi w tym pejzażu pewne podobieństwo do współczesnego, także zrujnowanego Libanu.

eprasa.pl 8b1fcfea26

Giorgos pamięta tamten dzień aż za dobrze. Napięcie rosło z godziny na godzinę. Gdy gruchnęła wieść o pojawieniu się na północnym wybrzeżu pierwszych oddziałów tureckiej armii, było jasne, że trzeba się ewakuować. Dali im chwilę, żeby zabrać ze sobą to, co najbardziej potrzebne. Tak naprawdę pomimo wcześniejszych ostrzeżeń o możliwej inwazji, nikt nie był gotowy na takie decyzje. Zresztą, na podobne historie nikt nigdy nie jest gotowy. Nawet jeśli będzie ostrzeżony.

Jak nie u siebie

Dziś dla Giorgosa dużo bardziej surrealistyczne wydaje się stanie pod swoim domem, do którego nie może wejść. Nie może nacisnąć klamki swojej furtki. Nie może położyć się w swoim łóżku. Mimo że według prawa ten dom nadal jest jego, rzeczywistość jest bezlitosna. Dziś w jego domu żyje turecka rodzina z dziećmi. I ani myśli wyprowadzać się stąd.

Kilka lat temu Giorgos wraz z rodzicami postanowili udać się do swojego domu. Do Gimre na północy wyspy. Miejsca, gdzie się wychowali. Gdzie spędzili tyle pięknych rodzinnych chwil. Było już kilka lat po tureckiej aneksji tej części Cypru. Bitewny kurz zaczął opadać. Emocje jakby również. Tureccy osiedleńcy wydali rozporządzenie o możliwości obustronnego przekraczania linii demarkacyjnej. Giorgos po raz pierwszy od czasu przymusowej ewakuacji mógł zobaczyć swój dom.

W ogrodzie spotkał dwójkę wiekowych Turków. Wyjaśnił sprawę. Że mieszkał w tym domu przed inwazją. Że chciałby przejść się po wnętrzu. Odświeżyć pamięć. Że przyprowadził ze sobą rodziców. Że wszyscy razem chcieliby zobaczyć własny dom. Już samo proszenie o pozwolenie było najwyższą formą upokorzenia. Prosić o pozwolenie, aby móc przejść się do projektowanej przez siebie kuchni. Aby móc postawić nogę w progu własnych czterech kątów. Które tyle widziały. Pomieszczeń, których ściany tak wiele historii słyszały. Ciężkie doświadczenie. Dla niektórych wręcz niemożliwe do przekroczenia.

Choćby dla matki Giorgosa. Po ujrzeniu swojej kuchni, w której zdążyła przygotować tyle posiłków, a która to kuchnia wyglądała teraz jak po przejściu tajfunu… Po przespacerowaniu się korytarzem, którym przechodziła tyle razy, wracając z zakupów, a który to korytarz zagracony był teraz mnóstwem niepotrzebnych sprzętów i śmieci… Po wejściu do własnej sypialni, w której nic już nie było takie jak niegdyś… Wyszła czym prędzej na zewnątrz. Obiecując sobie, że nigdy więcej nie chce już tutaj przyjeżdżać. Doświadczenie okazało się zbyt bolesne.

Byle utrzymać

– Niestety, prawda jest taka, że Greko-Cypryjczycy są trochę sami sobie winni – zawiesza smutno głos Elisávet, z którą od kilku dni objeżdżam wyspę. – To dość pogmatwana historia, ale morał z niej jest taki, że łatwo jest wylać dziecko z kąpielą.

– A macie jeszcze jakieś nadzieje na powrót do waszych domów pozostawionych na północy? – dopytuję.

– Ja już nie mam żadnych. Giorgos jednak nadal ma. A ja już przestałam wyprowadzać go z tego poglądu. Niech marzy. Chociaż tego mu nikt nie zabroni – kończy smutno kobieta.

– A skąd się bierze twój pesymizm? – dociekam. – Przecież międzynarodowe prawo jest po waszej stronie. Ta aneksja jest nieuznawana przez świat.

– I właśnie stąd mój pesymizm, Stefanie – odpowiada szybko. – OZN wydało rezolucję potępiającą Turcję za aneksję Cypru. Europa zapowiedziała, że nie uzna północnych terytoriów wyspy za tureckie. I co? I nic. Takie deklaracje czy odezwy to pustosłowie. Fakty są takie, że dziś do Tureckiej Republiki Cypru Północnego, bo tak nazwali sobie oficjalnie ten obszar, rokrocznie przybywają kolejni imigranci. Rodziny tych, którzy przybyli tu przed nimi. Mają tam dziś zdecydowaną większość. Nawet gdyby ogłoszono tam dziś referendum, ci ludzie zagłosują za byciem częścią Turcji. Tu już nie ma czego ratować…

– Nie potrafię jedynie zrozumieć, z jakich powodów Turcy opuszczają swoje domy, aby osiedlić się na Cyprze?

– Bo tu jest taniej – odpowiada z przejęciem Elisávet, jakbym zadał najgłupsze pytanie z możliwych. – Turcja dopłaca im do wszystkiego. Mają tańszą benzynę niż na kontynencie. Mają tańsze jedzenie niż na kontynencie. I to pomimo że jest importowane właśnie z tegoż kontynentu. Turcja sama nie ma pomysłu, co zrobić z tą częścią Cypru. Płaci więc, żeby było, jak jest. Żeby nikt tu się nie zbuntował. Żeby to nadal było ich.

Burzliwa historia aneksji

Ta „pogmatwana historia", o której napomknęła Elisávet, sięga korzeniami XIX wieku, gdy Cypr stanowił kolonię Wielkiej Brytanii. W 1878 roku wyspa przeszła pod okupację brytyjską, a suwerenność i przynależność wyspy stała się przedmiotem traktatów i uzgodnień pomiędzy mocarstwami. Przede wszystkim pomiędzy Grecją i Turcją, od dawien dawna żywotnie zainteresowanymi panowaniem nad wyspą.

FOT. STEFAN CZERNIECKI

eprasa.pl 8b1fcfea26

Północny Cypr – ziemia z trudną historią.

Powojenna rzeczywistość zaczęła się na Cyprze kształtować pod wpływem nowej dla wyspiarzy nacjonalistycznej idei „enosis". Idea ta nawiązywała do finalnego zjednoczenia się Cypru z Grecją. Z którą to zarówno kulturowo, jak i cywilizacyjnie oraz historycznie od wieków łączyło Cypryjczyków bardzo wiele. Dokładnie takie poglądy przejawiał pierwszy prezydent Cypru Makarios III (jednocześnie biskup Autokefalicznego Kościoła Cypryjskiego), któremu udało się wokół idei „enosis" zjednoczyć niemal wszystkich cypryjskich Greków. Dowodem na to miał być przeprowadzony w 1950 roku w Atenach plebiscyt, w którym grecka ludność w 95,73 proc. opowiedziała się za przyłączeniem do Grecji.

Było jasne, że wyniku tak zorganizowanego referendum nie zatwierdzi zarówno Wielka Brytania, jak i Turcja. Tak też się zresztą stało. Na co błyskawiczną odpowiedzią Cypryjczyków stało się powołanie nowej organizacji narodowowyzwoleńczej o charakterze nacjonalistycznym – Narodowej Organizacji Cypryjskich Bojowników (Ethniki Organosis Kiprijon Agoniston – EOKA). Od 1955 do 1956 roku przeprowadziła ona serię ponad 1100 zamachów bombowych na brytyjskie cele. Wspierana po cichu przez Greków, organizowała kolejne akcje zbrojne i dywersyjne, co z czasem przerodziło się w brutalną wojnę domową. Dochodziło do sytuacji, gdy już za samą rozmowę z Turko-Cypryjczykiem można było mieć niezapowiedzianą wizytę wychowawczą w domu. A w sytuacji braku poprawy także surową karę. Teoretycznie serię brutalnych napaści miał zakończyć rok 1960, gdy Cypr ogłosił swą niepodległość.

Teoria teorią, niepodległość niepodległością, ale finalnie 1960 rok okazał się nie być wcale ostatnim, w którym na Cyprze przelewana jest krew. Starcia między bojownikami miały trwać jeszcze przez kolejne cztery lata. Siły EOKA zdążyły zniszczyć około 100 tureckich wiosek. W 1964 roku ONZ organizuje misję stabilizacyjną. Walki na pewien czas słabną. Jednak, gdy w Grecji władzę przejmuje niechętna Makariosowi III junta wojskowa, odżywają na nowo. Kulminacją staje się rok 1974, w którym dokonuje się zamach stanu, sam zaś Makarios zostaje pozbawiony władzy. I właśnie wówczas na pogrążoną w chaosie wyspę inwazję przypuszcza Turcja. Wojska wdzierają się do Nikozji, zajmując jednocześnie kilka strategicznych punktów na północy wyspy. Ludność grecka musi uciekać na południe wyspy. 180 tysięcy Greków decyduje się opuścić swoje domostwa.

▶ Gdy jest łatwiej

– Sam widzisz, Stefanie – Elisávet wytrąca mnie z letargu, w który wpadłem, wyobrażając sobie dramatyczne chwile dziejące się na Cyprze w 1974 roku. – Gdyby sami Cypryjczycy nie zdecydowali się na za-

eprasa.pl 8b1fcfea26

mach na Makariosa, być może Cypr wyglądałby dziś inaczej.

Ona sama jako przewodnik turystyczny dość regularnie bywa na północnych terenach okupowanych. Oprowadza ludzi po Nikozji, jeździ z pielgrzymkami do grobu św. Barnaby w Salaminie, odwiedza malownicze plaże Famagusty.

– Za każdym razem, gdy wracam już do siebie, gdy jestem po kontroli paszportowej i przekraczam granicę z powrotem, coś we mnie pęka – kontynuuje. – Tam, po stronie tureckiej, nie czuję się dziś dobrze. W powietrzu wisi pewien niepokój. Opuszcza mnie on dopiero wówczas, gdy jestem na nowo u siebie, na południu.

Elisávet na chwilę przerywa. Przełyka wolno ślinę. Spogląda oczami gdzieś przed siebie. I zaraz dodaje: – Tylko że widzisz… Mnie jest łatwiej. Ja znam Cypr głównie z tej strony. Nigdy nie mieszkałam na północny. Mnie nikt nie kazał zostawić domu z dnia na dzień i wynosić się na południe – zawiesza ponownie głos. – Ale mojemu mężowi i jego rodzinie już tak. I dla nich każdy taki powrót na północ jest prawdziwym rozdrapywaniem ran. Jest traumą.

Dlatego na północ pojedziemy bez Giorgosa.

Nowa rzeczywistość

Granica coraz bliżej. – Linia demarkacyjna ciągnie się tam – wskazuje z samochodu Elisávet, pokazując znajdujące się po lewej stronie drogi opuszczone zabudowania. – Większość mieszkańców przeniosła się kilkaset metrów w głąb wyspy. Niektórzy z nich wstając rano z łóżka, widzą przez okno swoje opuszczone domy. Nie wiem, czy ja bym tak dała radę…

Budka strażnika pogranicznego tuż-tuż. Trzeba wyjąć paszport. I najlepiej od razu wyłączyć telefon. Opuszczając grecką część Cypru, wyjeżdżamy ze strefy, gdzie dzwonienie i korzystanie z internetu w telefonie jest w miarę tanie. Za odebranie telefonu po tureckiej stronie wyspy zapłacimy już krocie. Nie mówiąc o internecie.

Jeszcze tylko sprawdzenie dokumentów przez strażnika i można wjeżdżać. Po przekroczeniu granicy zauważam, że nasz kierowca jedzie dużo wolniej niż po stronie cypryjskiej. – To przez wszechobecne kamery – wyjaśnia siedząca obok mnie Elisávet. – Na tym odcinku najprościej dostać mandat. A już jak masz blachy greko-cypryjskie, to już w ogóle zapomnij o zmiłowaniu. Musimy jechać bardzo ostrożnie. I przepisowo.

Nie trzeba być szczególnie spostrzegawczym, aby stwierdzić, że północna część wyspy jest zdecydowanie bardziej nieuporządkowana. Na poboczach widać walające się śmieci. Bardzo wiele domów pozostaje niedokończonych. Atmosfera marazmu i braku jakiegokolwiek zaangażowania.

Mijamy największe miasto okolicy, Famagustę. Słońce świeci przepysznie. I choć jest styczeń, śmiało możemy pozdejmować kurtki. Słupki rtęci oscylują w okolicach 20 stopni Celsjusza. Na ulicach nie widać jednak za wielu ludzi. Ot, dwójka młodzieńców przechadza się akurat po okolicznym parkingu. Dalej jednak nie widać nikogo. Po oczach biją jedynie nazwy kolejnych sklepików z pamiątkami. I tureckimi słodyczami. Wszystko zmienia się, gdy zbliżamy się do zabytkowej części miasta. W okolicy byłej katedry, którą dziś Turcy przemienili na meczet. Nieopodal znajduje się najsłynniejsza w Famaguście cukiernia. To Petek Pastahanesi. W odróżnieniu od pozostałej części miasta, tam już z daleka widać ludzi. Część siedzi z herbatą na zewnątrz przy stolikach. Część próbuje słodyczy w środku sklepu.

Tutaj i tam

Kierujemy się na południe miasta. Tutaj życie toczy się jakby w zwolnionym tempie. Gdzieniegdzie widać siedzących przy barach ludzi. Jakieś dziewczynki ścigają się na rowerach. Mężczyzna podlewa kwiatki pod domem. Kobieta prowadzi wózek z dzieckiem. Naraz wszystko – cała ta atmosfera zwyczajnego życia – jakby się urywa. Pojawia się cisza. I pustka. Dalszą drogę blokują nam policyjne bramki.

– Dalej nie pojedziemy – instruuje Elisávet. – Musimy wysiąść.

– Ale co to za miejsce? – próbuję dociec.

– Zaraz się dowiesz – odpowiada tajemniczo kobieta. Po chwili na krótki moment się uśmiecha, by dodać: – A poza tym podobno chciałeś się wykąpać w morzu…

Nieco zdezorientowany wychodzę na chodnik. Dopiero z tej perspektywy dostrzegam, że policyjne bramki są niedomknięte. Pozostawiając miejsce do przejścia dla pieszego. Wspomniana atmosfera luzu i zabawy pozostaje za nami. Choćby ci śniadzi mężczyźni jedzący falafele. Ganiające się dzieci. Czy wreszcie kobiety w chustach nie za bardzo zdające się pilnować swych pociech. Zajęte rozmową. Bo rzeczywiście: tam jest głośno i gwarno. Tu zaś, gdzie stoimy, cicho i nieswojo.

– To Miasto Duchów – tłumaczy mi szeptem Elisávet.

– Że jak?

– Tak je nazwali. Opuszczona dzielnica Famagusty. Oficjalnie nazywana Varosha.

FOT. RENE PASSET

eprasa.pl 8b1fcfea26

Dalej nie wjedziemy. Dostęp do dzielnicy Varosha odgrodzony jest policyjnymi bramkami.

Kiedyś luksusowe apartamentowce, dziś straszące ruiny.

– Ale dlaczego akurat Miasto Duchów?
– Zaraz się przekonasz…

Bezcenny skrawek

Zaraz za barierkami pusta ulica. Z dość dobrze zachowaną nawierzchnią. Wygląda na niedawno wylaną. Żadnych dziur, żadnych pęknięć. Czarna ulica prowadzi w stronę morza. Po obu jej stronach widać rosnące wieżowce. Jeden, drugi, trzeci. Każdy z nich ma dobre kilkadziesiąt metrów wysokości. Osiem pięter, dziewięć, czasem więcej. Pod nimi widać rozłożyste schody prowadzące do parterowych klatek.

Problem w tym, że klatki nie posiadają drzwi. Zaś wszystkie okna pozbawione są szyb. Podnóża biurowców porośnięte są bujną trawą. Krzakami, zaroślami, chwastami. Niektóre z domów pokryte są już tynkiem i elewacją, u niektórych widać jeszcze ułożone cegły. Dzielnica, którą ktoś najwidoczniej prawie ukończył. Był już na ostatniej prostej. Ale z jakiegoś powodu musiał zostawić. I uciekać.

Mijamy rondo. Cztery promieniście rozchodzące się ulice. Na środku tropikalna roślina. Tej akurat nie zaszkodziła zbiorowa ewakuacja ludności Varosha. Rozwija się i rośnie tak jak dawniej. Pusta promenada prowadzi do morza. Miękki piasek podmywany przez powolny przybój. Wkładam stopę do styczniowej wody. Ma niespełna 20 stopni. Jak nasz Bałtyk latem. Można się kąpać.

– Co ty robisz? – wypala zdziwiona Elisávet, widząc, jak przebieram się w slipki na odludnej plaży.
– Mówiłem ci, że chcę się wykąpać.
– Byłam pewna, że żartujesz – odkrzykuje przejęta. – U nas o tej porze do wody wchodzą wyłącznie morsy. I to też tylko na chwilę.
– W takim razie będę takim cypryjskim morsem – uśmiecham się.

Wchodzę. Wcale nie jest zimno. Zimą temperatura wody nie różni się nadto od temperatury powietrza. Wystarczy przepłynąć kilka metrów, wykonać parę ruchów w wodzie, aby ciało zdążyło się przyzwyczaić. Trochę tu jeszcze posiedzę. Tym bardziej, że dopiero z perspektywy wody widać, jak daleko ciągnie się tutejsze wybrzeże. To kilka ładnych kilometrów piaszczystej plaży. Ozdobionej całą hotelowo-gastronomiczną infrastrukturą. Hotelami, restauracjami, sklepikami. Wszystko opustoszałe. Wszystko straszące. Obok miejsca, w którym się kąpię, widać opuszczoną cerkiew. Z zastygłym nad jej kopułą starym dźwigiem. Też stoi tak, jak go tu zostawiono.

To miejsce robi przeraźliwe wrażenie. Kilka kilometrów bezcennego skrawka plaży. Przy której w normalnych warunkach można by cieszyć się ciepłym morzem, korzystać z restauracji, spać w licznych hotelach. Teraz skutkiem decyzji ONZ opuszczonych i zamkniętych. Bo żadna ze stron nie chciała ustąpić. Bo polityczny pat ma trwać w najlepsze.

eprasa.pl 8b1fcfea26

Spacer po Varosha potrafi być przygnębiający.

Dziś nawet właściciele nadmorskich kurortów nie mają możliwości wstępu do swoich majątków.

Porozumienie

Jeszcze pół wieku temu Varosha była nazywana „Copacabaną Morza Śródziemnego". Nie trzeba dziś nawet zbytnio wyobrażać sobie, jak mogło wtedy wyglądać to miejsce. Bo to po prostu nadal widać. Dzielnica ofertowała ponad 20 tys. miejsc noclegowych. W szczycie sezonu funkcjonowało tu 45 hoteli, 60 apartamentowców, prawie 100 lokali rozrywkowych (w tym także kasyna) oraz 25 muzeów. Nocowały tu takie gwiazdy ówczesnego show-biznesu, jak choćby Elizabeth Taylor czy Brigitte Bardot. Jeszcze zanim wybuchła wojna, przebywało w tym miejscu około 50 proc. wszystkich turystów wypoczywających na Cyprze.

Rok 1974 przerwał wszystko. Z dnia na dzień greccy mieszkańcy musieli opuścić swój dobytek. Nadmorski kurort znalazł się w całości w tzw. strefie buforowej, jednakże przynależąc do okupowanego przez wojska tureckie Cypru Północnego. Z dnia na dzień skończyło się wszystko. Biznes, wypoczynek, mit wakacyjnego raju. Wreszcie źródło niewyobrażalnego biznesu.

Pewnie dlatego w 2020 roku Turcja zdecydowała o częściowym otwarciu miasta — turyści i dawni mieszkańcy mogą od tamtej pory oglądać to, co pozostało po mieście. Warunek jest jeden: można to robić tylko z zewnątrz i tylko do zmroku. Nawet dawnym właścicielom nie wolno dziś wchodzić do swoich domów i hoteli.

10 lat temu stowarzyszenia tureckich i północnocypryjskich organizacji budowlanych podpisały specjalną umowę o współpracy i wykorzystaniu potencjału Miasta Duchów. Zaraz po tym wydarzeniu firmy porozumiały się ze swoimi odpowiednikami po stronie cypryjskiej. Był to pierwszy znak rzadkiego w historii ocieplenia stosunków między Turcją a Republiką Cypryjską.

Obie strony są bowiem zgodne co do jednego. Potencjał Varoshy jest olbrzymi i żal, aby to miejsce leżało odłogiem. Mithat Yenigün, prezes wspominanych wyżej organizacji, oszacował potencjał inwestycyjny tego miejsca na zawrotną sumę 100 mld euro.

Zakazany żal

Pora wyjść z wody. Otrząsnąć się z wizji i marzeń. A stawić czoło rzeczywistości. I temu, co dookoła. A to wygląda nie najciekawiej. Na plaży zebrała się grupka gapiów. Stoją wokół Elisávet i wskazują mnie palcem. Wśród nich widzę dwóch mundurowych. Jestem za daleko, żeby ocenić, czy to pogranicznicy, czy policjanci. Kobieta coś im tłumaczy. Pewnie zainteresowali się typem, który w środku zimy zdecydował się kąpać w Mieście Duchów.

Cóż… Zakazu kąpieli nie było. A przynajmniej ja go nie zauważyłem. Wprawdzie pośród walących się i podupadających posiadłości łatwo można byłoby to przeoczyć. Zajmując głowę uporczywymi myślami pełnymi żalu. Że przecież takiemu miejscu nie robi się takich rzeczy. Jak zresztą żadnemu innemu. ■

FOT. STEFAN CZERNIECKI (2), RENE PASSET

eprasa.pl 8b1fcfea26

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny–USA

2 stycznia br. amerykański Departament Obrony zaktualizował tzw. listę 1260H, czyli wykaz chińskich biznesów będących elementami strategii fuzji militarno-wojskowej, która służy temu, by poprzez chińskie firmy Komunistyczna Partia Chin (KPCh) miała dostęp do specjalistycznej wiedzy i zaawansowanych technologii i w związku z tym mogła wspomóc Chińską Armię Ludowo-Wyzwoleńczą (ChALW) w rozwoju i przyjęciu bardziej agresywnej postawy na całym świecie. Strategia ta powstała już pod koniec XX wieku, ale to prezydent Xi Jinping, gdy w 2021 roku doszedł do władzy, zaczął ją intensywnie wprowadzać w życie. Xi przeprowadził gruntowne reformy, aby przekształcić chińską armię w siłę bojową światowej klasy. Ważną częścią tegu planu modernizacji była pogłębiona integracja sektora prywatnego i bazy przemysłu obronnego kraju poprzez dzielenie się zasobami, talentami i najnowocześniejszymi technologiami.

Od 2021 roku Pentagon co roku umieszcza kolejne chińskie podmioty na liście 1260H. Po tegorocznej aktualizacji jest ich 76. Nie wpływa to jednak na działalność tych firm, w tym handel z firmami amerykańskimi. Głównym ograniczeniem jest utrata dostępu do rynków rządowych USA. Dodatkowo określenie biznesu jako „powiązanego z chińskim wojskiem" potencjalnie szkodzi jego reputacji na arenie międzynarodowej, budząc obawy wśród klientów i partnerów.

Władze w Pekinie nazwały działania Departamentu Obrony USA „nieuzasadnionymi represjami wobec firm z Chin". Firma Tencent (producent gier i właściciel WeChat – komunikatora internetowego i portalu społecznościowego), która znalazła się na liście, zdecydowanie zaprzeczyła, jakoby miała być zaangażowana w relacje z chińskim wojskiem. „Nie jesteśmy firmą wojskową ani dostawcą dla armii. W przeciwieństwie do sankcji lub kontroli eksportu, ta lista nie ma wpływu na naszą działalność. Niemniej będziemy współpracować z Departamentem Obrony, aby wyjaśnić wszelkie nieporozumienia" – powiedział rzecznik Tencent. Szefem tego chińskiego giganta jest Ma Huateng, mający ścisłe powiązania z KPCh. Był on członkiem Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych (OZPL), czyli chińskiego parlamentu, a przed jednym ze zjazdów KPCh jego firma wypuściła na rynek grę o nazwie „Oklaski dla Xi Jinpinga". Ma Huateng chwalił się też w chińskich mediach, że promuje tworzenie komitetów partyjnych w Tencent i zachęca pracowników do wstępowania do KPCh.

Na publikację Pentagonu zaregował także CALT, który dostarcza baterie firmieTesla Elona Muska i planuje współpracę z Fordem w celu produkcji baterii litowo-jonowych w zakładzie w Michigan. W specjalnym oświadcteniu firma stwierdziła, że „nigdy nie angażowała się w żadną działalność ani biznes związany z wojskiem, więc oznaczenie jej przez Departament Obrony jest błędem".

Korea Północna – Rosja

38north.org, portal opracowujący analizy dotyczące Korei Północnej, informuje, że dokumenty z corocznego plenarnego posiedzenia komunistycznej Partii Pracy Korei z końca 2024 roku ujawniły stosunkowo niewiele na temat celów Kim Dzung Una dotyczących jego polityki obronnej i zagranicznej na rok 2025. Odniesienia do „strategii najsurowszej antyamerykańskiej kontrreakcji" i osiągnięć Korei Płn. w budowaniu „sprawiedliwego świata wielobiegunowego" (wyrażenia, których Północ zwykle używa w związku ze współpracą z Rosją) sugerują, że Pjon-

eprasa.pl 8b1fcfea26

gjang utrzyma swoją politykę wrogości wobec USA i będzie nadal pogłębiał więzi z Moskwą. Potwierdza to także nietypowe noworoczne przesłanie Kim Dzong Una skierowane do Putina. Według północnokoreańskich mediów, Kim w liście wysłanym rosyjskiemu zbrodniarzowi wskazywał na nowy poziom relacji militarnych między dwoma krajami. Złożył „najlepsze życzenia braterskiemu narodowi rosyjskiemu i całemu personelowi dzielnej armii rosyjskiej w imieniu swoim, narodu koreańskiego i całego personelu sił zbrojnych KRLD". Jak zauważa 38north.org, w przeszłości Kim wyrażał uznanie dla rosyjskiego wojska, ale nie wymieniał wówczas sił zbrojnych swojego kraju. W noworocznych życzeniach północnokoreańskiego dyktatora rzuca się także w oczy charakterystyka jego relacji z Putinem. Kim odniósł się do rosyjskiego zbrodniarza jako do swojego „najbliższego przyjaciela i towarzysza". Dla porównania, w wiadomości do prezydenta Rosji z października ubiegłego roku północnokoreański dyktator nazwał Putina tylko „najbliższym towarzyszem". Dodatkowo w najnowszym liście Kim opisał Koreę Płn. i Rosję jako „oddanych przyjaciół". Jest to określenie, którego Pjongjang nigdy w odniesieniu do Moskwy nie używał.

Według 38north.org decyzja Pjongjangu o ograniczeniu informacji na temat kierunku swojej polityki obronnej i zagranicznej na nowy rok mogła być podyktowana chęcią zachowania elastyczności w polityce w związku z drugą kadencją Donalda Trumpa. Jednak wiele wskazuje na to, że jest to po prostu motywowane chęcią utrzymywania świata zewnętrznego w niepewności co do intencji Kim Dzong Una. Treść noworocznych życzeń dla Putina wskazuje na to, że współpraca Korei Płn. i Rosji w 2025 roku będzie się zacieśniać.

▶ Tajwan

Opublikowany 13 stycznia przez tajwańskie Biuro Bezpieczeństwa Narodowego (BBN) raport wskazuje na „znaczny wzrost" w ostatnich latach liczby osób oskarżonych o szpiegostwo na rzecz Chin. W 2021 roku ścigano za to 16 osób. W ubiegłym roku liczba ta wyniosła już 64, z czego 15 osób to byli emerytowani wojskowi, a 28 to nadal służący w armii. W raporcie wskazano również, że celem chińskiej infiltracji są jednostki wojskowe, agencje rządowe i lokalne stowarzyszenia. „Chińska Partia Komunistyczna nadal wykorzystuje różne kanały i środki, by infiltrować wszystkie sfery życia i przeciągnąć na swoją stronę obywateli Tajwanu i aby poprzez nich budować siatki szpiegowskie oraz zbierać poufne informacje rządowe" – czytamy w raporcie.

Przez lata agencje bezpieczeństwa Tajwanu ostrzegały przed coraz częstszymi próbami infiltracji sił zbrojnych i działalnością szpiegowską Pekinu, w szczególności próbami przekupywania oficerów wojskowych w zamian za tajemnice państwowe. W najnowszym raporcie stwierdzono, że dzięki ulepszonym możliwościom kontrwywiadu władze Tajwanu są w stanie wykrywać więcej przypadków takiego szpiegostwa.

Dokument tajwańskiego BBN stwierdza też, że chińscy agenci próbują nawiązywać kontakty z lokalnymi gangami przestępczymi i świątyniami, a także zakładają podziemne banki w celu rekrutacji personelu wojskowego i grup przyjaznych Chinom na Tajwanie. W raporcie wspomniano, nie podając szczegółów, że niektórzy ze szpiegów otrzymali misję pełnienia funkcji agentów „sabotażu" i mieli na przykład za zadanie umieszczanie w publicznych miejscach flag Chin w przypadku inwazji Pekinu na Tajwan. Niektórzy zostali również poproszeni o zebranie informacji wywiadowczych w celu utworzenia „zespołów snajperów", którzy mogliby być wykorzystywani do takich misji, jak na przykład atak na bazy wojskowe czy ambasady sojuszników Tajwanu.

Na początku stycznia tajwański BBN opublikował również raporty dotyczące chińskich ataków w cyberprzestrzeni i dezinformacji. Według władz Tajwanu w 2024 roku na wyspie dochodziło do 2,4 mln cyberataków dziennie, czyli ponaddwukrotnie więcej niż w roku poprzednim. Za większością tych operacji stoją Chiny. Skala ataków hakerskich ChRL na Tajwan znacznie przewyższa ataki skierowane na inne kraje. Według tajwańskich władz chińscy hakerzy stosują „coraz bardziej wyrafinowane" techniki kradzieży danych i infiltracji agencji i instytucji rządowych oraz prywatnych firm, m.in. zaawansowanego technologicznie przemysłu wytwórczego. Tajwański BBN ujawnił też, że w ubiegłym roku odnotowano 60-proc. wzrost w rozpowszechnianiu fałszywych lub stronniczych informacji przez Pekin. Łącznie w 2024 roku na wyspie wykryto 2,16 mln przypadków chińskiej dezinformacji. Celem tej kampanii jest „podważenie zaufania społeczeństwa do rządu i pogłębienie podziałów społecznych" na Tajwanie. Do najczęściej stosowanych metod rozpowszechniania dezinformacji zalicza się wykorzystywanie „nieautentycznych kont", które zalewają sieć zmanipulowanymi filmami i komentarzami przychylnymi KPCh, a także włamywanie się na tajwańskie konta w celu podszywania się pod tajwańskich obywateli i personel wojskowy, generowanie dezinformacji przy użyciu sztucznej inteligencji do masowej produkcji fałszywych treści lub wykorzystywanie technologii deepfake do wytwarzania filmów z fałszywymi przemówieniami tajwańskich polityków. ■

eprasa.pl 8b1fcfea26

Co dla Rosji oznacza upadek Asada?

oprac. Antoni Rybczyński

epresa.pl 8b1fcfea

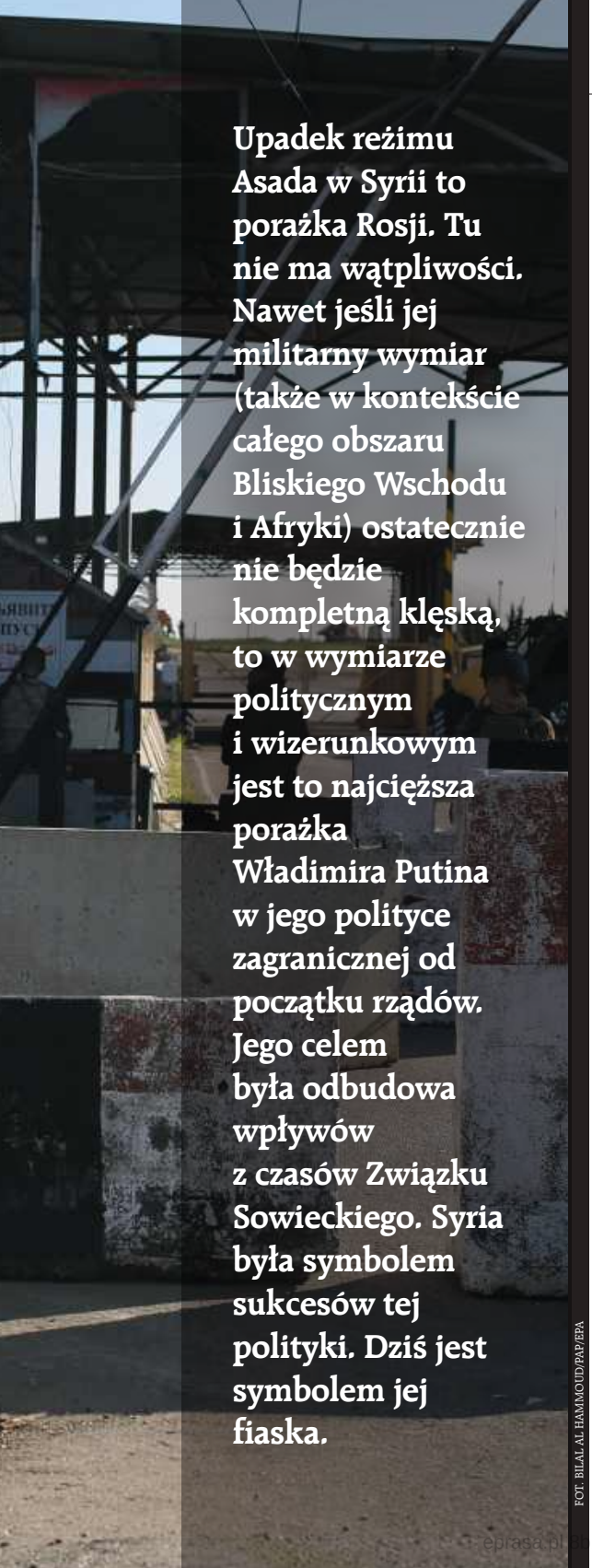

Upadek reżimu Asada w Syrii to porażka Rosji. Tu nie ma wątpliwości. Nawet jeśli jej militarny wymiar (także w kontekście całego obszaru Bliskiego Wschodu i Afryki) ostatecznie nie będzie kompletną klęską, to w wymiarze politycznym i wizerunkowym jest to najcięższa porażka Władimira Putina w jego polityce zagranicznej od początku rządów. Jego celem była odbudowa wpływów z czasów Związku Sowieckiego. Syria była symbolem sukcesów tej polityki. Dziś jest symbolem jej fiaska.

FOT. BILAL AL HAMMOUD/PAP/EPA

W 2015 roku, kiedy prezydent Rosji Władimir Putin wysłał wojska do Syrii na prośbę dyktatora Baszszara al-Asada, miał na uwadze kilka celów. Chciał pomóc Rosji wyjść z międzynarodowej izolacji, której doświadczyła po aneksji Krymu w 2014 roku. Chciał przywrócić Rosji wpływy na Bliskim Wschodzie, gdzie jej obecność osłabła po upadku Związku Sowieckiego. Chciał też uczynić z Rosji globalną potęgę zdolną do wspierania swoich sojuszników i powstrzymania wysiłków zmierzających do obalenia zaprzyjaźnionych rządów. Interwencja w Syrii pozwoliła również Rosji przyjąć rolę obrońcy chrześcijan na Bliskim Wschodzie – rolę, której zdaniem Putina dekadenckie mocarstwa zachodnie się zrzekły, i misję, która doskonale pasowała do pragnienia Putina, by przedstawić Rosję jako ostatni bastion chrześcijańskich wartości w Europie (Alexander Baunov, „Putin wybrał Ukrainę zamiast Syrii", „Foreign Affairs", 26 grudnia 2024).

Po stracie co najmniej 543 wojskowych i najemników oraz wydaniu setek miliardów rubli, w 2024 roku Rosja nie była w stanie nic zrobić z bojownikami islamistycznego ruchu Hayat Tahrir al-Sham, którzy zajęli Damaszek („Co upadek reżimu Baszszara al-Asada w Syrii oznacza dla Rosji?", iStories, 11 grudnia 2024). Rosja stoi w obliczu utraty swoich baz wojskowych na Bliskim Wschodzie i wykazała niewielką troskę o syryjskich chrześcijan, których rzekomo chroniła, gdy świecki rząd Asada został obalony przez islamistyczną organizację Hayat Tahrir al-Sham. Izolacja Rosji od społeczności międzynarodowej tylko się nasiliła od czasu inwazji na Ukrainę w 2022 roku (A. Baunov, „Putin wybrał Ukrainę zamiast Syrii", „Foreign Affairs", 26 grudnia 2024).

Syryjska trampolina Rosji

Obecność Rosji w Syrii sięga czasów sowieckich stosunków z ojcem Asada i zaowocowała kluczowym atutem dla Moskwy w 1971 roku: dostępem marynarki wojennej do głębokowodnego portu śródziemnomorskiego w Tartus. Uwaga Moskwy słabła aż do 2011 roku, kiedy to powstanie ludowe przekształciło się w wojnę domową zagrażającą rządowi Asada. We wrześniu 2015 roku rosyjski prezydent Władimir Putin nakazał wysłanie do Syrii największych od dziesięcioleci rosyjskich sił ekspedycyjnych, by wzmocnić słabnące wysiłki Asada w walce z rebeliantami i grupami ekstremistycznymi. Syria udzieliła Rosji 49-letniej dzierżawy dostępu do Tartus i bazy lotniczej w Chmejmim. Według szacunków Centrum Studiów Strategicznych i Mię-

eprasa.pl 01fcfea26

dzynarodowych, waszyngtońskiego think tanku, w szczytowym momencie rosyjskiej interwencji w Syrii, około 2017 roku, rozmieszczono tam 6 tys. oddziałów bojowych i pomocniczych, w tym siły najemne (Mike Eckel, „Jak upadek Asada zagraża wpływom militarnym Rosji w Syrii – i w całym regionie", RFE/RL, 9 grudnia 2024). W 2018 roku, gdy trwała wojna domowa, amerykańscy analitycy pisali o 3 tys. wojskowych i 2 tys. najemników. Teraz analityk wojskowy Jurij Fiodorow szacuje wielkość grupy w następujący sposób: około tysiąca bojowników Sił Operacji Specjalnych, trochę żandarmerii wojskowej i zwykłych piechurów, którzy znajdowali się na około 100 posterunkach obserwacyjnych rozrzuconych po całej Syrii. Rosyjski serwis BBC oszacował, że w 2024 roku liczba rosyjskiego kontyngentu w Syrii wynosiła 7,5 tys. osób, ale jest to nie tylko personel wojskowy, lecz także personel obsługi. Baza lotnicza w Chmejmim, według Fiodorowa, może mieć 20–30 myśliwców bombardujących i 15–17 śmigłowców. Jednak rosyjskiej armii brakuje przede wszystkim nie samolotów, lecz doświadczonych pilotów. Piloci, którzy bombardowali Syrię, nie mieli okazji zdobyć doświadczenia niezbędnego w wojnie na Ukrainie, ponieważ rebelianci nie mieli takiej samej obrony powietrznej jak Ukraińcy. Jeśli chodzi o bazę morską w Tartus, wszystkie okręty – trzy fregaty, dwa tankowce i jeden okręt podwodny – zostały wycofane już 3 grudnia („Co upadek reżimu Baszszara al-Asada w Syrii oznacza dla Rosji?", iStories, 11 grudnia 2024).

Tartus był dla Rosji trampoliną do projekcji siły, nie tylko w Syrii, na całym Bliskim Wschodzie, lecz także w Afryce i innych miejscach. Po 2015 roku Rosja intensywnie wykorzystywała swoje okręty bałtyckie i czarnomorskie do zaopatrywania portu i transportu ciężkiego uzbrojenia i sprzętu budowlanego. Rosyjskie siły powietrzne wykorzystują bazę lotniczą Chmejmim, położoną około 60 kilometrów od Tartus. Oprócz goszczenia myśliwców i helikopterów, służyła ona również jako miejsce docelowe dla ogromnych samolotów transportowych, które przewoziły ludzi i materiały do i z Syrii. Rosyjscy inżynierowie rozbudowali bazę w latach 2016–2017, wydłużając pasy startowe i zwiększając pojemność parkingów (M. Eckel, „Jak upadek Asada zagraża wpływom militarnym Rosji w Syrii – i w całym regionie", RFE/RL, 9 grudnia 2024). Rosja posiadała także inne bazy taktyczne, w tym na lotnisku Qamishli w północno-wschodniej Syrii oraz w bazie lotniczej Kuweires na wschód od miasta Aleppo. Przed upadkiem Asada liczba rosyjskich samolotów bojowych w rosyjskiej bazie lotniczej Chmejmim spadła do prawie jednej czwartej poprzedniej liczby (z 80 do 15–20 samolotów i helikopterów). Kiedy rebelianci zdobyli międzynarodowe lotnisko w Aleppo 29 listopada, przejęli znaczne ilości rosyjskiego sprzętu wojskowego, w tym system obrony powietrznej Pancyr, wyrzutnie rakiet BM-27 Uragan, samoloty L-39, amunicję i śmigłowiec Mi-8 (Mark Galeotti, „Grudzień 2024: Koniec Rosji – »Asad obalony: Implikacje dla Rosji?«", Strategic Competition Seminar Series, 9 grudnia 2024).

Co z bazami nad Morzem Śródziemnym?

Koncentracja Kremla na wojnie przeciwko Ukrainie jest jednym z czynników, które przyczyniły się do szybkości i sukcesu ofensywy syryjskich rebeliantów. Rosyjskie samoloty bojowe zintensyfikowały ataki na terytorium opanowane przez rebeliantów w miarę jak ofensywa nabierała tempa, ale mając ograniczone możliwości wojskowe w Syrii i skupiając się na Ukrainie, Moskwa nie podjęła żadnych masowych wysiłków, aby ją powstrzymać. Teraz, gdy Asad upadł, jaki wpływ na wojnę Rosji z Ukrainą będzie miało jej niepowodzenie na Bliskim Wschodzie? Analitycy twierdzą, że na polu bitwy nie będzie duże, choć będzie to częściowo zależeć od losu rosyjskich sił i baz w Syrii: lotniska w Chmejmim i obiektu morskiego w Tartus (Roksolana Bychai, Steve Gutterman, „Upadek Asada to cios dla Rosji. Oto, co to oznacza dla wojny w Ukrainie", RFE/RL, 13 grudnia 2024). Głównym pytaniem jest teraz to, czy Rosja zachowa w jakiejś formie dwie bazy wojskowe na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Latakia jest domem dla bazy lotniczej Chmejmim, a około 40 kilometrów na południe znajduje się baza morska w Tartus. Jest zbyt wcześnie, aby powiedzieć, czy Rosja utrzyma obecność wojskową w Syrii; kwestia ta zostanie omówiona z nowymi władzami syryjskimi, skomentował rzecznik Władimira Putina Dmitrij Pieskow. Wojsko obecnie „podejmuje wszelkie niezbędne środki ostrożności". Zachowanie baz jest mało prawdopodobne, przyznaje źródło Bloomberga bliskie Kremlowi, podczas gdy dwóch innych rozmówców twierdzi, że Moskwa dołoży wszelkich możliwych starań, ale sukces nie jest gwarantowany („Co upadek reżimu Baszszara al-Asada w Syrii oznacza dla Rosji?", iStories, 11 grudnia 2024).

Przed upadkiem reżimu Baszszara al-Asada samoloty zaopatrujące rosyjskie grupy w Afryce latały korytarzem powietrznym nad Morzem Kaspijskim, Iranem i Irakiem, a następnie lądowały w Syrii w celu uzupełnienia paliwa. „Syria była dogodną bazą pośrednią, można było przeprowadzić tam dodatkowe szkolenie, spójność i dodatkowe formowa-

eprasa.pl 8b1fcfea26

nie jednostek, a następnie polecieć stamtąd do Chartumu wraz z bronią i z Chartumu redystrybuować zasoby w całej Afryce. To było stosunkowo bezpieczne" – wyjaśnia Denis Korotkow. Według niego, trasa przez Syrię była wykorzystywana zarówno przez wagnerowców, jak i ministerstwo obrony. W tym samym czasie dostawy wojskowe do Afryki przechodziły nie tylko przez Chmejmim, lecz także na przykład przez lotnisko wojskowe Tifor w prowincji Homs i przez Damaszek. Bez baz w Syrii Rosja straci nie tylko swoją obecność wojskową w tym kraju, lecz także ważny węzeł logistyczny do zaopatrywania swoich grup w Afryce, twierdzi Institute for the Study of War (ISW). Alternatywą byłoby rozszerzenie kontyngentu w Libii i Sudanie, ale obecnie jest to trudne: Rosja nie ma formalnych umów z tymi krajami, a infrastruktura wojskowa jest tam słabo rozwinięta, twierdzą analitycy („Co upadek reżimu Baszszara al-Asada w Syrii oznacza dla Rosji?", iStories, 11 grudnia 2024).

Zdolność Rosji do dalszego wykorzystywania baz w Syrii do projekcji siły na Morzu Śródziemnym i Morzu Czerwonym, na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej oraz zagrażania południowej flance NATO jest mocno wątpliwa. Funkcja tych baz w zakresie zaopatrzenia, rotacji personelu Africa Korps rozmieszczonego w celu wsparcia konstelacji wspieranych przez Rosję junt wojskowych w Sahelu (na przykład w Mali, Nigrze, Burkina Faso, Republice Środkowoafrykańskiej) oraz tranzytu będzie bardzo trudna do odtworzenia gdzie indziej. Rosyjska baza marynarki wojennej w porcie Tartus posiada magazyny, konserwację i naprawy, smary oraz dźwig do załadunku pocisków Kalibr dla rosyjskich okrętów podwodnych i nawodnych. W przypadku całkowitego wycofania się Rosja musi stworzyć nowe bazy morskie w regionie, aby przenieść sprzęt i jako platformę startową do projekcji siły, aby wzmocnić swoje afrykańskie operacje. Wynegocjowanie dostępu zajmuje lata, a kontrola, jaką Rosja sprawowała w swoich syryjskich bazach, nie zostałaby powtórzona gdzie indziej (M. Galeotti, „Grudzień 2024: Koniec Rosji – »Asad obalony: Implikacje dla Rosji?«", Strategic Competition Seminar Series, 9 grudnia 2024).

Niepewne gwarancje Kremla

Zapobiegając obaleniu Asada i przywracając pod jego kontrolę większość terytorium, które utracił na rzecz rebeliantów, Rosja pokazała, że może wpłynąć, a nawet odwrócić bieg wydarzeń w regionie. Jednocześnie krajom Zatoki Perskiej zaoferowano projekty inwestycyjne w Rosji i wsparcie dyplomatyczne ze strony Kremla. W 2018 roku Zjednoczone Emiraty Arabskie podpisały umowę o strategicznym partnerstwie z Rosją, a do 2021 roku stały się najbliższym partnerem Rosji na Bliskim Wschodzie, a obroty handlowe między tymi dwoma krajami wzrosły do 9 mld dolarów w 2022 roku. Katarskie inwestycje w Rosji osiągnęły 13 mld dolarów. Wcześniej chłodne stosunki między Związkiem Sowieckim a monarchiami Zatoki Perskiej, przypisywane sowieckiemu wsparciu dla rewolucyjnych grup i rządów w regionie, a także postsowieckie napięcia spowodowane wojną Rosji w Czeczenii, konkurencją na rynku węglowodorów i bliższymi związkami Putina z Iranem, ustąpiły miejsca zbliżeniu. Interwencja w Syrii była katalizatorem nowej, trwałej roli Rosji na Bliskim Wschodzie (A. Baunov, „Putin wybrał Ukrainę zamiast Syrii", „Foreign Affairs", 26 grudnia 2024). Wycofanie się z Syrii, zwłaszcza w przypadku utraty baz wojskowych, automatycznie oznacza zmniejszenie wpływów nie tylko na Bliskim Wschodzie i w basenie Morza Śródziemnego, lecz także na całym świecie. „Putin spędził znaczną część swoich pierwszych 20 lat u władzy, przywracając Rosji status światowego mocarstwa, które może zakończyć zachodnią hegemonię i ustanowić wielobiegunowy porządek świata. Teraz te marzenia upadły" – mówi Ben Dubov z Centrum Analiz Polityki Europejskiej. Wiarygodność Rosji jako sojusznika również rodzi teraz pytania. „Jak Rosja może być uważana za dobrego partnera, jeśli nie potrafi obronić swojego najstarszego okręgu na Bliskim Wschodzie przed uzbrojoną bandą łobuzów?" – pyta Eugene Roemer z Carnegie Berlin Centre („Co upadek reżimu Baszszara al-Asada w Syrii oznacza dla Rosji?", iStories, 11 grudnia 2024).

Kraje Afryki, Azji Środkowej i, w mniejszym stopniu, Ameryki Łacińskiej uznały zdolność Moskwy do obrony sojuszniczego reżimu przed wewnętrznymi zawirowaniami i obaleniem. Rosja miała wcześniej problemy z marketingiem jako przekonujący inwestor lub eksporter technologii, poza budową elektrowni jądrowych i dostarczaniem broni. Ale udana obrona Asada pozwoliła Kremlowi sprzedać się jako eksporter bezpieczeństwa, zarówno oficjalnie poprzez rosyjskie siły zbrojne, jak i nieoficjalnie poprzez najemników, takich jak paramilitarna firma Wagnera, która walczyła u boku syryjskiej armii, Hezbollahu i Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, podczas gdy rosyjskie siły zbrojne działały głównie w powietrzu. Akcja była skuteczna: rządy afrykańskie, w tym reżimy w Burkina Faso, Republice Środkowoafrykańskiej, Czadzie, Libii, Mali, Mozambiku i Sudanie, skorzystały z oferty rosyjskich żołnierzy i najemni-

eprasa.pl 8b1fcfea26

ków w swoich walkach z uzbrojonymi partyzantami oraz grupami islamistycznymi i separatystycznymi, a także do szkolenia lokalnych sił zbrojnych i służb ochrony (A. Baunov, „Putin wybrał Ukrainę zamiast Syrii", „Foreign Affairs", 26 grudnia 2024).

Wojna z Ukrainą kosztuje

Porzucenie przez Rosję reżimu Asada w celu zgromadzenia większych zasobów na walkę z Ukrainą wyraźnie pokazuje, że Putin jest gotów poświęcić wszystko dla całkowitego zwycięstwa w wojnie. Chociaż Putin stara się przedstawiać jako realista, to Ukraina pochłonęła go bez reszty, wykluczając niemal wszystkie inne imperatywy polityki zagranicznej. W dużej części Afryki, Azji, Ameryki Łacińskiej i Bliskiego Wschodu Rosji udało się sprzedać wojnę na Ukrainie jako walkę o wspólną sprawę: mniej zachodniocentryczny porządek świata, większą niezależność i decentralizację systemu finansowego oraz zdolność do lekceważenia zachodniej krytyki łamania praw człowieka i antydemokratycznych rządów postrzeganych przez niektóre kraje spoza Zachodu jako hipokryzja. Zdolność Rosji do zapewnienia siły wojskowej swoim sojusznikom oznaczała, że jej usługi bezpieczeństwa były poszukiwane zarówno na Bliskim Wschodzie, jak i w Afryce, ale upadek Asada prawdopodobnie osłabi ten popyt (A. Baunov, „Putin wybrał Ukrainę zamiast Syrii", „Foreign Affairs", 26 grudnia 2024).

Rosja ostatecznie przetrwa upadek Asada i możliwą utratę swoich baz wojskowych na Morzu Śródziemnym. Rosjanie zawsze patrzyli na syryjską ekspedycję z ostrożnością i obojętnością; pomysł wysyłania żołnierzy do odległego muzułmańskiego kraju nigdy nie był popularny i przywoływał wspomnienia wojny w Afganistanie. Rosjanie byli zadowoleni z małej, zaawansowanej technologicznie wojny, prowadzonej głównie w powietrzu, z ograniczonymi siłami na ziemi. Relacje z syryjskiej interwencji pomogły ukształtować oczekiwania wobec „specjalnej operacji wojskowej" na Ukrainie jako szybkiego zwycięstwa gdzieś daleko, szybkiego źródła dumy, które wymagało niewielu poświęceń społecznych lub zaangażowania nieprofesjonalnych żołnierzy. Kiedy inwazja nie zakończyła się natychmiastowym sukcesem, odległe sukcesy w Syrii stały się nieprzyjemnym kontrastem dla ponurej rzeczywistości wojny w Ukrainie. Skupienie się Rosji na wojnie na Ukrainie pomoże Putinowi i szerzej Rosjanom zignorować niewygodne pytania dotyczące Syrii, takie jak to, co stało się z pieniędzmi i zasobami, które Rosja włożyła w ten kraj, lub dlaczego rosyjskie służby bezpieczeństwa, które obecnie skutecznie zarządzają krajem, były wielokrotnie zaskakiwane: przez gotowość Ukrainy do oporu, przez bunt przywódcy Wagnera Jewgienija Prigożyna w czerwcu 2023 roku, przez ukraińską inwazję na region Kurska ubiegłej jesieni, a teraz przez szybki upadek reżimu Asada. Jednak partnerzy Rosji w innych krajach będą zadawać te pytania. Stało się jasne, że Rosja nie jest w stanie zapewnić swoim sojusznikom wsparcia wojskowego i rozwoju gospodarczego podczas prowadzenia wojny, a reżimy, które wcześniej zwracały się do Rosji o wsparcie, zwrócą na to uwagę. Rosja promuje teraz narrację, że uratowała życie i wolność Asada, wypełniając w ten sposób swoją gwarancję, oszczędzając mu losu Muammara Kadafiego w Libii. Ale sojusznicy Moskwy wyraźnie oczekują znacznie więcej od eksportera stabilności reżimu i bezpieczeństwa (A. Baunov, „Putin wybrał Ukrainę zamiast Syrii", „Foreign Affairs", 26 grudnia 2024).

Niektórzy eksperci twierdzą, że cios w reputację, jaki Rosja otrzymała w Syrii, może jeszcze bardziej zaostrzyć głód Putina kontroli nad Ukrainą. „Upadek Asada wstrząsnął Putinem, czyniąc go mniej skłonnym do wykazania się elastycznością w stosunku do Ukrainy" – napisała Tatiana Stanowaja z Carnegie Russia Eurasia Center. „Wojna na Ukrainie w pewnym stopniu kosztowała go Syrię, co wzmacnia jego niechęć do kompromisu" (R. Bychai, S. Gutterman, „Upadek Asada to cios dla Rosji. Oto, co to oznacza dla wojny w Ukrainie", RFE/RL, 13 grudnia 2024). Wydarzenia w Syrii prawdopodobnie zwiększą paranoję w Moskwie, zaostrzą jej obawy przed efektem domina i wzmocnią postrzeganą potrzebę nieokazywania słabości. Dla Rosji upadek Asada stanowi strategiczny zwrot, ale nie można go jeszcze scharakteryzować jako ostatecznego ciosu dla pozycji Rosji w szerszym regionie. Rosja może zresetować, dostosować i ponownie skalibrować stosunki z innymi partnerami, a słabszy Iran zwiększa względną wagę Rosji w ich stosunkach dwustronnych (Rosja i Iran chcą podpisać traktat o partnerstwie strategicznym). Gdy Rosja wycofuje swoich obserwatorów wojskowych ze Wzgórz Golan, jej stosunki z Izraelem mogą ewoluować. Niemniej, rosyjski klient Asad został pokonany. Rosyjskie „stałe" (słowa Putina z 2017 roku) bazy lotnicze i morskie w Syrii zostały zredukowane i mogą zostać wycofane. Rosyjski ślad militarny w regionie nie tylko szybko się zmniejsza i prawdopodobnie zostanie zlikwidowany, lecz także reputacja Rosji i postrzeganie jej wiarygodności stoją pod znakiem zapytania (M. Galeotti, „Grudzień 2024: Koniec Rosji – »Asad obalony: Implikacje dla Rosji?«", Strategic Competition Seminar Series, 9 grudnia 2024). ■

eprasa.pl 8b1fcfea26

Tomasz Sakiewicz

Historia się zaczęła

Upadek komunizmu w Europie Wschodniej był niesłychanie ważnym etapem historii ludzkości. Setki milionów ludzi otrzymały szansę na życie w wolności i względnym dobrobycie. Jednak nadzieje na spokojny, harmonijny rozwój, choćby tylko na naszym kontynencie, okazały się czystą naiwnością. Odejście od ideologii Marksa i Lenina pokazało jedynie drugie oblicze sowieckiego komunizmu – moskiewski imperializm. Słabość Rosji spowodowała, że ów imperializm nie sięgnął całości dawnych terytoriów zależnych od Moskwy. Kraje Układu Warszawskiego przeszły na stronę NATO, ale cały czas odczuwają zagrożenie rosyjską agresją i wpływami. Co gorsza, zagrożenie to zostało pogłębione układem rosyjsko-niemieckim, który dawał Berlinowi szansę na powrót do gry jako czołowemu mocarstwu europejskiemu. Niemiecki imperializm jest o wiele subtelniejszy niż rosyjski i realizuje się pod pretekstem budowania wspólnej Europy i wyższości wartości europejskich nad narodowymi. Mniejsze kraje znalazły się w potrzasku i naraziły się na wewnętrzną ingerencję Berlina i Moskwy, przy bierności Stanów Zjednoczonych wypieranych z naszego kontynentu. Sytuację próbował zmienić Donald Trump w czasie pierwszej kadencji, kiedy m.in. poparł polski projekt Trójmorza. Jednak przegrana Trumpa w kolejnych wyborach sprawę zatrzymała, a polskie konserwatywne rządy obalono nie tylko przy pomocy niemieckiej, lecz także – co niezwykłe – amerykańskiej ambasady. Nad amerykańskimi interesami zaciążyła lewacka ideologia, która wyrządziła wielkie szkody zarówno w Europie, jak i za oceanem.

To było drugie życie ideologii Karola Marksa. Chęć przebudowy świata na miejsce pozbawione tradycyjnych wartości, sterowane przez nowe projekty inżynierii społecznej doprowadziła do poważnych problemów amerykańskiej i europejskiej gospodarki. Dodatkowo polityka otwarcia na miliony imigrantów przybywających z innych kultur zagroziła bezpieczeństwu zwykłych obywateli. Wywołało to rosnący buntu w Europie i USA. W efekcie wybory zaczęły wygrywać partie konserwatywne. Ich marsz był blokowany przez kolorowe koalicje, ale we Włoszech już się to nie udało. Jednak dopiero powrót Trumpa sprawił, że rozpoczął się proces upadku liberalnej lewicy. Jest on już nieunikniony, ci, którzy nie odejdą, zmieniają swoje poglądy.

Układ rosyjsko-niemiecki został z kolei mocno nadszarpnięty wojną na Ukrainie. Pytanie jednak, czy obydwa imperializmy zostaną wyparte przez USA, podobnie jak liberalna lewica. Historia otworzyła się nowo i nie jest do końca przewidywalna. ■

Chęć przebudowy świata na miejsce pozbawione tradycyjnych wartości, sterowane przez nowe projekty inżynierii społecznej doprowadziła do poważnych problemów amerykańskiej i europejskiej gospodarki.

eprasa.pl 8b1fcfea26

polsat box

Telewizja na start

12 mies. bez opłat

Od 13. mies. 30 zł/mies., od 25. mies. 40 zł/mies. Pakiet S-57 kanałów.
Umowa na min. 24 mies.

AUDIO BY
BANG & OLUFSEN

Dolby
ATMOS

Oferta telewizji dla nowych Klientów na min. 24 mies. Zwolnienie z opłat nie obejmuje pakietów oraz opcji dodatkowych ani opłaty jednorazowej 1 zł za dekoder.
Łączna opłata za Pakiet S i udostepnienie dekodera polsat soundbox 4K od 13. mies. 45 zł/mies., a od 25. mies. 55 zł/mies.
Szczegóły w cennikach i regulaminach dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl
Renomowani akustycy z fi rmy Bang & Olufsen starannie zaprojektowali i udoskonalili dźwięk dekodera polsat soundbox 4K, aby uzyskać czyste i mocne brzmienie.
Dolby, Dolby Audio, Dolby Atmos i symbol podwójnego D są znakami towarowymi Dolby Laboratories Licensing Corporation

eprasa.pl 8b1fcfea26